

BENOÎTE GROULT

**SÓL
ŻYCIA**

Les vaisseaux du coeur

Przełożyła z francuskiego Bożena Sęk

Krajowa Agencja Wydawnicza

Katowice 1992



*Człowiek samotny to ten, kto
dla nikogo nie jest numerem jeden.*

Hélène Deutsch

Słowo wstępne

Pierwszy problem, to jak mam go nazwać, by jego żona nigdy się nie dowiedziała? W każdym razie imieniem bretońskim, bo takie nosił. Chciałabym jednak wybrać dla niego jakieś imię barda, jednego z irlandzkich bohaterów o iście absurdalnym męstwie, którzy przegrywali większość bitew, ale nigdy nie tracili ducha.

Może imię wikinga? Nie, to byli blondyni. Raczej Celta, rasy krepych jasnookich szatynów z nutką rudości w brodzie. On tak bliski był tego ludu o bliżej nieokreślonej geografii, dyskusyjnej historii, obecnym istnieniu bardziej poetyckim niż rzeczywistym!

Chcę dla niego imię brutalne i chropowate w brzmieniu, które pasowałoby do jego masywnej postaci, do ciemnych włosów, odrobinę za nisko zarastających czoło i mocno skręconych na szerokim karku, do intensywnie niebieskich oczu, jak dwa rozbryzgi morza pod krzaczastymi brwiami, do tatarskich kości policzkowych, do złotawej brody, zapuszczanej, gdy był na morzu.

Przymierzam doń kilka imion i oglądam go ze wszystkich stron w moim wewnętrznym lustrze... Nie, to źle by oddawało zaciętą i wściekłą minę, jaką przybierał, kiedy ktoś mu się sprzeciwiał; tamto znowu nie byłoby odpowiednie dla jego ciężkiego kroku.

«Kewin»? Tak, ale musiałabym mieć pewność, że będzie wymawiane z angielska, a nie z francuska - «Quévain».

«Yves» kojarzy się z rybakiem islandzkim.

«Jean-Yves». Tak się składa, że podczas wakacji w Bretanii spotkałam zbyt wielu mężczyzn o tym imieniu, zawsze piegowatych chudzielców.

«Loïc»? Może... ale wolalabym imię rzadsze, imię, które by pasowało dla kormorana.

Zatem «Tugdual»? Albo «Gawain» jak jeden z dwunastu rycerzy Okrągłego Stołu? Lub «Brian Boru», jak irlandzki Karol Wielki? Tyle że Francuzi nie omieszkaliby wymawiać to imię «Brillant Borû», a wtedy pieszczota angielskiego r, owo nieuchwytnie poruszenie językiem w ustach, ustąpiłaby miejsca szorstkiemu charczeniu, które u nas nazywa się r.

Nie, dla niego jednak potrzebne jest imię rycerza. Któryż zaś rycerz był wierniejszy od Gawaina, syna Lotha, króla Orkadów, i siostry Artura, Anny, poległego w pojedynku z

Mordredem, zdrajcą swojego władcy? Wstrzemięźliwy, mądry, dostojny, szlachetny, niezwykle silny i absolutnie wierny swojemu suzerenowi, mówią teksty cyklu o królu Arturze, był nie poetą, lecz uosobieniem obowiązku niezależnie od ceny, jaką mu przyszło za to płacić, zawsze gotów do miłosnych przygód i bohaterskich czynów. Tak został przedstawiony w cyklu bretońskim i taki jest mężczyzna z mojej opowieści.

W rzeczywistości nosił imię, które uważałam za durne. Kiedy wszedł w moje życie, natychmiast poprzystrajałam go w rozliczne przezwiska. Dzisiaj ofiarowuję mu imię ostateczne, piękne, gdy się je pisze i czyta, ponieważ teraz mogę już tylko używać go na papierze.

Nie bez obaw dołączę do gromady pisarzy, którzy próbowali na kartce papieru uchwycić rozkosze zwane cielesnymi, lecz niekiedy tak mocno ściskające człowieka za serce. I bez wątpienia jak wielu z nich i jak ci, jeszcze liczniejsi, co musieli zrezygnować, odkryję, że język wcale nie przyjdzie mi z pomocą, by wyrazić miłosne uniesienie, ową najwyższą rozkosz poszerzającą granice życia i rodzącą w nas moce, o jakich nam się nie śniło. Wiem, że czyha na mnie śmieszność, że moje niepowседневnie uczucia zszargają się w banale i że każde słowo gotuje się mnie zdradzić - żalosne lub wulgarne, płaskie albo groteskowe czy nawet całkiem po prostu odrażające.

Jak w zgodzie z moim sercem nazwać te wypustki i wpustki będące zarazem miejscem spełnienia i odrodzenia pożądania? Jak wzruszyć mówiąc coitus? Co-ire, iść razem, a jakże. Czymże jednak staje się rozkosz dwu ciał, które właśnie idą razem?

A zatem wejście? To się kojarzy zaraz z wymiarem sprawiedliwości. «Czy doszło do wejścia, proszę pani?» Zaś przestawać ze sobą mocno trąci sutanną i grzechem. Kopulacja wydaje się mozolna, sprzęganie się zwierzęce, słowo spać nudne, pieprzyć takie szybkie...

W takim razie chędożyć albo bobrować kokoszkę? Rozkołysać dryganta lub zaspokoić swoją chuć? Są to niestety zwroty zapomniane, rubaszne odkrycia języka młodego i niedojrzałego, zanim dał się okiełznać.

Dzisiaj, w czasach inflacji werbalnej, kiedy to słowa zużywają się szybciej niż ubranie, pozostają nam tylko wyrażenia pieprzne albo pospolite, wyblakłe przez częste użycie. No i oczywiście poczciwe kochać się, zawsze w pogotowiu, ale pozbawione jakiegokolwiek ładunku emocjonalnego, gorszącego czy erotycznego. W sumie niestosowne dla literatury.

Skoro zaś dochodzi się do organów, za których pośrednictwem rodzi się rozkosz, pisarz, a pisarka w jeszcze większym stopniu być może, natykają się na nowe przeszkody. «Dzida Jeana była sztywna, napięta do granic... Fallus Melorsa wznosił się władczy, budzący grozę... Jądra zastępcy dyrektora... Twoja cudowna moszna... Jego penis, twoja lechtaczka,

ich peniczka... Moja rozwartą pochwa... Twój wzgórek łonowy, Béatrice...» Jak tu się ustrzec śmieszności? Nawet anatomia, gdy idzie o seks, przestaje być niewinna i słowa, te kanalie wiodące swoje życie niezależnie od ciebie, narzucają ci gotowe obrazy i nie pozwalają na użycie ich w sposób naturalny. Wywodzą się z łaciny albo z języka ulicy, ze światka małolatów albo z marginesu. Kiedy w ogóle istnieją. Bo słownictwo związane z rozkoszą cielesną kobiety okazuje się, nawet u najlepszych autorów, przerażająco ubogie.

Trzeba by mieć możliwość wyrzucenia z pamięci wszystkiego, poczynając od prasy wyspecjalizowanej w dosadności, poprzez powieść fotograficzną bazującą na nagości, do potrójnych aksli seksu komentowanych przez zblazowanych dziennikarzy z grupy najniżej opłacanych. A tym bardziej należałoby wyrzucić z pamięci erotyzm wyszukany, który przecież w dobrym tonie jest pochwalać pod pokrywką filozoficznego żargonu maskującego jego haniebnosć.

A tymczasem historii, którą chciałabym opowiedzieć, niepodobna przekazać bez opisu «występnych rozkoszy», jak mawiali nasi przodkowie. Bo właśnie oddając się występny rozkoszom moi bohaterowie wzajem się oczarowali; po to, aby zażywać występnych rozkoszy, uganiali się za sobą po całym świecie; z powodu występnych rozkoszy nie mogli się nigdy rozstać, choć wszystko ich dzieliło.

Byłoby lepiej i łatwiej wytłumaczyć tę miłość powołując się na wspólnotę poglądów albo kultury, przyjaźń z dzieciństwa, niepośledni talent jednego z nich, wzruszające kalectwo... Trzeba tu wszakże wygarnąć całą prawdę: tych dwoje zostało stworzonych, aby się nigdy nie poznać, a nawet sobą gardzić, i tylko nieartykułowany język miłości pozwolił im się porozumieć, a magia cacka w dziurce - łącznie ze wszystkimi historiami o predestynacji, na które się teraz z upodobaniem w takich razach powołuje, czy o niezgłębionych skłonnościach albo strukturze hormonów i sama nie wiem, o czym jeszcze - jedynie ta magia zdołała związać ich tak mocno, że powaliła wszelkie bariery.

Akt najbardziej powszechnie praktykowany na tym padole ciągle jeszcze można przedstawić jako olśniewający. Bo po cóż pisać, jeśli nie po to, żeby olśnić? A jak ująć tę boską nadzieję, która świta między nogami mężczyzn i kobiet, i sprawić, by uznano za cud to, co się odbywa wszędzie od niepamiętnych czasów pomiędzy płciami podobnymi lub odmiennymi, budząc politowanie lub zachwyt?

Aby tego dokonać, nie posiadam żadnej umiejętności, jakiej inni by nie posiadali, ani żadnego słowa, jakiego inni by już nie nadużyli. Absolutnie tu nie idzie o podróż w nieznaną krainę: w miłości nie ma Papui. W końcu nic nie jest bardziej banalne jak szparka, czy nawet dwie, a fallus w pierwszorzędnej skórze opróżnia się w odpowiedniej chwili tak samo jak

dzida niskiego pochodzenia.

Rozsądek nakazywałby zatem zrezygnować. Zwłaszcza że pomiędzy rafą pornografii z jednej a wody różanej z drugiej strony błyszczy wyzywająco kilka światowych arcydzieł, które kpią sobie z wszystkich niebezpieczeństw. Lecz dopiero po fakcie, gdy się nie powiedzie, rozsądek okazuje się zaletą. A czyż cała literatura nie jest nierozsądna?

Koniec końców, zbyt nęcące było ryzyko napisania mimo wszystko pierwszych wierszy tej nieprawdopodobnej historii: «Miałam osiemnaście lat, kiedy Gawain na całe życie wniknął do mojego serca, a raczej do tego, co wówczas uważałam za serce, a co było ledwie powłoką...»

1

Gawain

Miałam osiemnaście lat, kiedy Gawain na całe życie wniknął mi do serca bez wiedzy ani mojej, ani jego. Tak, zaczęło się od serca, a raczej od tego, co wówczas uważałam za serce, a co było ledwie powłoką.

Był starszy ode mnie o sześć czy siedem lat i jego prestiż pracującego na morzu marynarza, który sam na siebie zarabia, dorównywał mojemu prestiżowi studentki jeszcze zależnej od rodziców. Moi paryscy przyjaciele byli niedowarزونymi żółtodziobami, nadętymi smarkaczami w porównaniu z nim, już naznaczonym przez ten fach, w ciągu niewielu lat czyniący z muskularnego wyrostka uosobienie siły natury, a wkrótce potem starca, grubo przed czasem. Resztki dzieciństwa zachowały się jeszcze w jego oczach, które odwracał, gdy na niego spojrzeć, miał młodość na aroganckich ustach o uniesionych do góry kącikach, a o jego męskiej sile świadczyły zarówno potężne dłonie, jakby stwardniałe od soli, jak i ciężkie stąpnięcia asekurujące każdy krok, jak gdyby stale mu się wydawało, że jest na pokładzie statku.

Aż do wieku młodzieńczego mierzyliśmy się wzrokiem niby przedstawiciele dwóch całkiem odrębnych gatunków, on w roli bretońskiego chłopaka, ja paryżanki, co dawało nam uspokajającą pewność, że nasze drogi nigdy się nie przetną. Ponadto on był synem ubogiego wieśniaka, ja zaś córką letników, co chyba w jego mniemaniu było naszym głównym zajęciem i sposobem życia nie budzącym w nim ani krzty poważania. Podczas nielicznych chwil wolnych namiętnie grywał w piłkę, co mnie wydawało się absolutnie nieciekawe; wybierał z gniazd ptaki lub strzelał do nich z procy, co z kolei uważałam za wstrętne; resztę czasu zaś spędzał na rozrabianiu z kolegami i na rzucaniu pod moim i mojej siostry adresem «grubych słów» za każdym razem, gdy się na nas natknął, co znów było dla mnie typowo męskie, a więc obrzydliwe.

To on przebił opony mojego pierwszego roweru, roweru dziewczynki z bogatej

rodziny, będącego autentycznym afrontem dla rozklekotanej paki na kółkach, na której w zgrzycie żelastwa jeździł z braćmi po jedynej ulicy we wsi. Później, kiedy miał wystarczająco długie nogi, rozbijał się «pod ramą» na marnym rowerze ojca, sfatygowanym bicyklu składającym się już tylko z części naprawdę nieodzownych; po cichutku zabierał go, kiedy Lozerech-ojciec spędzał noc w rowie po sobotniej popijawie. My zaś do szprych naszych rowerów, chromowanych, z dzwonkiem, błotnikami i bagażnikami, mocowałyśmy za pomocą klamerek do bielizny pocztówki, by w czasie jazdy naśladowały dźwięk silnika i budziły podziw braci Lozerechów, kompletnie na pozór nas ignorujących.

W imię jakiejś cichej umowy bawiłyśmy się tylko z jedyną córką Lozerechów, najmłodszą w tej «króliczej rodzinie», jak ze wzdardą mawiał nasz ojciec, pozbawioną wdzięku blondyneczką o imieniu Yvonne, które naszym zdaniem zdecydowanie ją upośledzało. Jak już powiedziałam, dzieliło nas wszystko.

Kiedy Gawain miał około czternastu, piętnastu lat, znikł mi z horyzontu. Latem pływał już jako chłopiec okrętowy na tuńczykowcu starszego brata. Podobało mi się imię statku, «Vaillant-Couturier», przez długi czas bowiem rozumiałam je dosłownie, «Mężny krawiec», i byłam przekonana, że upamiętnia jakiegoś dzielnego krawca, który niespodzianie dokonał wielkiego czynu na morzu, zanim dowiedziałam się, że to nazwisko francuskiego polityka o lewicowych poglądach. Matka Gawaina mówiła, że «chłopak umie robić» i że «ten to wnet skończy terminowanie». Tymczasem jednak był chłopcem okrętowym, czyli pokładowym popychadłem. Tak chciał obyczaj, a brat szefujący połowom miał mniejsze niż ktokolwiek inny prawo do rozczulania się nad nim.

Dla nas oznaczało to o jednego wroga we wsi mniej. Ale nawet ograniczeni do pięciorga najmłodszych, bracia Lozerechowie nadal uważali nas, moją siostrę i mnie, za siusiumajtki, bo byłyśmy dziewczynami, i za nadęte, bo byłyśmy paryżankami. Zwłaszcza że ja miałam na imię George. «George bez s», uściślała zawsze moja matka, która poświęciła mnie na ołtarzu swojej młodzięcej namiętności do *Indiany* George Sand. Moja młodsza siostra, statecznie nazwana Frédérique, co mi pozwalało w odwecie mawiać «Frédérique z q» - i złośliwie kończyć «bana» - wyrzucała mi stale, że się wstydzę swojego imienia. To prawda, że byłabym wiele dała, aby uniknąć przycinków i pytań na początku każdego roku szkolnego, dopóki «nowe» nie przywykły. Dzieci nie mają litości dla niczego, co wykracza poza normalność. Dopiero dorósłszy wybaczyłam matce, że tak mnie nazwała.

Na lekcjach w szkole Najświętszej Marii Panny było to mniej dotkliwe niż na wsi. Zawsze mogłam się powołać na George Sand, choć daleko jej było do świętości. Ale przecież ostatecznie odkupiła swoje winy pisząc *Diablą kałużę* i *Małą Fadetkę*, a potem stając się

«dobrą panią» z Nohant. W Raguenès jednak moje imię było niewyczerpaną kopalnią docinków. Nikt się do niego nie przyzwyczajał, a raczej nikt nie chciał utracić tak płodnego przedmiotu przytyków. Doszło do tego, że nikt nie nazywał mnie inaczej jak George Bezes.

Do tego należało jeszcze dodać obecność mojej rodziny poza strefą domków letniskowych, w samym sercu osady zamieszkaney przez wieśniaków i rybaków, gdzie stanowiliśmy jedyną fałszywą nutę. Obszerne plażowe spodnie matki, szerokie berety, w jakie stroił się mój ojciec, i jego tweedowe białe spodnie regularnie budziły wesołość. Wioskowe łobuziaki nie śmiały jej okazywać przy rodzicach, ale gdy tylko byli całą bandą - męska zbieranina, uważająca się za wyższą z samej racji posiadania czegoś więcej w spodniach - ujrawszy nas nie omieszkali nigdy, a Lozerechowic pierwsi, już z dala zaintonować rymowanekę, której bezsens powinien był pobudzać do śmiechu, lecz wywoływał irytację na miarę swej absurdalności:

*Paryżany,
ciuciumamy,
paryżaki,
kaki, kwaki*

Kiedy jest się dzieckiem, najbardziej idiotyczne żarty są często najlepsze. Mściłyśmy się, kiedy nasi oprawcy zredukowani byli do jednej czy dwóch sztuk. Wszyscy razem reprezentowali Mężczyznę, w pojedynkę każdy był tylko dzieciakiem przeciwko dzieciakowi albo, co gorsza, wsiowym chłopakiem przeciwko miastowej dziewczynce.

Gawain nigdy nie przyszedł do naszego domu. W jego mniemaniu zresztą nie był to dom, lecz domek letniskowy, w dodatku śmieszny przez to, że miał słomiany dach, podczas gdy wszyscy mieszkańcy wioski dążyli do normalnego dachu nad głową, do dachu z dachówek. Ta autentyczna strzecha z żytniej słomy ręcznie młóconej, zdobyta z wielkim trudem i kupiona na wagę złota u ostatniego w okolicy fachowca, ich zdaniem urągała zdrowemu rozsądkowi.

Nie do pomyslenia było, żeby padło między nami zdanie tak banalne jak «Chodź do nas na podwieczorek» czy, w późniejszym czasie, «Chodź do nas na kieliszek». Często za to zapraszałam Yvonne, moją rówieśnicę, żeby się przyszła do nas pobawić. My zaś mogłyśmy oczywiście bez przeszkód bywać w gospodarstwie, gdzie panowała nieustanna krzątanina i nieład, odzież dzieci poniewierała się wszędzie, zabłocone saboty stały w sionce, a podwórko było zapełnione byle jak skleconymi klatkami na króliki, psami, kotami, kurkami i bliżej nie

określonymi narzędziami rolniczymi, które zdawały się do niczego już nieprzydatne, lecz raz w roku używane były do takiej a takiej pracy i okazywały się absolutnie niezastąpione. Wszystko to nam, mieszkankom schludnego domku, zobowiązanym każdego wieczoru układać swoje zabawki i przecierać płynem wapniowym płócienne sandały, wydawało się szczytem wolności.

Nasze kontakty zawsze tak właśnie wyglądały, zgodnie ze wzorem zaczerpniętym z moich ulubionych lektur, z serii *Bibliothèque Rose* dla panienek z dobrego domu, w których jakieś panie de Fleurville czy de Rosbourg odwiedzały kobiety potrzebujące, młode położnice, porzucone matki czy ubogie schorowane wdowy, nie mające prawa wstępu do salonów tych dam.

Czasami zostawałam «na jedzeniu» u Lozerechów, z rozkoszą racząc się zupą na słoninie, której w domu nie wzięłabym do ust. Przedtem obierałam z Yvonne ziemniaki, co nie było żadnym atrakcyjnym zajęciem, lecz dzięki temu nie uważano mnie za kompletną miastową niezgułę. Większą dumą napawała mnie umiejętność wydojenia krowy niż pokazania departamentów francuskich na «czarnej mapie» zawieszanej w moim pokoju. Z zadowoleniem myślałam czasem, że w innym życiu mogłabym być całkiem dobrą wieśniaczką.

Po raz pierwszy popatrzyliśmy na siebie z Gawainem jak dwie istoty ludzkie, a nie przedstawiciele wrogich grup społecznych, podczas omłotów. W okresie młocki sąsiedzi przychodzili sobie wzajem z pomocą i każda rodzina czekała z rozpoczęciem na chwilę, kiedy zgromadziła maksymalnie dużo rąk do pracy. Akurat trzech starsi synowie Lozerechów, wśród nich Gawain, znaleźli się jednocześnie w domu, co zdarzało się nader rzadko i co należało wykorzystać przystępując do ciężkiej pracy.

Frédérique i ja zawsze brałyśmy udział w omłotach u naszych najbliższych sąsiadów, dzieląc ich trud, codzienne zmęczenie, a także podniecenie, jakie towarzyszy najważniejszemu w roku wydarzeniu, które nieodwołalnie decyduje o całorocznym bilansie rodziny.

Ostatni dzień był upalny i duszny. Owies i jęczmień już wymłóciliśmy i od dwóch dni pracowaliśmy przy pszenicy. Powietrze aż pulsowało od gorąca, od gęstego pyłu piekącego w oczy i gardła oraz od urywanego warkotu maszyny. Ciemne spódnice kobiet z wolna zszarzały, podobnie jak ich włosy i chustki na głowach, po twarzach i szyjach mężczyzn spływały strumyczki brunatnego potu.

Z nagim torsem pracował tylko Gawain. Stał na szczycie wozu i jednym ruchem sierpa przecinał słomiany sznur związujący snopek, po czym nadziewał go na widły i gestem

w moich oczach władczy zrzucił na taśmociąg, którym zboże zjeżdżało podskakując. Lśnił w słońcu od pięknego młodzieńczego potu, pośród fruwej wokół jasnej pszenicy, a jego mięśnie grały bez ustanku pod skórą, podobne mięśniom dwóch silnych koni dostarczających mu regularnie nowych ładunków snopków. Nie widziałam wcześniej mężczyzny tak męskiego nigdzie poza amerykańskimi filmami i dumna byłam, że uczestniczę w tej ceremonii i choć raz czuję się solidarna z jego światem.

Wszystko mi się podobało podczas tych upalnych dni: cierpki zapach parujących worków zboża, symbolu obfitości, których napełniania ojciec Gawaina strzegł u wylotu młockarni, bacząc, by ani jedno ziarenko z jego skarbu nie spadło na ziemię; podwieczorek około trzeciej - uczta, złożona ze smalcu, pasztetu i masła w ciemnożółtych ośłkach grubo rozsmarowanych na kromkach razowego chleba, wobec której nasz paryski podwieczorek był mizerną przekąską; nawet przekleństwa mężczyzn, kiedy spadał pas i trzeba go było zakładać na rolki, z czego korzystali ci, co mogli, by w czasie postoju maszyny zwilżyć szklaneczką cydru wysuszone gardło; i na koniec, gdy już w stodole zgromadzone było w workach całe zboże gotowe do mielenia, biesiada, na którą zabijano wieprzka.

Tego wieczoru wszyscy, wyczerpani do nieprzytomności, zjednani w zadowoleniu z wykonanej pracy i zwiezionych zbiorów, porozsiadali się w szarówce, typowej dla ostatnich dni lipca, która nie mogła się zdecydować, by ustąpić nocy. Często zdarza się o tej porze roku w Bretanii, że ciemność nie może sobie poradzić z jasnością. Dzień wtedy trwa i trwa, broni się długo, a człowiek pieści w sobie nadzieję, że może choć raz światło pokona mrok.

Siedziałam przy Gawainie, rozanielona, że dzielę z nim tę błogosławioną chwilę, ale też świadoma, że nie mogę tego okazać. Wśród wieśniaków mówi się o naturze niezwykle powściągliwie. Siedzieliśmy zatem milczący, nienaturalni, zakłopotani własną dorosłością. Skończyliśmy bowiem z dziecięcym popisywaniem się i zabawami, a niczym innym ich nie zastąpiliśmy. Chłopaki od Lozerechów i dziewczyny od «tych Gallois» po sztucznym rozejmie okresu dzieciństwa szukali sobie oto miejsca we własnych klasach społecznych i gotowali się do tego, aby wzajemne kontakty ograniczyć do skinień głową i szablonowych uśmiechów, jakie zamieniają ludzie mijający się w tej samej miejscowości, lecz nie mający sobie już nic do powiedzenia - nawet obelg. Myśmy zwracali się jeszcze do siebie przez «ty», zapytywali o pracę czy polów: «I co? sieci pełne? - A jak tam twoje egzaminy?», ale z roztargnieniem słuchaliśmy odpowiedzi przypominających muszle zimną na plaży, których się nawet nie podnosi.

A wtedy ten wieczór zawieszony między dniem i nocą, między snem i rzeczywistością... Kiedy zegnaliśmy się już, Gawain mimo zmęczenia, od którego rysy mu

miękły, niespodzianie zaproponował, żeby «przejechać się do Concarneau», co zostało przyjęte bez większego entuzjazmu, każdy bowiem marzył tylko o łóżku. Mimo to jeden z braci przyłączył się, a ja, wykorzystując wszelkie metody nacisku, jakimi dysponowałam («dam ci mój stanik od Rosy'ego, ten z koronką... albo perfumy Canoë»), zmusiłam Yvonne do pójścia z nami, żebym nie była sama. Gawain należał do nielicznych w wiosce posiadaczy samochodu, starego 4 CV, w którym upchał tyle ciał, ile się tylko zmieściło. Moja siostra nie jechała: tańce w Concarneau to nie dla piętnastoletniej dziewczynki.

Wcześniej miałam okazję być na balu tylko w Politechnice, na tak zwanym Point Gamma, czyli dorocznym wieczorze inżynierów, toteż zabawa w Ty Chupenn Gwen wydała mi się równie egzotyczna jak bal apaszów. Yvonne okazała się tak miła, że wzięła mnie pod swoje skrzydła w tym towarzystwie, gdzie ja jedna byłam „ciuciumamą” pośród watahy hałaśliwych i już podpitych facetów. Ale przynajmniej nie groziło mi tu podpieranie ściany, co zbyt często się zdarzało na wieczorkach w Paryżu, na których nieśmiałość stawiała mnie za gramofonem zawsze, kiedy sobie nie przyprowadziłam sama «osoby towarzyszącej» wymaganej na zaproszeniu.

Zaledwie usiedliśmy, a już o nic nie pytając i nie czekając, aż inny go uprzedzi, Gawain poprowadził mnie na parkiet. Obejmował mnie ramieniem tak mocno, jak pewnie chwycił sztag na swoim tuńczykowcu przy burzliwej pogodzie. Czułam na żebrach każdy palec jego dłoni, prawdziwych dłoni, mówiłam sobie, takich, które trzymają to, co złapały, a nie owych kończyn anemicznych i dystygowanych, jakimi wymachują dystygowani i anemiczni młodziankowie, moi paryscy koledzy.

Tańczył jak człowiek z ludu, jak Coupeau małej Gervaise czy robotnicy w powieściach Zoli, zbyt mocno kołysząc ramionami, przez co wydawał się wulgarny wedle mojego mieszczańskiego wzorca zachowania. Ani razu jego spojrzenie nie skrzyżowało się z moim, nie zamieniliśmy jednego nawet słowa. On nie wiedział, co powiedzieć, ja zaś nie znajdowałam tematu, który mógłby go zainteresować. Pomijając bowiem pytania w stylu «Lubisz *Listy do młodego poety?*» z jednej strony, a «Dobrze się sprzedała ryba w tym tygodniu?» z drugiej, o cóż mogła zagadywać studentka literatury chłopaka spędzającego większość czasu na tuńczykowcu na Morzu Irlandzkim? Wrodzona nieśmiałość w połączeniu z wrażeniem niezwykłości, jakie wzbudzał we mnie fakt, że znajdowałam się w ramionach młodego Lozerecha, dokładnie zasznurowały mi usta. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, ponieważ po każdym tańcu trzymając mnie nadal czekał, aż znowu rozlegnie się muzyka. Pachniał jeszcze słońcem i zbożem i odnosiłam wrażenie, że obraca mną jak przedtem snopkami, z taką samą miną poważną i skupioną, jaką przybierał w czasie pracy.

Jakie słowa mogłyby oddać w pełni uczucie, które nas ogarniało, z całą pewnością niestosowne i absurdalne? Uczucie, że nasze ciała się poznają, a dusze - bo nie mózgi - dążą do połączenia się ani trochę się nie przejmując tym wszystkim, co mogło nas rozdzielić na tym padole. Myślałam wtedy o Platonie rzecz jasna. W tamtych czasach w wyrażaniu moich opinii i emocji odwoływałam się zawsze do poetów i filozofów. Gawain, nie żywiąc ani cienia podejrzeń, pozwalał się opanowywać temu samemu oczarowaniu, czułam to. Tego rodzaju uczucia nigdy się nie rodzą oddzielnie.

Wytrzymaliśmy walca i dwa pasodoble. «Poema-tango» porwało nas oboje. Zniknęła rzeczywistość. Niby z innej planety słyszałam, jak wokół nas koledzy rzucają ciężkimi żartami, aby zamaskować rosnącą chęć na dziewczyny, zmiękczone przez alkohol i parę czulszych dotknięć. Bez porozumienia, korzystając z nagle zapadłej ciemności, Gawain i ja znaleźliśmy się na zewnątrz. Z bezgranicznym egoizmem ludzi szczęśliwych uznawszy, że Yvonne i jej brat bez trudu znajdą kogoś, kto ich odwiezie, perfidnie zostawiliśmy całe towarzystwo i uciekliśmy starym 4 CV.

Gawain ruszył oczywiście w stronę wybrzeża. W takich razach instynktownie jedzie się nad morze. Wiedzieliśmy, że zastąpi nam rozmowę i obejmie nas swoją macierzyńską wielkością, swoją dobrotliwą ciszą. Zatrzymywaliśmy się na końcu każdej drogi: w Le Cabellou, La Jument, Trévignon, Kersidan i na plaży w Raguénès. I zawsze musieliśmy kawałek zawracać, bo wówczas nie było jeszcze szosy wzdłuż brzegu, lecz same ślepe dróżki, całkiem przypominające tamtego wieczoru nasze życie. Im mniej mówiliśmy, tym mniejszą mieliśmy możliwość przerwania ciszy, która wzbierała w naszych sercach. Gawainowi wystarczało, że otaczał ręką moje ramiona i drżący tulił mnie do siebie, muskając czasem mój policzek skronią.

W Raguénès znaleźliśmy się w czasie odpływu. Jęzor piasku, który łączy wyspę z brzegiem przy wysokiej wodzie, lśnił w blasku księżyca. Na lewo, po stronie wschodniej, ledwie było widać osłoniętą przed silnymi wiatrami od oceanu linię styku wody i piasku: na morzu nie pojawiała się najmniejsza fałdka. Po stronie zachodniej leciutka bryza marszczyła srebrną tafłę obwiedzioną fosforyzującym drzeniem. Wszystko było tak czyste, tak podobne do nas, że wysiedliśmy z samochodu, aby trochę pochodzić w tej spokojnej wodzie.

- A może byśmy tak zrobili sobie kąpiel o północy?

Ta myśl przyszła mi do głowy nagle. Po raz pierwszy znajdowaliśmy się razem na plaży. W tamtych czasach Bretończycy w ogóle nie chadzali nad samo morze. Kąpiel wydawała im się kaprysem letników. Pewnie dlatego, że marynarze od wieków zbyt często lądowali w wodzie, żeby ją uważać za miejsce rozrywki.

Rozebraliśmy się oddaleni od siebie, nie patrząc jedno na drugie. Nigdy dotąd nie znalazłam się naga w obecności chłopaka, ale żałowałam, że Gawain choćby raz na mnie nie zerknął. Wyczuwałam, że jestem piękna w blasku księżyca i w gruncie rzeczy nie tak naga jak w pokoju w ostrym świetle elektrycznej żarówki. Aby Gawain nie mógł zobaczyć mnie z przodu, jak i po to, abym ja nie musiała go od tej strony oglądać, pierwsza rzuciłam się do wody, pragnąc rozbić jej idealnie gładkie lustro. Nie odeszłam jednak daleko: zaraz się domyśliłam, że Gawain nie umie pływać.» «A na co mi to? Chyba tylko po to, żeby się dłużej męczyć, jakby tak w nocy fala zmyła człowieka do lodowatego morza» - powiedział mi. Spozregłam, że nasz stosunek do morza jest skrajnie odmienny. Gawain i ja nie zachodziliśmy do tej samej osoby, tyle że jej prawdziwe oblicze znał on.

Długo baraszkowaliśmy w rozedrganej wodzie, ocierając się o siebie ze śmiechem niby dwa szczęśliwe wieloryby, nie mogąc się zdecydować na wyjście, ponieważ wiedzieliśmy, że na łądzie, wysuszeni, wraz z ubraniem przywdziejemy każde swój sposób bycia i konwenanse swojej sfery.

Była to jedna z owych nierealnych nocy, kiedy fosforyzujący plankton wypływa na powierzchnię, i za każdym rozgarnięciem wody ramionami, za każdym chlapnięciem morze zdawało się sypać skrami. Z wolna zaczynała nas ogarniać fala smutku, na pozór całkowicie sprzeczna z minionymi dopiero co chwilami, jak gdybyśmy od dawna wspólnie żyli złączeni uczuciem i oto jakieś wydarzenie równie jak wojna nieubłagane miało nas rozdzielić. Dla nas takim wydarzeniem był świt. Niebo jaśniało już na wschodzie, stopniowo przywracając wszystkiemu na ziemi właściwe proporcje.

Gawain odstawił mnie pod same drzwi domu. W pokoju mamy paliło się jeszcze światło: czekała na mnie. Powiedział mi, trzymając się w przyzwoitej odległości: «No to do zobaczenia!» Znów mówił swoim zwyczajnym głosem. I z lekkim wahaniem dodał: «Może na dniach», ja zaś, stojąc ze zwieszonymi rękami, odpowiedziałam równie banalnie: «Dzięki, żeś mnie odprowadził», choć nie mógł tego nie zrobić, skoro nasze domy graniczyły ze sobą.

Dwa dni później wsiadł na pokład swojego *Vaillant-Couturier* i tego lata nie miałam go już zobaczyć, bo z początkiem września wracaliśmy do Paryża. Czy rozmyśla się o marynarzach zimą w przytulnym mieszkaniu? I jaką kładkę przerzucić między pokładem tuńczykowca a aulą Kartezjusza, w której pan Pauphilet miał dokonywać analizy piękna trzynastowiecznej *Rzeczy o Alkasyne i Nikolecie* i odkrywać przed nami średniowieczną miłość dworską?

Gawain ruszył do siebie i ciemności bardzo szybko go zasłoniły. Weszłam do domu, roztrzepując mokre włosy. Konieczność zajrzenia do mamy, nim pójde do swojego pokoju,

odzierała mnie z całego romantyzmu: to, czego właśnie doświadczyłam, rozsypywało się już, oddalało w błyskawicznym tempie, niczym sen, który się zaciera, gdy mimo wysiłków człowiek się budzi, a po kilku sekundach nie ma już po nim śladu. Wydaje mi się jednak, że do końca tamtego lata chodziłam krokiem mniej pewnym, a w błękit mojego wzroku wkradła się leciutka mgiełka.

Aż wreszcie pewnego wieczoru, bardziej niż inne nastrojowego, jak to bywa u schyłku lata w Bretanii, wprost z serca wyszedł mi wiersz dla Gawaina, powierzona morzu butelka, której przez jakiś czas nie byłam w stanie dla niego wyrzucić. Bo może akurat żartował sobie z kolegami z nieśmiałości małej paryżanki... «Wiesz, ci, co mieszkają w tym domu ze strzechą na końcu wsi... - No, ta dziewczyna jest całkiem, całkiem... - Hmm, tak myślisz?»

Lęk, że się ośmieszę, powstrzymał mnie przed wysłaniem Gawainowi tego wiersza, pierwszego w moim życiu wiersza miłosnego.

Jak łza czyści w obliczu oceanu

Usiedliśmy razem

Byłeś nieśmiały jak mężczyzna-dziecko

Który nie przeczytał Gide'a

Noc była słodka jak noc

Lecz ja chłodna jak pierwsza kobieta.

Trwaliśmy na skraju czasu

Na skraju pożądania i kobiety we mnie

Ty mężczyzna i ja dorastająca dziewczyna

Sztywna i spokojna

Jaką umie się czasem być

Mając dwadzieścia lat.

Powracam często do Raguènès

Ja która czytałam Gide'a

By odnaleźć twój umykający wzrok

I twe usta dzikie i drżące

Jestem dziś słodka jak pierwsza kobieta

Lecz noce są chłodne jak noc.

*A przecież tak mocno bym cię teraz całowała
W smaku soli na skórze naszych ciał
Ciebie co żeglujesz po Morzu Irlandzkim
W gwałtownym uścisku fal
Z dala od moich dwudziestu lat
I od słodkiej plaży gdzie mnie przywiodłeś
By złowić baśniowego stwora
Który się nawet nie pokazał.
A ty?
Czy przybywasz czasem na schadzki
Aby żałować pocałunku, któregośmy nie zakosztowali?*

Niebawem trzeba było zamknąć dom na zimę, rozstać się z moim osiemnastym latem. Zostawiłam ten wiersz w zielniku w szufladzie, gdzie dołączył do wakacyjnych pozostałości, którym czas odbierze żywe kolory: do różowego pancerza jeżowca, okolicznościowej plakietki w kolorze brązu przypiętej do pożółkłego kartonika, osamotnionej skarpetki, której towarzyszkę ciągle miałam nadzieję znaleźć, i do kłosu zboża podniesionego na podwórzu Lozerechów w wieczór omłotów.

Nie wyrzuciłam wiersza następnego lata. Ciągle się łudziłam, że pewnego dnia dotrze do adresata i przypomni mu niepowtarzalny smak pierwszego pożądania.

Wesele Yvonne

Gawaina zobaczyłam dopiero dwa lata później. Ostatecznie wybrał zawód rybaka. Zdał egzaminy na bosmana i w Raguénès bywał tylko co dwa tygodnie przez dwa dni, między dwoma przypływami. Jesienią zamierzał wstąpić do Szkoły Morskiej w Concarneau, chcąc zostać szyprem floty rybackiej.

Życie układało mu się wedle utartego schematu; zaręczył się, «bo nie można wiecznie siedzieć rodzicom na karku», powiedział mi, jakby szukał wytłumaczenia. Jego przyszła, Marie-Josée, pracowała w fabryce w Concarneau. Nie spieszyło im się. Chcieli sobie najpierw wybudować dom w Larmor na kawałku ziemi otrzymanym w spadku po babce Lozerech, i zanim jeszcze wmurowano choćby jeden kamień, zadłużyli się na dobre dwadzieścia lat.

Zamiast się na siebie obrazić albo po prostu się ignorować, unikaliśmy się odtąd, a przynajmniej Gawain mnie unikał. Dość mi się nawet podobało, że kiedy mijamy się we wsi, ten urodziwy chłopak spuszcza na mój widok oczy. Za to w miejscowych sklepikach zaczynał rozmawiać z innymi klientami po bretońsku, gdy ja wchodziłam do środka, dając mi do zrozumienia, że nie jestem «swoja».

Dopiero z okazji ślubu Yvonne został po raz drugi zmuszony spojrzeć mi w twarz. Yvonne bardzo zależało, abym była jej świadkiem, a Gawain obiecał być świadkiem pana młodego, również marynarza, tyle że z marynarki wojennej - był to dla niej warunek sine qua non. Wychodziła za mąż tylko dlatego, że chciała się wyrwać ze wsi: nie mogła znieść pracy na roli, obrządzania zwierząt, przemrożonych zimą rąk, butów ubłoconych nawet w niedzielę i w ogóle życia, jakie wiodła w rodzicielskim gospodarstwie. Nie chciała robotnika zatrudnionego w przedsiębiorstwie, jak jej brat Robert, męża wracającego do domu co wieczór, budzącego żonę o czwartej rano, kiedy wypływa w morze, o rękach wiecznie śmierdzących przynętą; ani rybaka na tuńczykowcu jak dwaj inni bracia. Nie, ona

potrzebowała faceta, który nie ma do czynienia z rybami, nosi piękny mundur i co najważniejsze, całymi miesiącami przebywa poza domem, te miesiące zaś liczą mu się podwójnie do emerytury, już teraz stanowiącej przedmiot rozmyślań Yvonne. I miał to być jeszcze taki facet, żeby przy nim nadarzyła jej się okazja do spędzenia roku czy dwóch w Djibouti, na Martynice albo i nawet na Tahiti przy odrobinie szczęścia. A przez resztę czasu będzie sobie mieszkać spokojnie w pięknym, nowym domu. Yvonne, która w dzieciństwie nie miała czasu na zabawy i mogła posiedzieć tylko w czasie posiłków - a i to razem z matką musiały ciągle wstawać, by obsłużyć siedmiu chłopaków i ojca plus lekko niedorozwiniętego parobka - dążyła do jednego: «żeby mieć spokój»! I za każdym razem, gdy wymawiała te słowa, na jej twarz wypływał ekstatyczny uśmiech. Spokojem dla niej byłoby nie słyszeć stale wykrzykiwanego swojego imienia: «Yvonne, na Boga, niesiesz ten cydr czy nie? Spieszmy się!... Yvonne, leć do pralni, twój brat potrzebuje na jutro bieliznę... Yvonne, wstawajże, krowa sama się nie wydoi...» Toteż małżeństwo jawiło się jej jako pustynia szczęśliwości.

Wzięła sobie pierwszego chłopaka, który spełniał te warunki. A to, że był chuderlakiem ledwie sięgającym przepisowego w marynarce wojennej wzrostu - musiał się mocno starać, by go przyjęto, choć brakowało mu całego centymetra, i to, jak powiadali złośliwi, centymetra najważniejszego, centymetra rozumu - wcale nie stanowiło zasadniczej przeszkody: dzięki temu Yvonne liczyła, że łatwiej będzie jej znosić okresy nieobecności męża.

Rzeczą najtrudniejszą było zorganizowanie ślubu i ustalenie daty. Równocześnie bowiem trzech bracia marynarze musieli się znaleźć w domu, co zdarzało się nader rzadko, odkąd pływali na różnych statkach; ten, który był nauczycielem w Nantes, musiał mieć urlop, a ja spędzać akurat wakacje w Raguénès. Zwłaszcza że Lozerechowie pragnęli wyprawic jedynej córce huczne weselisko, z trzema druhnami w organdy nowych sukienkach koloru niedojrzałych migdałów i z gośćmi zwiezionymi autokarem z całej południowej części departamentu Finistère.

Miało to być również dla nas, dla Gawaina i mnie, piękne weselisko, bo jak się zdaje, zapisane zostało, iż wszelkiego rodzaju święta i uroczystości będą naszą zgubą!

Znalazłam się u jego boku o dziewiątej rano przy pierwszej szklance muszkatelu i mieliśmy się nie rozłączyć przez cały dzień i część nocy, a także następnego dnia na poprawinach.

Zmieniony nie do poznania w odświętnym ubraniu, z niesfornymi włosami wysmarowanymi jakąś pomadą, Gawain podobny był do tresowanego niedźwiedzia, a chodził z miną, jaką przybierał w najgorsze dla siebie dni. Ja zaś, w garsonce z surowego jedwabiu

zalatującej z daleka stolicą i w butach z paskiem zapinanim nad kostką, w których moje nogi, i tak hojnie obdarzone przez naturę, bardzo korzystnie wyglądały, cała tchnęłam spokojną swobodą, będącą przywilejem tych, co nigdy nie żalowali, że urodzili się w miękkiej kołysce danej im przez los.

Tego dnia uosabiałam wszystko, czego on nie znosił, a to pobudzało tylko we mnie zrodzone nagle pragnienie, by rozbić tę jego skorupę i mieć na swojej łasce wrażliwe wnętrze, którego się w nim domyślałam. Epizod z wyspy tkwił głęboko w mojej pamięci, za drzwiami, które zbyt szybko mnie odgrodziły od ledwie ujrzanej krainy jasności. Czy przyśniło mi się wtedy wzruszenie jeszcze teraz ściskające moje serce? Czy Gawain również go doświadczył? Nie zamierzałam przez resztę życia zadawać sobie tego pytania w wieczory, gdy mnie dopadnie tęsknota. Postanowiłam, że zmuszę Gawaina, aby odpowiedź dał mi tego dnia. Albo nigdy.

Nie było sposobności, żeby się do tego zabrać w czasie mszy ani później, podczas trwającego całe wieki ustawiania się do zdjęcia przed maleńką kapliczką w Saint-Philibert, rodzinnej wiosce chuderlaka z marynarki wojennej. Paskudny południowo-zachodni wiatr powiewał wstążkami u bretońskich czepków i podwijał szerokie kryzy, które przywdziały matki młodej pary oraz resztki niepoprawnych tradycjonalistów. Potem zaciął nas szkwał i moje loki, całkiem jak naturalne, jęły mi smagać policzki.

Wreszcie fotograf zdecydował się poskładać osłonę aparatu z czarnej satyny i statyw jak u teleskopu, dając tym samym sygnał do szturm na miejscową kawiarenkę, gdzie miał być podany aperitif połączony z tańcami. Mężczyźni jednak zaraz obiegli bar, a chłopcy automaty do gier, nie przyłączając się do grupy kobiet.

Musiałam poczekać do drugiej po południu, dopiero wtedy bowiem zasiadłam w sali weselnej u boku Gawaina, już zdrowo podpitego i przymierzającego się do muszkatela, bordeaux, szampana i wódki - obowiązkowych dodatków do rytualnego przyjęcia godowego - na których pomoc zresztą liczyłam w mojej operacji «Prawda». Zamroczenie alkoholem jest współnikiem wszelkich słabości.

Jeszcze nie przysłała pora na nieuchronne ozory wołowe w sosie maderowym, sygnał przejścia od wina białego do czerwonego, gdy stwierdziłam u siebie wzrost wrażliwości na ciało Gawaina, znajdujące się tak blisko mojego. («Gdy białe na czerwone dasz, mawiał mój ojciec, w spokoju sobie trwasz. Czerwone na białe polejesz, lecisz z nóg, ani się spodziewiesz.») On zdawał się mnie w ogóle nie zauważać, co kładłam na karb obecności narzeczonej. Siedziała po jego prawej stronie, skromna w różowej sukience, która bardzo nie pasowała do jej cery nie całkiem jasnej blondynki z szopą włosów wysuszonych trwałą ondulacją, cieszącą

się wzięciem w tej okolicy, o biuście zgoła przypominającym biust angielskiej królowej, a wyglądającym jak pokrowiec na wałek od tapczanu. Czy Gawainowi wystarczy taka pospolita trwała ondulacja? Zaczynało mi już na tyle uderzać do głowy, że poczułam z tego powodu smutek w jego imieniu i zapragnęłam, by położył dłoń, a nawet obie na moich piersiach, i to jeszcze dzisiaj. Ale jak tego dopiąć? Wzięłam się już za rozważanie sposobów tak grubiańskich, że z jego strony jeszcze większym grubiaństwem byłoby nie odpowiedzieć na nie. Zamierzałam potem, już po wszystkim, udowodnić mu, jak wrażliwą mam duszę. Lecz jak wszystkie inne lubieżne gesty, jakie sobie kiedykolwiek wymarzyłam, ten, który miał wyrwać Gawaina z irytującej obojętności, również nie dotarł do mojej ręki. Widać ciało mam o wiele lepiej wychowane niż głowę!

Mijały godziny i wesele Yvonne coraz bardziej grzęzło w nudzie przyjęć bez końca, pośród okruczeń, płam z sosu i poprzewracanych kieliszków. Wieśniaczki rozluźniły paski i zsuwały pod stołem masywne trzewiki nabyte na targu, zadające ich stopom udrękę od samego rana; mężczyźni stali w kolejce przy drzwiach, aby wyjść sobie ulżyć, i wracali ożywieni, kończąc zapinać rozporek; podniecone dzieci goniły się wrzeszcząc i wywracając krzesła, podczas gdy pan młody hałaśliwie śmiał się z kolegami, aby pokazać, że jest panem sytuacji, Yvonne zaś, z zaczerwienionym nosem i twarzą lśniąca pod różanym wiankiem, poznawała samotność młodych mężatek.

Ja czekałam na tańce, które miały mi pozwolić, w co nie wątpiłam, na rozładowanie sytuacji. Ale przyjęcie jeszcze się nie skończyło, a nawet jakby nabrało wigoru, kiedy wniesiono tort i szampana, co było zielonym światłem dla zapiewajłów. Zanośliło się na to, że grupka niestrudzonych starców, o głosach drżących bardziej od alkoholu niż z powodu wieku, nie oszczędzi nam ani strofki ze smętnych pieśni bretońskich, w których rozłąka, złamane przyrzeczenia i zaginieni rozbitkowie tworzą dla panny młodej kuszący obraz przyszłości.

Byliśmy przy siódmej zwrotce pieśni *Recouvrant-an-ce*, nie całkiem rozłożonej przez pieśniarkę uważającą się za Rinę Ketty, kiedy Gawain się podniósł i przy aplauzie wszystkich zaintonował *Bro Goz Va Zadou*. Jego basowy głos wziął mnie do reszty - niewiele mi już było trzeba. Z rzewnym wdziękiem wibrował na sylabach języka bretońskiego zarazem twardych i przejmujących, był głosem barda, podobnym do głosu Félix Leclerca, i pasował do potężnego torsu Gawaina, do węzlastych mięśni ramion, w sposób niemal bezwstydnym rysujących się pod obcisłym garniturem, mocno dopasowanym przez krawca z Trégunc, który z niezmiennym uporem starał się wbijać siły natury w ciasne ubiory opinające biodra i z trudem mieszczące wypukłe uda.

Marie-Josée sama dała sygnał do zabawy w całowanie kończące każdą przyspiewkę

rytualnym refrenem:

*Chłopcom całować dziewczyn
Wielebny ksiądz nie daje
Dziewczynom całować chłopców
Nie broni za to wcale...*

Ha, ja też, kurczę blade, pocałuję chłopaka Lozerechów, i to nie byle jak, a w dodatku ostatnia, żeby się nie mieszać z pobekującym stadkiem, które już się ustawiało rzędem, by cmokać pięknego Gawaina. Uszczęśliwiony powodzeniem, śmiał się tym swoim dźwięcznym śmiechem, odsłaniając złamany ukośnie siekacz, który nadawał mu wygląd żołdaka równie zabawny jak czarna przepaska na oku pirata. Wystarczyło mi się przechylić, bo siedziałam koło niego, i dotknąć ustami tego wyszczerbionego siekacza, szybko, jak przez nieuwagę.

Spojrzał na mnie ostro - i poznałam, że nie zapomniał wyspy.

Trzeba jednak było w Café du Port znieść jeszcze aperitif-sangrię w oczekiwaniu, aż przybędzie wreszcie słynna orkiestra Daniela Fabrice'a z Melgven i zacznie się bal. Ale już nie wątpiłam, że moja godzina wybiję niebawem.

Sala balowa była przygnębiająca i pozbawiona jakichkolwiek ozdób, a przy tym rzęsiście oświetlona. Zauważyłam w lustrze, iż wcale od rana nie wypiękniałam. Co było tym bardziej widoczne, że ściągali kolejni goście, odświeżeni, wśród nich kilkunastu znajomych letników, którzy przyszli tam trochę jak do zoo. W sposób naturalny wciągnęli mnie zaraz do swojego kółka, będącego w końcu moim. Rozpaczliwie zerkałam na Gawaina, nie zdołałam jednak przyciągnąć jego uwagi, przestałam dla niego istnieć.

Zastosowałam kilka wypróbowanych sposobów: ściągałam go wzrokiem wlepionym w kark, zaczynałam promienieć światłem niby robaczek świętojański za każdym razem, gdy sądziłam, że jestem w jego polu widzenia, ostentacyjnie odmawiałam przyjaciołom przy najbardziej rzewnych tangach i błąkałam się z kąta w kąt jak dusza pokutująca... Żaden sposób nie podziałał i moje najulubieńsze kawałki Gawain przetańczył z Marie-Josée w ramionach.

No cóż, jedyne, co mi w tej sytuacji pozostało, to wrócić do paczki moich znajomych i zapomnieć tego przystojnego wieśniaka. Nie miałam już tu na co liczyć, zabawa była marna, w ogóle wszystko było do kitu, i bardzo dobrze! Bo i cóż ja bym zrobiła potem z Gawainem? Skrzywdziłabym go tylko. Ta szlachetna myśl była niczym balsam na moją miłość własną.

- Nie zostaje panienka na zupełną cebulową? - zdumiał się ojciec Yvonne, kiedy się

żegnałam.

O, nie! Nie chciałam już patrzeć na Gawaina i tę jego strażniczkę. Poczułam się naraz bardzo zmęczona, o tysiąc mil oddalona od wszystkich Lozerechów. Szybko uściskałam jeszcze Yvonne i wyniosłam się po cichu z moimi. «Tylko byś zniszczyła piękne wspomnienie», rozsądnie zauważyła Frédérique.

Jej słowa jeszcze wzmogły moją irytację. Na nic mi zakonserwowane piękne wspomnienia. Nienawidzę pięknych wspomnień. Lubię tylko piękną przyszłość.

Byłam już w hotelowym ogrodzie, gdzie musiałam okraczyć jakieś rozwalone na skraju drogi pijane mięcho, którego ten i ów fragment jeszcze się ruszał, wyrzucając z siebie od czasu do czasu urywki przyśpiewek albo z wyciągniętą ku niebu ręką wygłaszając kategoriyczne stwierdzenie, kiedy na ramieniu poczułam czyjaś dłoń i aż dreszcz mnie przeszedł.

- Muszę się z tobą zobaczyć - stanowczo szeptał Gawain. - Czekaj na mnie przy pochylni, przyjdę, jak tylko będę mógł. Najpóźniej za godzinę.

Nie było to pytanie. Nie czekał zresztą na odpowiedź. Jego wołali koledzy, a na mnie czekała w samochodzie zniecierpliwiona Frédérique. Zatrzymałam się jednak na chwilkę: wchłonęłam w siebie jego słowa, głęboko odetchnęłam i fala szczęścia mnie zalała, rozpłomieniła radością, przepełniła nieodwołalnym postanowieniem.

Po duchocie sali balowej wdychałam teraz niesioną z wiatrem mocną woń morszczyków, woń seksu. Wstąpiłam do domu, żeby mieć alibi. A także aby zabrać wełnianą budrysówkę, przewidując, iż przyda mi się dla ochrony przed nierównościami ziemi, kiedy Gawain złoży na mnie swoje osiemdziesiąt kilo żywej wagi. I na wszelki wypadek wsunęłam do kieszeni wiersz napisany dla niego przed dwoma laty, dotąd drzemający sobie w szufladzie. Zanim wyszłam, dałam go do przeczytania siostrze, która skrzywiła się niechętnie.

- Strasznie podlotkowaty - skomentowała.

Ale ja uważałam, że jest piękny! Czyż kobieta nie staje się na powrót, podlotkiem, ilekroć biegnie, aby być kochaną?

Tej nocy nie było widać księżyca. Wyspa Raguénès widniała ciemniejsza na tle czarnego morza i wszystko wydawało się znieruchomiałe jakby w oczekiwaniu na coś. Uściśliłam: to ja czekałam na coś. Dla natury była to letnia noc jak każda inna.

Od pierwszej chwili oczekiwania wkroczyłam w upajający proces rozkoszy. Przeżywałam to, co życie może ofiarować najlepszemu - i byłam tego świadoma. Tego wieczoru, ogarnięta szaleństwem, byłabym oddała dziesięć lat życia - no, powiedzmy pięć! - żeby nic nie przeszkodziło w przebiegu akcji sztuki, w której mieliśmy grać, lecz żadne

jeszcze nie znało swojej roli. Czymże jest kilka lat starości, kiedy ma się dwadzieścia lat? Gotowałam się do przeżycia nocy bez jutra, skradzionej konwenansom, rozwadze, nadziei nawet, i czułam w sobie coś na kształt dzikiej radości.

Gawain wreszcie przyjechał. Zaparkował samochód na samym skraju falez, usłyszałam trzaśnięcie drzwiczek i wyczułam, że wpatruje się w ciemność. Niewątpliwie zobaczył mnie w świetle reflektorów, bo ruszył biegiem po skalistym zboczu. Dla osłony przed wiatrem siedziałam oparta plecami o łódkę wyciągniętą na piasek, podkurczone nogi otaczając rękami, w pozycji, która wydawała mi się zarazem sportowa i romantyczna... Wielką uwagę zwraca się na przyjmowane pozycje mając dwadzieścia lat. Gawain złapał obie moje ręce, abym szybciej wstała, i zanim zdążyłam wymówić słowo, mocno przycisnął mnie do siebie, równocześnie wsuwając nogę między moje, wargami rozchylił mi usta i zaraz językiem zaczepił o jego wyszczerbiony ząb, dłoń miałam po raz pierwszy pod jego marynarką, w ciepłym zapachu jego ciała, palcami błądziłam po owym podniecającym zagłębieniu, jakie u niektórych mężczyzn pasek tworzy wzdłuż kręgosłupa, pomiędzy mięśniami lędźwi. Zaczęło bezszelestnie padać, a myśmy nie od razu zdali sobie z tego sprawę, w tak odległej byliśmy krainie. Przez moment myślałam, że Gawain płacze, i odsunęłam się nieco, by spojrzeć na jego oczy... Lśniące od deszczu kosmyki kędziorów opadały mu już na czoło, kropelki mżawki błyszczały na podwiniętych rzęsach. Może i były to jednak łzy. Nasze usta złączyły się, rozdzieliły i znów roześmiane do siebie przywarły, całe śliskie od niebieskiej wody o rozkosznym smaku, a czerni powietrza i melancholia mokrej plaży, i morze pokryte gęsią skórą w deszczu otaczały nas ze wszystkich stron, oddzielając od pełnego wrażeń dnia i zanurzając w ledwie znośnej prostocie miłości.

Deszcz zaczynał torować sobie drogę za nasze kołnierze, wzmagała się południowo-zachodnia bryza, lecz nie mogliśmy się już rozstać. Gawain brodą wskazał na wyspie walącą się chatę, z której pozostał tylko kawałek dachu wsparty na ostatniej belce. Uśmiechnęłam się: bawiliśmy się tam przez całe dzieciństwo!

- Jest czas, żeby tam iść - powiedział. - Gdzieś do drugiej woda będzie się cofać.

Pobiegliśmy piaszczystym grzbietem łączącym wyspę z lądem w czasie odpływu, wykręciłam sobie nogę w kostce na porostach i Gawain, którego oczy jak u psa eskimoskiego widzą w ciemności, pomógł mi wspiąć się po trawiastym płaskowyżu do samej chaty... a raczej do tego, co z niej pozostało. Zadyszani ujęliśmy się bez słowa za ręce, przejęci doniosłością rozkoszy, jaką nam sprawiało, że tak mocno pragniemy tego, co mieliśmy zaraz zrobić tam, pod tym walącym się dachem, nie bacząc na przeszłość ani przyszłość. Kiedy życie tak właśnie zawiera się w jednej chwili i kiedy człowiek zdoła zapomnieć o całej

reszcie, być może osiąga wtedy najintensywniejszą formę radości.

Schroniliśmy się w jedynym suchym kątku ruinki, na klepisku, i powinszowałam sobie, że zabrałam budrysówkę. Potrafiłam tylko powtarzać w kółko: «Jesteś tu? Powiedz, że to ty... Takie tu ciemno, że mam wątpliwości... - Wiedziałem, że się kiedyś znajdziemy, wiedziałem», odpowiadał głaszcząc mnie po twarzy, by lepiej ją zobaczyć, potem delikatnie badając moje ramiona pod bluzką, potem kark, talię, rzeźbiąc mnie powoli w cudownym tworzywie oczekiwania.

Do tej pory nie zdobyłam zbyt dużych doświadczeń w miłości. Mając dwadzieścia lat, znałam tylko Gillesa, który mnie uczył... i niczego nie nauczył, ponieważ oboje razem i każde z osobna nie bardzo wiedzieliśmy, co można robić narządami płciowymi. Potem był Roger. Jego inteligencja wprawiała mnie z podziwu w oniemiaenie i pozbawiała zdolności wydawania osądów, nawet kiedy między dwoma wykładami z fizyki na chybcika w swoim studenckim pokoiku - z wodą bieżącą w korytarzu - na marokańskiej narzucie załatwiał mnie w cztery czy pięć tagadagadamów, które poprzedzało niewiele więcej giligili w charakterze startera. Wbrew sobie wspominam to, ilekroć widzę, jak skrzypek czubkiem środkowego palca szarpie strunę instrumentu, po czym zostawia ją, osiągnąwszy, co zamierzał - albo na pozór osiągnąwszy. W czasie wchodzenia Roger uprzejmię czynił wysiłki, by poszeptywać «kocham cię», a ja odpowiadałam «kocham cię» żeby dodać sobie odwagi i włożyć odrobinę serca w ten krótki kwadrans, którego oczekiwałam zawsze z taką samą nadzieją i w którym wyraźnie takiego jak on elementarnego zaspokożenia nie znajdowałam. Nie zadawał jednak żadnych pytań i regularnie czynił to samo, co znaczyło, że byłam O.K. i że «miłość fizyczna», jak to wtedy nazywałam, na tym właśnie polega. Ja wołałam chwile przed, on po. Być może na tym właśnie zasadza się słynna różnica płci.

Nie pamiętam, czy Gawain owego wieczoru umiał już tak dobrze pieścić jak potem. W tamtych czasach niezbyt bawiono się w pieszczoty w jego środowisku. I w tamtych czasach ja również nie bez oporów pozwalałam się pieścić. Rogera uważałam za jak najbardziej normalnego. Nie można przecież zanudzać mężczyzny gadaniem w rodzaju «nie wyżej» albo «aj! nie tak mocno!...» lub co gorsza «jeszcze trochę». Bo jeśli mu się tak naprzykrzać, to dziewczyna zaraz wygląda na nienasyconą i wtedy on sobie idzie poszukać innej, zawsze zadowolonej, która czci jego magiczną różdżkę i pije jego święte krzyżmo z miną komunikantki. Tak przynajmniej wszyscy wokół mnie twierdzili, a jak miałam sprawdzić? Szczerłość z mężczyznami nie była w zwyczaju: nie mówili tym samym językiem co my. Człowiek należy do swojej płci na identycznej zasadzie jak do kraju.

Tamtej nocy po raz pierwszy granica runęła, jak gdyby nasze ciała znalazły się od

zawsze. W rytmie takiego samego pożądanego zatarciu dzielących nas różnic, jakbyśmy dotąd na siebie czekali, by wreszcie oddać się sobie w miłosnym uścisku i jedno drugiem bez końca wzajem uwalniać się od siebie, nie osiagając nigdy kresu rozkoszy spełnienia, kiedyśmy jej doświadczali, i czując już, jak gdzieś w zakamarkach ekstazy minionej rodzą się pierwsze fale ekstazy przyszłej. Trwaliśmy w jednej z owych nocy zawieszonych poza czasem, jakie zdarzają się ledwie kilka razy w ciągu całego życia.

Na ziemię sprowadził nas przypływ: Gawain naraz usłyszał szum przybliżających się fal. Ten człowiek zawsze wiedział, co się dzieje z morzem.

- Albo wiejemy stąd zaraz, albo będziemy wracać w pław - oświadczył, rzucając się pędem do naszych rzeczy walających się na ziemi. Mój stanik ulotnił się gdzieś i zrezygnowałam z poszukiwań. Ostatecznie podpisany nie był. Gawain nie mógł przecisnąć guzików przez dziurki skurczone na deszczu i słyszałam, jak klnie w ciemności. Udało nam się wreszcie jako tako pozbierać i ja z tą idiotyczną torebką, jakbym wychodziła z herbaciarni, Gawain ze spodniami okręconymi wokół szyi, wystawionymi na deszcz, by nie zmoczyły się w morzu, z trudem hamując wybuchy śmiechu i potykając się w kałużach, pobiegliśmy ku przesmykowi, gdzie już wdierał się dość silny prąd. Obejmowaliśmy się mocno, aby nas nie porwał, i w samą porę przebyliśmy bród w wodzie po pas. Ale czy jest piękniejszy sposób splukania z siebie soków miłości?

Wnętrze auta wydało nam się niesłychanie wygodne i suche, gdy z wielkim trudem wciągaliśmy na siebie przemoczone do suchej nitki pozostałe części garderoby. We wsi Gawain zaparkował na swoim podwórzu i odprowadził mnie pieszo do domu. Ulica woniała ciepłą oborą, słychać było, jak bydło szeleści słomą. Nam także marzyło się ciepelko obory, lecz trzeba było wracać - każde do swojego życia. Zrobiło się naraz zimno i po raz ostatni schroniliśmy się w żar naszych złączonych ust.

- Mam coś dla ciebie - wyszeptalam, dobywając z torebki wilgotną kartkę z wierszem.
- Wiem, że pewnie wydam ci się śmieszna... ale napisałam go po tamtym wieczorze, wiesz... dwa lata temu...

- Więc ty też?... - spytał Gawain swoim nocnym głosem. - Myślałem, że...

- Ale przecież to ty nigdy nie dałeś mi żadnego sygnału!

- Wydawało mi się, że tak będzie lepiej dla nas obojga. No i widzisz, dzisiaj to było silniejsze ode mnie i teraz jestem na siebie zły. W gruncie rzeczy łajdak ze mnie.

- Czemu? Dlatego, że jesteś zaręczony?

Wzruszył ramionami.

- Zaręczyłem się, żeby się bronić przed tobą... to znaczy przed tym, co mogłem sobie

roić. Między nami wszystko z góry było przewalone, ja tam nigdy się nie łudziłem. I nie powinienem był cię dzisiaj ściągać na brzeg, to kompletny idiotyzm. Wybacz mi.

Oparł na moim ramieniu głowę pokrytą sztywnym, kręconym jak owcze runo włosem. Chciałam wytłumaczyć mu, że jedynym niewybaczalnym idiotyzmem byłoby oprzeć się jednej z takich chwil, jakie życie tak oszczędnie nam ofiarowuje, co już wtedy przeczuwałam. Ale nie zrozumiałby. Nie na takich zasadach funkcjonował. A poza tym lało coraz bardziej, moja budrysówka śmierdziała mokrym psem, do butów wciskało nam się błoto i drżeliśmy z chłodu i smutku. Gawain także ze złości. Dał się ponieść uczuciom, a to nie szło w parze z jego planami życiowymi. Czułam, jak sztywnieje, opanowany chęcią jak najszybszego powrotu do swoich prawd, do swojego uporządkowanego świata.

- Wybaczę ci - odpowiedziałam - jeśli obiecasz, że się zobaczymy, zanim zimą zaczniesz zajęcia w szkole. Tylko jeden raz, ale tak naprawdę, w prawdziwym łóżku... i nie bojąc się całego czasu przyływu. Chciałabym lepiej cię poznać, zanim o tobie zapomnę.

Gawain przytulił mnie mocniej. On nie mógł już o mnie zapomnieć.

- *Va Karedig* - szepnął - nie odważyłbym się powiedzieć ci tego po francusku. I dlatego, że jest tak ciemno... Nie mogę ci nic obiecać... Nie wiem. Ale ty musisz wiedzieć...

Nie zdołał dokończyć. A ja wiedziałam już, że jest rzetelnym rybakiem, zaręczonym, przyzwoitym do szpiku kości i przesiąkniętym pragnieniem, aby być «kimś czystym», jak to on mówił. Ja zaś chciałam dla niego być tą niezapomnianą, byłam gotowa nawet pokrzyżować jego małżeńskie plany z niewinnym okrucieństwem młodej kobiety, która ani przez chwilę nie bierze pod rozwagę smętnej pociechy, jaką jest świadomość, że ukochany mężczyzna żyje sobie w spokoju u boku innej, lecz z wyrafinowaną rozkoszą pozostawia go w udreće nieuleczalnej tęsknoty.

- *Kenavo... A Wechall* - dodał ciszej i odsunął się. - Co do Paryża, to zrobię, co się da - powiedział z owym akcentem bretońskim, który skraca słowa i którego chropowatość tak lubiłam. Podniósł prawą dłoń w górę, jakby mówił «przysięgam», i stał tak, dopóki nie zamknęłam za sobą niskich drzwi domu.

Paryż

Wielkie chwile w życiu: narodziny, choroba, śmierć, mają to do siebie, że doprowadzają człowieka do krańcowej banalności i przywołują na usta szablonowe wyrażenia, wywodzące się z mądrości ludowej, które lepiej niż język naukowy tłumaczą reakcje instynktowne.

Odkąd Gawain dotrzymał obietnicy i przyjechał na kilka dni do mnie do Paryża, nie mogę spać ani przełknąć nawet kęsa; gardło mam dosłownie ściśnięte, żołądek zawiązany, serce wezbrane smutkiem i nogi z waty, jak gdyby czynności płciowe wykluczyły wszystkie inne. Jestem także dotknięta tym, co nader trafnie można określić jako «ogień w tyłku». Przez trzy dni będę musiała chodzić z tą głównią płonąca we mnie, nosić piętno Gawaina wypalone żelazem jak panna O* pierścień między nogami.

- Wiesz, że pali mnie ogień... no, w miejscu, które mam na myśli? - mówię mu, nie mając odwagi powiedzieć «w tyłku» ot tak, po prostu. W końcu nie znamy się znowu tak dobrze.

- Masz ogień w miejscu, które *ja* mam na myśli - odpowiada z rozterką na twarzy, wahając się między zadowoleniem z hołdu złożonego jego męskości a zdziwieniem wobec mojej szczerości, której nie spodziewał się po osobie z moim wykształceniem.

Lubię go szokować, to takie łatwe! Jego życie jest oparte na ustalonych poglądach w świecie, w którym rzeczy i ludzi raz na zawsze podzielono na niezmiennie kategorie.

Nacierając kojącą maścią udręczoną część mojego ciała, dziwię się, że autorzy książek erotycznych najwyraźniej w ogóle nie biorą pod uwagę takich powikłań wynikających z... rozkoszy. Vaginy ich bohaterek przedstawiane są jako niezniszczalne kanały, zdolne w nieskończoność znosić ataki obcych ciał. Co się tyczy mojej, to jakby ją odarto ze skóry. Uważnie oglądam tę strefę w lusterku powiększającym i nie poznaję własnego pocziwego sromu, zwykle tak skromnego, tak dystyngowanego. Mam teraz jakąś morełę rozhukaną,

* Bohaterka powieści erotycznej Pauline Réage *Histoire d'O* (*Dzieje panny O*).

wyzywającą, o mięszu rozciągającym skórę aż do pęknięcia, słowem absolutnie bezwstydną. I płonąca. I niezdolną pomieścić choćby nitczkę makaronu.

A jednak nie później niż za godzinę zgodzę się, co ja mówię! zażadam, aby Gawain na nowo przyłożył mi swoje rozpalone żelazo i wcisnął we mnie tego giganta, który wbrew wszelkim prawom fizyki, gdy już raz przekroczony zostanie próg bólu, wpasuje się dokładnie w miejsce mimo wszystko ciut za ciasne, jak to się mówi o ubraniu.

Gdybyśmy żyli normalnie, poprosiłabym o zawieszenie broni, ale mamy przecież tak mało czasu! I wbrew wszelkim przewidywaniom, bo liczyłam, że się nasycę i pożegnana zaspokojona, czuję w sobie coraz większe łaknienie. Jego ciągła bliskość, bijący odeń zapach zboża, zdumienie, że tak bez ustanku go pragnę, rządzą moimi wszystkimi zmysłami. Toteż nocą czuwam, starając się napełnić nim kiedy śpi, a w dzień karmię się jego urodą, pieszczotą rąk tak twardych i niezdarnych, gdy je widzę na stole, a zamieniających się w dłonie złotnika, skoro tylko dotkną mego ciała. W przerwach, w trosce o zachowanie odrobiny przyzwoitości i po trosze w obronie przed bestią, idziemy zwiedzić Wieżę Eiffla, Łuk Triumfalny, Luwr... Trasa turystów przemierzana po przebyciu trasy kochanków. Ponieważ Gawain w życiu nie widział stolicy, zabieram go na wycieczkę statkiem po Sekwanie. Ale wszystkie nasze promenady kończą się tak samo: wsparci o siebie, obolali po miłosnych zmaganiach, udajemy początkowo, że spacerujemy sobie ot tak, jak zacni przechodnie, aż do chwili, gdy jeden wymowniejszy rzut oka na moje piersi, jedno przypadkowe muśnięcie jego twardego uda, jedno spojrzenie, w którym czytam coś więcej niż zainteresowanie fasadą Luwru, sprawiają, że zawracamy do hotelowego pokoiku ze źle skrywanym pośpiechem, budzącym w nas lekki wstyd.

Robimy postój w barze: tylko alkohol rozwiązuje mi język, a każdy kieliszek pozwala nam znów poznać się odrobinę bliżej i zapomnieć o osaczającym nas rozstaniu.

- Co ty tu w ogóle robisz, Lozerech? Możesz mi wytłumaczyć?

- Sam się dziwię, ale jak chcesz, to możemy razem spróbować zrozumieć - odpowiada Gawain, starając się obrócić w żart problem, który najwyraźniej go dręczy. Lecz mówiąc dotyka mojej nogi swoją, a to wystarczy, byśmy natychmiast opuścili granice rozsądku. Pokonani, niezdolni nawet do kpin, wydajemy z siebie jedno z owych bezwiednych westchnień, które podkreślają nieposłuszeństwo ciała.

Potworne i rozkoszne były te dni. Rozkoszne, bo mam karygodną skłonność do życia chwilą obecną. Potworne, ponieważ czułam, że Gawain gotów jest ofiarować mi swoje życie i że nie uczyni tego dwa razy.

Dopiero ostatniego wieczoru znaleźliśmy dość odwagi, aby pomówić w jednej z

przytulnych restauracyjek, które dają złudzenie ucieczki od okrucieństwa życia. W pokoju hotelowym było to niewykonalne: nasze dłonie zbyt szybko ucinały słowa. Tym bardziej że lękaliśmy się prawdy. Znaleźliśmy się tam przecież przez pomyłkę. Za to, że każde z nas przemocą wyrwało się z własnego życia, zostaniemy ukarani.

Podczas gdy najlepiej, jak mogłam, ukrywałam pod skórą i ośmi filety soli, której nie byłam w stanie przełknąć, Gawain, zajądając ze skupioną starannością, z jaką robił wszystko, wykladał mi swoją wizję przyszłości, jak gdyby omawiał kontrakt z armatorem. Proponował mi za jednym zamachem, że zerwie zaręczyny, zmieni zawód, zapisze się na kursy, «wszystkie, jakie trzeba», zdobędzie wiedzę «w zakresie sztuki współczesnej i muzyki», weźmie się za czytanie, na początek wielkich klasyków, wyzbędzie się swojego akcentu, a kiedy już to wszystko zrobi, poślubi mnie.

Siedział po drugiej stronie niedużego stolika, kolanami obejmował moje pod obrusem i patrzył jasnym wzrokiem - bo czyż nie czynił uczciwego poświęcenia? - mroczniejącym wszakże w miarę, jak z moich oczu odgadywał, że nawet gdyby oddał życie, i tak by to nie wystarczyło.

Wolałabym nie odpowiadać mu od razu, zaproponować, żebyśmy się może zastanowili, nie zabijając jednym słowem tak gorącej miłości. A równocześnie jego naiwność budziła we mnie smutek. Bo jakież mężczyzna uczyni mi kiedykolwiek propozycję równie szlachetną, równie szaloną? Niestety! Gawain uznawał tylko tak albo nie. Wolałby wyciąć sobie z piersi serce i odrzucić je precz, aniżeli brać udział w rozwiązaniu kompromisowym i widywać mnie, chociaż nie należałabym do niego.

Milczałam, bo w zamian mogłam mu ofiarować tylko mało znaczące drobiazgi, na których nie buduje się życia: moje bezsensowne pożądanie i czułość. Nie chciałam ani przerywać studiów, ani zostać żoną rybaka, ani mieszkać w Larmor-Plage z jego kolegami oraz Yvonne jako szwagierką, ani spędzać niedziel na boisku w Lorient patrząc, jak się ugania po polu karnym. A żeby go dobić do reszty, wcale nie chciałam także jego poświęcenia, chciałam, by nadal wykonywał swój zawód, by zachował swój akcent, siłę i brak wykształcenia. Żebym to chociaż wiedziała, czy będę go kochać przebranego za urzędnika czy nawet cieślę okrętowego, pozbawionego odbicia morskich fal w oczach! I czy on siebie takim będzie lubił? Lecz moje argumenty nie docierały do niego. Twarz zamykała mu się i wyglądało na to, że zaparł się w sobie, choć nie w pełni zdołał opanować drżenie w kącikach ust. Mój Boże, jakże ja go kochałam, jakże kochałam w nim zmaganie się wrażliwości i owej gwałtowności będącej jego prawdziwą naturą i zawsze gotowej wybuchnąć! Moje uczucie do niego wzbogaciło się jeszcze o jego udrękę i zasługiwałam na

porządne lanie.

Kiedy po wyjściu z restauracji chciałam otoczyć go ręką w pasie, odtrącił mnie zapalczywie.

- Równie dobrze mogę jechać jeszcze dzisiaj, skoro tak - powiedział bezbarwnym głosem. - Nie warto płacić za tę noc w hotelu.

Utrata jednej nocy wydała mi się dojmującym zamachem na życie, znieważeniem ofiarowanego nam daru. Ale nie przekonałabym Gawaina. Lozerech wracał do swoich przepełniony urazą do miarowych dziewczyn, które najpierw wywracają człowiekowi życie do góry nogami, a potem z lekkim sercem odchodzą. Właśnie klecił sobie własną wersję, mającą zaspokoić przynajmniej jego wyobrażenie o egzystencji.

- Może będziesz żałować, że odrzuciłaś to wszystko, co gotowym był ci dać. Możeś jest za bardzo skomplikowana, żeby być szczęśliwa.

Nie śmiał na mnie spojrzeć. Nigdy nie patrzył mi w twarz, kiedy mnie krytykował. Jak wszyscy ci, co nie wyobrażają sobie nawet, czym jest dzieciństwo obłożone przywilejami i z odpowiednim kierunkiem kształcenia, ufał, że wszystko da się nadrobić. Że pracując tak, jak on potrafi, w ciągu roku, a najwyżej pięciu lat osiągnie stosowny poziom. Na cóż są bowiem odwaga, zawziętość, skoro nie potrafią pokonać takiej jak ta przeszkody? Nie uwierzyłby mi, gdybym mu powiedziała, że książki i wysiłek to nie wszystko. Nie dopuszczał do siebie okrucieństwa tej niesprawiedliwości.

Zdecydowałam się na mniej słuszne racje, które jednak wydawały mu się łatwiejsze do zaakceptowania, a także bardziej małostkowe, co go w pewien sposób uspokajało. Lecz ten, kto przemawia językiem rozsądku, jest stroną mniej kochającą. Tę prawdę Gawain zdążył poznać.

Nie było już tego wieczoru pociągu do Quimperle. Ogarnęła mnie fala radości: a więc raz jeszcze będzie musiał się obok mnie położyć ten prostak, w którym - czułam - w sposób namacalny rosła wrogość do mnie. W hotelu zażądał osobnego pokoju, lecz nie było wolnych. Skrupulatnie ukryłam zadowolenie.

Ledwie wszedł do pokoju, spakował walizkę, jak w kinie, na grandę wrzucając do niej swoje rzeczy, po czym rozebrał się w milczeniu, za karę starannie zasłaniając przed moim wzrokiem swoje narządy. W łóżku odnalazłam jego mocny zapach rozgrzanego zboża, ale odwrócił się do mnie plecami, nie opalonymi plecami marynarza, który nigdy nie miał czasu ani ochoty, by wystawiać się do słońca. Jego ciemny kark wydawał się doklejonny do korpusu, niczym w kartach, gdzie można odwracać głowę i kadłub narysowanych postaci. Przez chwilę

przesuwałam wargi wzdłuż tej jego linii demarkacyjnej i po dziecięcych kędziorach na karku, on jednak ani drgnął. Potęga odmowy była odeń niby lodowaty powiew, który sparaliżował mnie do tego stopnia, że bezsennie leżałam na plecach, tak blisko, jak tylko mogłam, nie dotykając go.

Mniej więcej w połowie nocy, wyczuwszy, iż jego czujność osłabła, nie zdołałam się powstrzymać i przywarłam brzuchem do jego pleców, a policzkiem do ramienia. W niemym półśnie, w jakim trwaliśmy, odnosiłam wrażenie, że tulimy się do siebie głębią naszych jestestw, nie godzących się na rozstanie i zjadliwie kpiących z moich skrupułów. Poza nami - a może w nas? - jego męskość i moja kobiecość bez udziału naszej świadomości dawały sobie znaki i przyzywały się. Gawain niczego nie chciał słyszeć, lecz już nie on dowodził. Odwrócił się naraz, runął na mnie i bez pomocy rąk jednym ruchem wdarł się tam, skąd słyszał wołanie. Sądząc, że mnie upokorzy, natychmiast osiągnął szczyt, jednakże nie oderwał ust od moich warg i zasnęliśmy w sobie, oddychając sobą, aż wstał smutny świt.

W mdłym świetle dworca Montparnasse nie byliśmy w stanie pocałować się na pożegnanie. Gawain tylko, zanim wszedł do wagonu, przyłożył policzek do mojej skroni, jak przy naszym pierwszym spotkaniu. Potem zaraz się odwrócił, aby ukryć przede mną swoją twarz sierotki, a ja ruszyłam do wyjścia z sercem pełnym łez, głową pełną myśli, przy czym każda cząstka mnie działała niezależnie, jak gdyby nie należały do jednej osoby.

Nikt z mijających się ze mną ludzi nie obdarzył mnie najmarniejszym spojrzeniem, szłam ogołocona z owego pożądanego, jakie jeszcze wczoraj wzbudzałam, przywrócona obojętności świata. Przejęło mnie dreszczem osamotnienia i przeklinałam naszą niezdolność do życia zgodnie z porywami serca, zwłaszcza moją, ale i Gawainową, którą by w sobie odkrył później. Cóż, kiedy czułam się zbyt mocno spętana moimi drogimi przesądami, będącymi pozostałością dzieciństwa. I z ową surowością, która wówczas zastępowała mi osobowość, nie mogłam mu wybaczyć braku ogłady, przeklinania na każdym kroku, upodobania do pstrych bluz i skórzanych sandałów noszonych na skarpetki, sarkastycznego śmiechu na widok obrazów abstrakcyjnych, które poprzedniego dnia potępił w czambuł kilkoma absolutnie dorzecznymi zdaniem; ani zachwyty dla Riny Ketty, Tina Rossiego i Maurice'a Chevalier, śpiewaków, których nie znosiłam i ja z kolei kilkoma kategorycznymi zdaniem potępiłam! Nie mogłam mu wybaczyć sposobu, w jaki kroił chleb, przytrzymując go kciukiem, i mięso na talerzu, zanim zaczął jeść, ani ubogiego słownika nasuwającego wątpliwości co do jakości jego myśli. Za wiele byłoby do zrobienia. Czy zgodziłby się na to, on, przejawiający wobec kultury sporą nieufność i w gruncie rzeczy niewielki do niej szacunek, ponieważ utożsamiał ją raczej ze snobizmem? Bo przecież używając pięknych

słówkę wmawia się wszystko biedakom, a «politykiery», jak to on powiadał, «oszukują nas wszystkich co do jednego». Niepodobna by zachwiać go w mniemaniu, że każdy polityk to przekupny pyskacz, z wyjątkiem może komunistów, na których zawsze głosował, choć nie tyle z przekonania, co przez zawodową tradycję. Rybacy żyją na pokładzie we wspólnocie i otrzymują równe udziały w zysku, zależne od wyników połowu w czasie każdego przypływu. Gawain szczylił się niezmiernie, że nie otrzymuje stałej pensji.

U niego najwyżej ceniono kompetencję, uczciwość, odwagę; zdrowie było zaletą, a zmęczenie wadą pokrewną lenistwu. Pracę mierzono jej użytecznością, nigdy zaś wysiłkiem ani czasem, których wymagała.

U nas, paryżan flirtujących z artystyczną awangardą (mój ojciec wydawał pismo artystyczne), uczciwość uchodziła za cechę odrobinę śmieszna, chyba że szło o gospozię. Odnosiliśmy się z wyrozumiałością do wszelkich nieudaczników czy próżniaków, jeśli mieli dowcip i umieli się ubrać, alkoholików z wyższych sfer traktowaliśmy z pewnym rozrzewnieniem, pomieszanym ze wzdargą, gdy chodziło o wsiowych pijaczków. Pokazanie prawdziwego rybaka byłoby atrakcją jednego wieczoru: moi rodzice przepadali za piosenkami marynarzy, za plecionymi przez nich na statku pasami z rzemyków ozdobionymi mosiężną kotwicą, za szerokimi bretońskimi beretami noszonymi jeszcze tylko przez letników i za czerwonymi albo granatowymi ubraniami zręcznie spranymi, bardziej marynarskimi niż te noszone przez najstarszych marynarzy. Uwielbiali mówić «kenavo» wychodząc ze sklepu i bardzo im się podobało, że piekarz nazywa się Corentin. Mój ojciec nawet nosił, przez dziesięć minut w roku, saboty z białego drewna i stosowne do nich czarne papucie w niebieskie grochy. «Nie ma nic praktyczniejszego - twierdził - kiedy ma się ogród!» Mało brakowało, a zabiegałby o przygarść słomy, żeby wyłożyć nią drewniaki, bo «to o wiele zdrowsze»!

Ale prawdziwi rybacy: umięśnieni i owłosieni, umieszczeni nie na targu lub tuńczykowcu czy trawlerze (gdzie prezentują się tak godnie, tak szykownie w żółtych płaszczach sztormowych i nogawicach. «Ja to chylę czoła przed tymi chłopakami!»), a fe! ohyda! Ale prawdziwy rybak na dywanie w paryskim mieszkaniu, odziany w pstrą bluzę i z żalobą za paznokciami, a fe! ohyda!

W roku 1950 bariery społeczne były dość nieprzepuszczalne. Nie czułam się na siłach wprowadzić Gawaina do mojego środowiska, wtłoczyć do mojego kulturalnego tygla. I nie chciałam także siebie przesiedlać do jego świata, gdzie groziłby mi uwiąd. Ale on, podobnie jak nie w pełni widział okrucieństwo mojej rodziny i czekający go los, gdybym za niego wyszła, tak samo zupełnie sobie nie uświadamiał intelektualnej pustki, której niechybnie bym

doświadczala żyjąc z nim.

- Po co to robić takie historie z życiem? - powiedział ostatniego wieczoru ze źle skrywaną wrogością. - Trzeba je brać takie, jakie jest.

No cóż, mnie historie były potrzebne.

Obiecał, że zadzwoni, nim znowu wypłynie w morze, i ta perspektywa, nawet pozbawiona cienia nadziei, pomniejszała oschłość rozstania. Tyle że Gawain nie umiał telefonować, powinnam była o tym pamiętać. Aparat, niedawno zainstalowany i zawieszony w sieni domu otwartej na przestrzał, wydawał mu się szatańskim przyrządem, w sam raz przydatnym, by odwołać jakieś spotkanie czy powiadomić o czyjejs śmierci. Gawain mówił głośno, starannie wymawiając, jakby się zwracał do przygłuchego. Nie wymienił mojego nazwiska: dość już było, że zamówił u telefonistki Paryż. «A ten znów co ma wspólnego z Paryżem?» pomyślała pewnie.

- Przypuszczam, że nie zmieniałaś zdania? - spytał na samym wstępie.

- Tu nie chodzi o moje zdanie, Gawain, to... no, nie mogę inaczej zrobić. Tak bym chciała, żebyś zrozumiał...

- Dobrze wiesz, że nic nie rozumiem.

Zapadło milczenie.

- To jutro wyjeżdżasz, tak? - podjęłam po chwili.

- Tak było przecież postanowione, nie?

Gawain miał słuszność, ten cholerny aparat nie pozwalał się dogadać. Czułam się niezdolna wymówić «kocham cię» do słuchawki. Ażeby nie odłożył, powiedziałam byle co.

- Napiszesz do mnie? Powiedz, będę mogła do ciebie pisać?

- To nie będzie takie proste... Mam mieszkać u rodziców Marie-Josée w czasie przygotowywania się do dyplomu. Jak tylko przyjadę do Concarneau, wyślę ci kartkę.

- Świetnie. Z serdecznymi pozdrowieniami, mam nadzieję.

Milczenie pełne urazy. Nie mógł powiedzieć «cholera» do aparatu.

- No to muszę się już zbierać - oznajmił i nie zwlekając odwiesił czarną słuchawkę.

Dziesięć następnych lat

Przez dziesięć następnych lat wiodłam życie zbyt wypełnione, aby mieć czas na rozmyślania o pierwszej miłości. Tęsknota za nią nachodzi człowieka dopiero później, kiedy druga miłość, ta, na której odważył się oprzeć swoje życie, zaczyna grozić upadkiem. To, czego nie zaznało się wcześniej, nabiera wówczas zgubnych powabów.

Nadeszła pora, gdy moja młodość niepostrzeżenie przeobraża się w wiek dojrzały. Nie przekroczyłam jeszcze progu trzydziestki, wprowadzającego w długi ciąg drzwi do przebycia, z których każde stanowią okazję do postawienia sobie niepokojącego pytania: Czy moje życie już się ostatecznie ułożyło? Co istotnego jeszcze mnie spotka? Kiedy człowiek mija przyładek sześćdziesiątki, śmieje się ze swojej naiwności lat młodzieńczych. I popełnia błąd.

Dopiero wszedłszy w czwarte dziesięciolecie straciłam nieocenione dobro, jakim jest beztroška. Do tej pory żyłam lekceważąc całkowicie fakt, że jestem śmiertelna, oraz drugi, jeszcze trudniejszy do przyjęcia, że jestem wrażliwa, że ciało może się sprzeciwić moim prawom i narzucić swoje. Do tej pory również wszystko, co przeżywałam, miało urok nowości - łącznie ze zmartwieniem.

W czasie tego beztroškego dziesięciolecia obroniłam doktorat z historii po zrobieniu magisterium z historii literatury, później zostałam zatrudniona jako wykładowca na Sorbonie; następnie wyszłam za Jeana-Christophe'a, wówczas szefa produkcji w wytwórni filmowej Gaumont-Actualités, i wydałam na świat piegowatego jasnoblondego chłopczyka: Loïca Erwanna Augereau.

Gawain ożenił się w tym samym co ja, 1952 roku, i zanim się z Marie-Josée zdążyli zreflektować, już mieli na karku czwórkę dzieci. Po naszym zerwaniu natychmiast ruszył swoim kursem, gdyż nie należał do ludzi «fundujących sobie depresję» - w tym sformułowaniu był cały on. Później «zdał na szypra», jak mówiła jego matka, i pływał na trawlerze u wybrzeży Irlandii. «Ale nielekkko mu», dodawała powściągliwie, a przez jej oczy

przewijała się wtedy nuta smutku, o którym nigdy nie wspominała: najmłodszego syna, czternastoletniego Roberta, dwa lata wcześniej fala zmiotła nocą z pokładu i nie odnaleziono jego ciała. Odtąd mniejszą wzgardę okazywała pozostałym synom, kiedy zdarzało się, że «było im nielekkko».

Co roku, stawiając czoła dezaprobachie rodziny, Gawain wracał na połów tuńczyka w Zatoce Gaskońskiej, połów spokrewniony z polowaniem, będący jego najulubieńszym. Był to dla niego najlepszy okres w roku. «Połów w sam raz dla letnika», powtarzała jego matka, wzruszając ramionami. Zwłaszcza że w latach pięćdziesiątych o białego tuńczyka u wybrzeży Francji było coraz trudniej.

- Twój brat ma dobry zarobek przy langustach w Mauretanii - mawiała podstępnie za każdym razem, gdy zjawiał się u niej syn z Marie-Josée i dziećmi.

- No, a podobno tam dno całe przykryte jest langustami - ochoczo podchwytywała jej synowa z pożądliwą miną. - Mamy przecie teraz czwórkę małych! I raty za dom...

Mając trzydzieści trzy lata Marie-Josée ostentacyjnie oszańcowwała się w obozie matek dzieciom i mówiła o swoich małych jak samica ssaka. Należała do tych, co to «są na nogach» od świtu do zmierzchu, pucują dom, uprawiają ogródek, piorą w pralni i tylko idąc na niedzielną mszę zdejmują fartuch wypchany przez obwisłe piersi. Ostatnia ciąża pozbawiła ją dwóch przednich zębów i tym samym dodała jej dziesięć lat, przez co ta młoda bądź co bądź kobieta przedwcześnie dołączyła do obozu matron. Odtąd bardziej przypominała własną teściową niż wiotką dziewczynę, jaką Gawain poślubił kilka lat wcześniej.

Jego mijałam czasem w miasteczku, gdzie przyjeżdżał w niedzielę pograć w kule, kiedy był na łądzie. Kolejne macierzyństwa żony w niczym nie pomniejszyły jego urody, tak że nadal był siejącym największe spustoszenia w sercach chłopakiem w całym Raguènes, Nevez, Trégunc i Trévignon, nawet w Concarneau! Miałam ochotę naruszyć ten jego pozorny spokój, upewnić się, że niekiedy marzy o mnie; ale nigdy nie był sam, co pomagało mu uniknąć wszelkich aluzji dotyczących tego nieco szalonego wypadu, jakiegośmy się dopuścili ongiś, uciekłszy każde z przeznaczonego mu życia.

Byłam przekonana wchodząc w to dziesięciolecie, że będzie ono rozstrzygające i najbogatsze w moim życiu. Tymczasem u jego schyłku spostrzegłam z zachwytem, że mogę raz jeszcze zacząć wszystko od zera, i ze zdumieniem, że w ciągu «dziesięciu moich najpiękniejszych lat» przez pięć byłam nieszczęśliwa. Doszłam do wniosku, iż to o wiele za dużo i długo potem wyrzucałam sobie, że tak gnuśniałam w osamotnieniu. Trzeba jednak kiedyś doświadczyć nieszczęścia, a niewątpliwie w wieku dwudziestu pięciu lat można mu stawić czoło nie narażając się na niepowetowane szkody. Jestem niestety osobą zarazem

pozbawioną poczucia własnej dumy i posiadającą ogromną tolerancję na nieszczęście: potrzebowałam zatem lat, aby uznać mój stan małżeński za nieznośny i, co gorsza, szkodliwy. Jedyne, co w tym dobre, to że wyniosłam zeń poczucie, iż zużyłam do cna przypadający na mnie kapitał cierpienia.

Czy byłabym szczęśliwsza z Gawainem? Zdarzało mi się oczywiście zadawać sobie to pytanie. Cóż to za pokusa! Pozwalała po kryjomu pieścić w sobie tęsknoty tylu kobiet zamężnych, które gdyby były wolne, dokonałyby raz jeszcze tego samego wyboru. Bo przecież nie ma złego, co by na dobre nie wyszło - korzyść z tego taka, że się stawia czoło sercowym kłopotom, rozwodowi we własnym środowisku. I tak jest to wystarczająco skomplikowane.

W dniu, kiedy zdałam sobie sprawę, że przez pięć lat nie spojrzałam na innego mężczyznę prócz tego właśnie, który przyprawiał mnie o cierpienie (co jest skrajnie banalną przypadłością umysłową najwyraźniej nie zniechęcającą ofiar), wyzwolenie nastąpiło piorunująco szybko, a rekonwalescencja była rozkoszna. Przeplakane noce, dni zwątpienia i autodeprecjacji wydały mi się tym bardziej naganne, że nie zwróciły mi nadmiernie kochanego męża, którego chroniczną melancholię, później zdeklarowany gniew bezskutecznie starałam się zrozumieć. W dniu, kiedy moje nieszczęście przyobkleło się w wyraźną postać reżyserki od lat towarzyszącej mi w związanych z pracą wyjazdach, oświeciło mnie wreszcie, a ulga była tak ogromna, że owa pokorna i ufna połowica, jaką dotąd byłam, w kilka dni stała mi się kimś obcym. A potem bardzo szybko uznałam ją za konkursową idiotkę.

Przez jakiś czas miałam do siebie pretensje, budując po fakcie taktyczne podstępny, które by mi pozwoliły albo odzyskać Jeana-Christophe'a, albo uwolnić się od niego jak najszybciej. Sama już nie poznawałam tamtej paralityczki z bielmem na oczach! Tyle że widać trzeba jakiś czas pożyć w skórze osoby zupełnie do siebie niepodobnej, ażeby stać się taką, jaką się jest. Lub może człowiek jest tymi różnymi osobami i musi wyzwolić się od jednej, zanim wcieli się w drugą.

W każdym razie pozbyłam się George pokornej i zgryzionej jak obumarłej skóry. Odegrałam tę rolę do samego końca, doświadczyłam wszystkich tradycyjnych epizodów, wygłosiłam wszystkie repliki aż do samego zakończenia, tak idealnie klasycznego i pospolitego, że odnosiłam wrażenie, jakbym przeżywała scenę po stokroć widzianą w kinie. Odkrywałam w sobie świeżutkie zdolności do szczęścia i nieoczekiwaną predylekcję do śmiechu oraz płochości. Bo najgorszy w nieszczęściu jest nie tyle sam fakt bycia nieszczęśliwym, lecz to, że człowiek zostaje pozbawiony podstawowego minimum bez troski,

ucieczki w śmiech, co więcej, w śmiech dobroczynny, który przepala zwoje, aż człowiek z trudem łapie oddech, wydając z siebie westchnienie z tych, co rozładowują najgorsze napięcia. Nieszczęście jest beznadziejnie poważne.

Moim pierwszym czynem jako kobiety wolnej było kupienie sobie roweru. Symboliczny akt! Nie miałam pojęcia, z ilu rzeczy zrezygnowałam po zamążpójściu: z posady w liceum w Abidżanie, bo Jean-Christophe mógł mieszkać tylko w Paryżu; z kupienia na spółkę niedużego kutra w Concarneau, bo Jean-Christophe cierpiał na chorobę morską, - z grupowych wyjazdów do Aten, Moskwy, Meksyku, bo Jean-Christophe nie znosił ani grup, zwłaszcza nauczycielskich, ani wyjazdów zorganizowanych, zwłaszcza przez biuro *Tourisme et Travail*, które wtedy bardziej przypominało drużynę skautów niż późniejszy *Club Méditerranée*; wreszcie z wypraw rowerowych po Francji, bo mój mąż czuł wstręt do roweru. Za to przepadał za motocyklem, szybowcem i brydżem, czyli za rozrywkami budzącymi we mnie jednakową odrazę.

Drugim czynem było złożenie stolika brydżowego i wyniesienie go do piwnicy. Odzyskałam niedzielę! Uwolniłam się od popołudni, kiedy to odbywano się do mnie tylko po to, by wyrazić ubolewanie (i słusznie) z powodu moich licytacji, i kiedy nasi najbliżsi przyjaciele z przerażającą pilnością ograniczali swoje wypowiedzi do słownictwa elementarnego. Brydż wyklucza śmiech; mnie się jednak nie udawało brać go serio, a to z kolei ściągało na moją głowę gniew męża i zatruwało nam niedzielne wieczory, spędzane na komentowaniu popołudniowych zagrań w nadziei, że się doksztalę, i na przypuszczeniach, jaki byłby przebieg partii, gdybym na przykład poprawnie wylicytowała kiery.

No więc w końcu wylicytowałam. I rozwiedliśmy się bez większych tarć, z obopólnej winy, a «dziecko powierza się matce z racji jego małoletniości», co jest formułą kojącą, przykładaną na dumę ojców, dla których w większości byłoby w tamtych czasach katastrofą, gdyby stali się «wolni» z dzieckiem na karku.

Nawet nie powiadomiłam Gawaina o rozwodzie: dowie się od ludzi. Posyłałiśmy sobie tylko rodzinne kartki z życzeniami, gdzie udawało mi się czasem przemycić jakieś dwuznaczne sformułowanie, bez wątpienia czytelne tylko dla mnie, aby podtrzymać żar w węgielku wspomnienia migoczącym jeszcze pod popiołem. W każdym razie miłość nie wydawała mi się tymczasem sprawą pierwszoplanową.

Jean-Christophe za to szybko ożenił się powtórnie, i to nie z osobą, przez którą wylałam tyle łez. Bywa czasem tak, że rozbitcie małżeństwa pociąga za sobą także upadek tego, kto zawinił. Sprawilo mi to mało chlubną satysfakcję... tyle że honor już mi się przejadł! Marzyłam o życiu niezależnym i o nowych wrażeniach.

Kiedy mi zaproponowano stanowisko wykładowcy historii literatury porównawczej w Wellesley, z radością je przyjąłem i przeniosłem się z ośmioletnim synem do Massachusetts, gdzie zamieszkaliśmy w jednym z owych amerykańskich kampusów, które tak mi się marzyły w czasach studenckich, gdy chodziłem na wykłady w mrocznych aulach Sorbony i co wieczór grzecznie wsiadałem do autobusu „S”, by wrócić na łono rodziny.

W sercu spokojnej Ameryki początku lat sześćdziesiątych świat studentów i wykładowców był bezpieczną oazą, gdzie zapadłem z rozkoszą. Od strony materialnej byłem zabezpieczony, a życie pasjonujące, Loïc zaś był mi tym kawałeczkiem Francji, bez którego czułabym się jak na wygnaniu. Spontaniczna serdeczność, poufałość radosna, a nawet niedyskretna, cechujące Amerykanów niezależnie od miejsca w hierarchii społecznej, rozgrzały mi serce do tego stopnia, że wkrótce omal nie zapomniałem o swoich małżeńskich doświadczeniach i nie stałem się na tyle ufny, by pomyśleć o nowym małżeństwie! Lecz rok pożycia z Sydneyem, kolegą po fachu wykładającym literaturę współczesną, wystarczył mi, żeby dojrzeć przytulną pułapkę, w jaką szykowałem się wpaść. Bo teraz czułem się zbyt uległa - a może zbyt tchórzliwa? - by ośmielić się stawić czoło kochanemu mężczyźnie i utrzymać swój teren. Aż za dobrze poznałem swoją skłonność do naginania się do stylu życia innej osoby wskutek wykształconego dawniej i niedokładnie zduszonego odruchu - i to bez wielkiego trudu, co usypiało czujność drugiej strony - co trwało do chwili, gdy odkryłem, że moja część życia się skurczyła, swobody zmalały i że jestem na dobrej drodze do odtworzenia układu sił z poprzedniego małżeństwa!

Ze swojej strony zaś mężczyźni, nawet amerykańscy, byli zbyt przepojeni należnymi im przywilejami - również wskutek wykształconego dawniej i niedokładnie zduszonego odruchu - ażeby się nie ulokować, dojrzwawszy najmniejszy bodaj gest zachęty, w schlebającej im roli pierwszego po Bogu i na wygodnej pozycji baszy.

Po roku przeżytym u boku Sydneya czas, kiedy dopuszczano mnie do głosu, stopniał o połowę i zupełnie straciłem autorytet. W publicznych dyskusjach jemu zostawiałem wybór tematu, coraz częściej przerywał mi, by wtrącić swoją opinię, gdy ja wygłaszałem swoją, i coraz rzadziej ostatnie słowo należało do mnie. Kiedy zaczynaliśmy mówić jednocześnie, ja pierwsza milkłem, a im bardziej on brylował, tym bardziej ja bladłem, nie rozumiejąc przyczyny. W życiu codziennym dochodziło do tego, że prosiłem go, aby pozwolił mi wyjść, nawet gdy był to obiad w gronie kolegów po fachu; odkładałem pióro bądź zamykałem książkę usłyszawszy, że wprowadza samochód do garażu, i coraz częściej zdarzało mi się prać jego skarpetki i zbierać po kątach slipy, podczas gdy on nigdy nie przepłukał moich pończoch ani nie powiesił mojego płaszcza w szafie.

Moją kolejną klęskę zapowiadały na razie łagodne objawy, których na pewno nie dostrzegłby ten, kto już raz ową chorobą nie został dotknięty. «*Mówiliśmy* właśnie z George, że...» Tak, *mówiliśmy*, tylko że my to był Sydney. «*Spędziliśmy* cudowny tydzień w Maine, prawda, *darling?*» *Darling* milcząco przytakiwała, ale o tej podróży nie ja opowiadałam, kraszając wszystko dowcipami, by rozbawić znajomych, lecz Sydney. Włączał mnie życzliwie do naszego życia, tyle że z wrodzonej uprzejmości, ze szlachetności, a nie z obawy czy przynajmniej szacunku, którego kilku kropel zawsze potrzeba w każdym małżeńskim koktajlu. Nie przysłałam mu już świata. Poślubieni sobie, popadlibyśmy w typowe *My wife thinks... My wife always says... My wife is a wonderful cook...* i *wife* znów zgubiłaby kawałek George w tej historii! Już mi brakowało «s»! I moje imię nawet tutaj ciągle płałało mi figle. Mimo że w tych latach George Sand była bardzo modna wśród amerykańskich intelektualistów. W kilku uniwersytetach prowadzono badania nad jej korespondencją ze sławnymi ludźmi tamtych czasów. Jedną z naszych znajomych tłumaczyła *Konsuelo*, której we Francji nikt nigdy nie próbował czytać. Publikowano artykuły w *Women Studies* i zachwycono się po równi jej niezależnością w uczuciach i karierą. Właśnie w Wellesley odkryłam, że pierwszą książkę napisała mając piętnaście lat, że powieść *Indiana* odniosła triumf, że przez dziewięć lat ofiarowywała Szopenowi dom, gdzie skomponował swoje najpiękniejsze dzieła, i przede wszystkim że była niewysoka i nosiła obuwie numer 35! Wywracało to kompletnie moje poglądy na temat owej pozeraczki męskich serc, we Francji przedstawianej nam jako coś w rodzaju żandarma z czarnymi lokami, której życie skandalizowało świat, autorki parunastu «powieści wiejskich», jak je z pobłażaniem określa podręcznik literatury księdza Calveta.

Jednakże nawet tutaj przetrwało co nieco z owej reputacji kobiety zepsutej. «Coś takiego! twoja dziewczyna ma na imię George bez „s”?» mawiali nasi znajomi do Sydneya z dwuznaczną miną, jak gdybym sama wybrała sobie to imię w celu kolekcjonowania kochanków, najlepiej nerwowych, genialnych i młodszych ode mnie, oraz zaniedbywania obowiązków domowych, co w pełni się zgadzało z opinią Amerykanów na temat Francuzek.

Głupio przejawszysię ich aluzjami, za punkt honoru postawiłam sobie dowieść im, że mogę być intelektualistką nie rezygnując z miłości ani ze świętej roli matki i gospodyni domowej. Tak się złożyło, że miałam dość zdrowia, by z uśmiechem odgrywać wszystkie te role, że Loïc wyglądał na dziecko szczęśliwe i że Sydney ostrożnie poruszał się po moim życiu. Przyparty do muru, jaki sobie wznosiłam dla ochrony, kochał mnie wystarczająco, by zaakceptować moje pragnienie życia blisko niego, lecz w oddzielnym mieszkaniu, i nie dość gorąco, dzięki Bogu, by z tego powodu chować urazę i zatruwać nasze stosunki.

Sydney to urodzony dyletant, epikurejczyk, artysta, z tych, co tak świetnie umieją budzić w kobietach miłość bezwarunkową, na pozór zupełnie jej nie szukając. Pomocą służył mu w tym wygląd à la Leslie Howard: falujące blond włosy przedwcześnie przyprószone siwizną, oczy koloru kawy z mlekiem za okularami w drucianych oprawkach i rozczulająca sylwetka starego studenta, stara jak na studenta, ale młoda jak na czterdziestopięcioletniego mężczyznę. Na szczęście ten nonszalancki uwodziciel wszedł w moje życie w okresie, kiedy podejmując pewne środki ostrożności mogłam bez szkody stawić mu czoło albo zacząć pełzać jak jamnik... co pewnie przyjąłby jako coś oczywistego i niespecjalnie to wykorzystywał z właściwą sobie elegancją.

Co roku latem przyjeżdżałam do Francji, czasem z Sydneyem, żeby Loïc spotkał się z ojcem, a przede wszystkim żeby miał kontakt z krajem ojczystym, co drugie Boże Narodzenie zaś spędzałam z Frédérique, jej mężem i dziećmi na wczasach świątecznych w tropikach.

Tej zimy pojechaliśmy do Casamance w Senegalu. Miałam trzydzieści trzy lata, piękny wiek, intensywnie niebieskie oczy pod czarnymi brwiami, dziewczęcą sylwetkę i jakąś nieokreśloną naturalność, swobodę, śmiałość nawet w sposobie ubierania się i zachowania, których nabrałam w Stanach. Frédérique i ja wybrałyśmy się na cały dzień do Dakaru «na zakupy» - taka zapowiedź na ogół wprawia w popłoch mężów, co nam pozwoliło zostawić dzieci z Antoine'em, moim szwagrem.

Przycupnąwszy przed stertą szmatek na targu w Dakarze, po raz kolejny dawałyśmy się porwać czarowi jaskrawych tunik, zachwycających w tamtejszym słońcu, które jednak na pewno znowu kiedyś poszłyby w ką, wypróbowane najpierw jako obrusy, zasłony i narzuty, potem noszone jako odświętne suknie aż do dnia, kiedy stosowna liczba filizanek z cienkiej porcelany zostałyby zmiecione na podłogę jednym pociągnięciem tych przeklętych rękawów, ciągnących się jak załamane skrzydła, i zdecydowanie zabójczych w minikuchenkach świata zachodniego. Mimo wszystko zamierzałam nabyć jeszcze jedną - czerwono-żółtą, a więc w kolorach, których nie znoszę, ulegając wypaczonemu popędowi, jaki ogarnia człowieka za granicą - gdy naraz usłyszałam, że ktoś mnie woła. Kuciałam, głowę mając na wysokości kolan tego, kto do mnie mówił, ale zanim się jeszcze wyprostowałam, rozpoznałam go. Miał te swoje oczy jak w Raguènès, usta jak w hotelowym pokoju niedaleko dworca Montparnasse, barki boksera i stał mocno na ziemi na lekko rozstawionych nogach... wszystko to, o czym udało mi się zapomnieć i czego nigdy w nim nie odnajdywałam podczas krótkich spotkań w Bretanii. Będąc tak daleko, jakbyśmy nagle znaleźli się w naszym własnym domu.

- George! - powtarzał czule, posyłając mi spojrzenie, jakie skrywał przede mną od...

od ilu to już lat?

Złapał mnie za obie ręce, podniósł i znaleźliśmy się w jednej bańce powietrza, oniemiała, wzruszeni, nie słuchając Frédérique, która gdzieś bardzo daleko wydawała jakieś dźwięki, a w końcu zaciągnęła nas na taras pobliskiej kawiarni. Na ziemię ściągnął nas dopiero stukot lodu w trzech szklankach z pastisem i wtedy zaczęliśmy się dzielić wieściami z kraju. Potem przeszliśmy do zasadniczych informacji streszczających drogę życiową każdego z nas, lecz nasze egzystencje były tak różne, że wykluczały jakiegokolwiek zrozumienie. Bardzo szybko doszło do tego, że siedzieliśmy wpatrzni w szklanki, kiwając głowami i rozpaczliwie zastanawiając się, jak przerwać milczenie. Frédérique podjęła wówczas decyzję, która odmieniła nasze życie.

- Muszę was zostawić, bo mam zrobić jeszcze jeden sprawunek. Obiecałam córce, że przywiozę jej bransoletkę z kości słoniowej, tutaj można jeszcze taką znaleźć. Właśnie dostałam adres. To co, George? spotykamy się w autokarze, powiedzmy za pół godziny?

- Ja też muszę się zbierać - rzucił niepewnie Gawain.

Logika nakazywała, żebym odpowiedziała jednym z owych banalnych, nic nie mówiących zdanków, jak «No to cześć, może się niedługo zobaczymy», zdankiem pasującym przecież do sytuacji. Lozerech uściskałby mi dłoń i nigdy by się nie stał Gawainem. Brakło jednego tylko słowa, którego on by nigdy nie znalazł. A gdyby znalazł, nigdy by nie wymówił.

- Och, słuchaj! Po tylu latach głupio rozstawać się ot, tak... Dlaczego nie mielibyśmy pójść na przykład na kolację? To znaczy my dwoje.

- No tak, tylko... żona tu jest - rzekł Gawain.

- Marie-Josée jest w Dakarze? - Rozwiewała się perspektywa kolacji sentymentalnej, jakie lubiłam, z tym anty-Sydneyem, któremu bez wątplenia nie umiałabym nic powiedzieć prócz tego, że jego wygląd fizyczny nadal podoba mi się bez miary. Taki początek zawsze jest zresztą doskonały...

Wyjaśnił mi, że jego statek stoi w suchym doku z powodu awarii silnika, że czekają na części zamienne i że skorzystał z tego, by ściągnąć tu żonę, widywaną ledwie przez trzy miesiące w roku.

Milczałam, a Gawain nie znajdował żadnej propozycji. Normalne. Mężczyzna pragmatyczny nie zachowuje przez trzynaście lat równie kłopotliwego wspomnienia.

- To może poszlibyśmy we trójkę? - zaryzykowałam z uporem.

Zadrzał. Jego krzaczaste brwi, zrudziałe w afrykańskim słońcu, ściągnęły się, jak gdyby to, co miał powiedzieć, wymagało odeń ogromnego wysiłku.

- Nie mam ochoty spotkać się z tobą jak z kimś obcym.
- Wolisz mnie w ogóle nie widzieć? - dopytywałam się.
- Załóżmy, że tak - odparł oschle.

Milczenie. Słońce szybko obniżało się na horyzoncie. Był to ów krótki moment, w jakim od niepamiętnych czasów człowiek czuje, że przebiega go dreszcz, gdy gaśnie dzień; zgaduje, że ten banał jest cudem.

Gawain odezwał się:

- Wiesz, ciężko było wypłynąć na powierzchnię ostatnio. Nie lubię nie panować nad swoim życiem. Ja tam nie mam zdolności do akrobacji.

Wiedziałałam, że jest szczery, i tkliwość, którą darzyłam tego mężczyznę wrażliwego i w skrytości uczuciowego, a uważającego się za granitowy blok, nakłaniała mnie, by go więcej nie dręczyć. A poza tym piękne wspomnienia nic nie zyskują, gdy je konfrontować z rzeczywistością. Wyobraziłam sobie nas w hotelowym pokoju, jak wypróbować kilka umiejętności nabytych przy Sydneyu, aby mocniej wstrząsnąć tym mężczyzną opornym i niewątpliwie z rezygnacją zadowolającym się życiem erotycznym ograniczonym do kilku tygodni w roku przy małżonce pozbawionej wyobraźni i sporadycznych odwiedzin u dziwek Abidżanu bądź Pointe-Noire. Swój ogień pozostawiał wyłącznie dla pracy.

Nie zapytał mnie nawet, co wykładam w Wellesley, mówił tylko o swoich planach. Pojawily się pierwsze nylonowe sieci na wielkich kalifornijskich statkach, wyposażonych w silniki o mocy 600 koni mechanicznych, które niebawem wyprą mocno przywiązane do tradycji, lecz przestarzałe bretońskie i wandejskie stateczki do połowu tuńczyka.

- Sieci długie na przeszło kilometr, zdajesz se sprawę? I dwajścia dwa hektary powierzchni! Niedługo to i tu wszystko opustoszą. My dalej łowimy na żywą przynętę, to i przywozimy mniej ryby. Już po połowach.

- Co więc będziesz robił?

- Ha, trza będzie robić jak inni, żeby nie zdechnąć.

Mówił o «innych»: Baskach, Hiszpanach, Amerykanach, z zaciekłą urazą; chciałby być sam na morzach. Wszystko, co pływało po Atlantyku, a zostało wybudowane gdzie indziej niż w Concarneau, było jednostką wrogą. Każdy szyper ma duszę pirata, a Lozerech jeszcze bardziej niż inni. Wszyscy ci, co poza chłopakami z Névez, Trégunc albo Trévignon, łowili na włóki, sieci bądź harpunem ryby czy skorupiaki, byli w najlepszym razie łobuzami, w najgorszym bandytami, a w ogóle to szkodnikami i obsrańcami. Słuchałam, jak mówił o swoim życiu z właściwą mu skromną śmiałością i bez poczucia humoru, które wynikają chyba ze zbyt długiego przebywania na morzu. Kilka białych nitek na skroniach i nadąsane

usta podkreślały jego wygląd upartego chłopca. W zamkniętych maleńkich społecznościach, jakimi są załogi statków, złożone tylko z mężczyzn, z kolegów, zawsze tych samych, wykonujących te same prace, znoszących takie same trudy, śmiejących się z takich samych dowcipów, z tej samej pracy dzielących zyski i straty, jednostki rozwijają się w niewielkim stopniu. Oddalenie od domu i rodziny, wieczne oczekiwanie na powrót sprawiają, że ci ludzie tkwią w zbiorowym dzieciństwie, wykluczeni ze świata żyjących, ze świata tych, co czytają codziennie gazetę, głosują, chodzą do bistra, a w niedzielę na spacer. W ciągu tych lat Gawain o wiele mniej się zmienił niż ja.

Krótki tropikalny zmierzch skończył się tak nagle, jakby opadła kurtyna. Tylko oczy Gawaina w ogorzałej twarzy zachowały jeszcze światło dnia. Tak samo w Bretanii latem, kiedy noc już zapadła i na wybrzeżu zapalają się latarnie morskie, morze zatrzymuje jasność dnia. Mój ojciec nazywał to «światłem resztkowym».

I być może właśnie odrobina resztkowej miłości podyktowała mi pytanie, którego wcale nie przygotowałam:

- Lozerech... powiedz, czy przez całe swoje życie zamierzasz mówić tylko o połowach? Nie poznać niczego innego? Czy nie widzisz ani krzty miejsca na szaleństwo?... Tak, tak, wiem, że to słowo bardzo ci się nie podoba. Powiedzmy na... ucieczkę, no po prostu na coś innego!

Zaszokowało go to z lekka i jął się rzetelnie zastanawiać.

- Nie mam tu oczywiście na myśli wywrócenia twojego życia do góry nogami, tylko znalezienie czasu na jakąś przyjemność dla siebie... zafundowanie sobie jakiegoś prezentu, czegoś, co by nie było zaplanowane...

- Wiesz, w moim fachu człowiek niewiele sobie robi podarunków. Może to i błąd, ale tak już jest.

Gawain wpatrywał się w dal, jego dłonie spoczywały na marmurowym gerydonie jak dwa zbędne przedmioty, tak nieruchome, że przywodziły mi na myśl raki pustelniki, w jego stronach nazywane *dormeurs*, śpiochy.

- Tak to już jest - powtórzył tonem, w którym chyba wyczułam nutkę tęsknoty.

Zawsze dostawałam czkawki, kiedy ktoś mówił: Tak to już jest!

- Co znaczy «tak to już jest»? Przecież to ty się zgadzasz na taki stan rzeczy! To się nazywa zrezygnowanie, ot co. Ja nie wierzę w fatalizm, człowiek sam go sobie fabrykuje po fackie.

Twarz Gawaina zamykała się. Zawsze źle znosił, kiedy ktoś sprzeciwiał się temu, co on uważał za prawo natury.

- Zanim się rozstaniemy - podjęłam z uśmiechem - zanim się pogniewamy... Zawsze miałam ochotę o coś cię zapytać, Lozerech. Teraz, po tylu latach, może będziesz mógł mi powiedzieć: co sądzisz o naszym spotkaniu? Czy to porażka? idiotyzm? czy drogie ci wspomnienie?

- Wszystko naraz - wyznał. - Był taki czas, kiedym żałował, że cię w ogóle poznałem. Ale to już minęło. A potem, wiesz? często wypytywałem o ciebie, jak wracałem do Raguènes. Tyle że nie mogłem dać ci znać. Nie miałam śmiałości no i... co ja bym ci powiedział?

Kończyliśmy drugi pastis. Gawain nigdy nie pijał whisky czy dżinu, a ja nie chciałam podkreślać naszej odmienności zamawiając trunki paryżanek.

- No więc wyobraź sobie, że ja też nigdy nie zapomniałam. To jest tak, jak gdybym po rozstaniu z tobą straciła coś w życiu... coś, czego i tak nigdy bym nie dostała. Bo tylko to zobaczyłam. Dziwne, nie?

- «Jesteś dziś słodka jak pierwsza kobieta - wyrecytował Gawain - lecz noce są chłodne jak noc.» Widzisz? Nie zapomniałem swojego wiersza. Nauczyłem się go na pamięć.

Położyłam rękę na jego przedramieniu, które nigdy nie wydawało się nagie z powodu ciemnego owłosienia o rudawym odcieniu. Czy skóra Gawaina nadal pachniała zbożem?

- Dałbym... nie wiem co, żeby cię przytulić, tutaj, teraz - powiedział stłumionym głosem i choć dotąd wszystko przebiegało bardzo spokojnie, to zdanie smagnęło mnie w krocze, po czym dotarło do samego serca. Wkroczyliśmy właśnie w strefę turbulencji. Nie patrzyłam już na jego oczy, lecz na usta, sygnał klęski. Gawain jednak trzymał się, twardo stając dziobem do fali. Jeszcze wierzył, że mu się uda.

- No tak, muszę się już zbierać, na mnie pora - rzekł spoglądając na zegarek, który nosił po wewnętrznej stronie nadgarstka, aby uchronić go od uderzeń.

- Już trzy razy mi to powiedziałeś! - wybuchnęłam. - Zawsze, kiedy mnie zostawisz, ZBIERASZ SIĘ! Co to w ogóle znaczy? Że rezygnujesz? Wracasz do swojego rutynowego życia?

- Do cholery! A co innego możemy zrobić? - krzyknął.

- Nie wiem, ale możemy wypaść z toru. Nie jesteśmy bydlęciem prowadzonym na rzeź. Stale teraz siedzisz poza krajem, więc moglibyśmy się gdzieś spotkać, nie?

Patrzył na mnie, lekko zaskoczony obrotem, jaki przybrały sprawy.

- Zmieniłaś się, *Va Karedig*.

- Może to wpływ Ameryki. Wiesz, ludzie tam nie zawracają sobie głowy dobrymi manierami, tylko prą do przodu. Zwłaszcza kobiety. Żałujesz?

- Nie wiem, czy żałuję, ale wiem, na co mam ochotę i niech to wszyscy diabli! -

niesłuchanie spokojnie powiedział Gawain.

Podniósł się, zapłacił rachunek, pociągnął mnie poza zasięg neonowych świateł kawiarni i mocno przytulił, chyba że to ja się do niego przytuliłam, sama już nie wiem. I choć upłynęło tyle lat, rozpoznałam natychmiast jego głęboki sposób całowania i wyszczerbiony ząb, i delikatny język, którym leciutko poruszał, tyle, by jedno w drugie lepiej przelało swoją truciznę.

Kiedyśmy się od siebie oderwali, z uwagą przyjrzelśmy się sobie: czy jedno miało nadal nad drugim ową kruchą i ogromną władzę? Czy życie raz jeszcze ofiarowywało nam ten dar?

- No, teraz to już naprawdę musimy SIĘ ZBIERAĆ - powiedziałam, aby rozbić czar. - Mój autobus odjeżdża za dziesięć minut.

Frédérique czekała na mnie, Marie-Josée czekała na swojego męża w porcie rybackim, życie znowu porywało nas w różne strony. Ale przez pomyłkę pozwoliło się przemknąć nadziei. Roześmialiśmy się jak dwoje dzieciaków, kiedy wykręciły jakiś numer dorosłym i teraz sobie wieszają. Później patrzyłam za nim, gdy odchodził tym swoim rozkołysanym krokiem, który już dawniej tak mi się podobał. Niektórzy mężczyźni idąc poruszają tylko nogami, a tors mają sztywny. U Gawaina biodra szły razem z udami, ramiona razem z biodrami. Całe jego ciało brało udział w ruchu, jak na filmie pokazującym bieg jaguara w zwolnionym tempie.

Nie umówiliśmy się na żaden z następnych dni w Dakarze. Chciałam go zobaczyć wolnego od wszelkich więzów rodzinnych gdzieś na końcu świata. Nie ma jednak trudniejszej rzeczy niż wyrwanie z życia rybaka jednego tygodnia. Na pierwszym miejscu jest zawsze ryba - do wytropienia, złowienia, zamrożenia, sprzedania. Dalej statek. Potem armator. Reszta zaś należy do rodziny. Nie zostawało wiele miejsca na to, co nie przewidziane.

Potrzebowaliśmy całego roku, aby zorganizować naszą wyprawę, zwłaszcza że Gawainowi w życiu nie przyszłoby do głowy, iż można sobie kupić bilet lotniczy do Nowego Jorku albo Kenii tylko po to, aby zobaczyć kogoś, kto nie jest chory lub nie umarł. Poczucie winy już go wystarczająco drogo kosztowało. A pieniądze rodziny to świętość. Jego pragnienia świętością nie były.

Spotkanie mogło być się odbyć na archipelagu Saint-Pierre-et-Miquelon u wybrzeży Nowej Fundlandii... los jednak chciał, że towarzystwo okrętowe wysłało Gawaina w celach zwiadowczych na Seszele, rozważając możliwość uczynienia tam bazy dla kilku tuńczykowców z Concarneau. To zawodowe alibi pozwoliło mu zamknąć oczy na

rzeczywistość, czyli na to, że kradnie cały tydzień ukochanej rodzinie, by spróbować raz jeszcze przeżyć niepojęte - nie śmiał nazwać tego miłością - które dwukrotnie już nim wstrząsnęło. I rzecz jeszcze bardziej niewiarygodna - pewna kobieta przebyła dziesięć tysięcy kilometrów w jednym jedynym celu: żeby się z nim kochać. Tak, tak, z nim, z Lozerechem! Kto by pomyślał... I właściwie odkąd się zjawił na Seszelach, wahał się ciągle między wstydem a radością, zastanawiając się, czy przypadkiem cała ta historia nie jest wytworem dwóch obłąkanych umysłów i czy sam Szatan nie maczał w tym palców.

Zil elwagnéés Sesel

Pewnego razu na jednym z archipelagów Oceanu Indyjskiego za sprawą najczystsze­go przypadku - a może najprzemożniejszej z potrzeb? - spotkali się marynarz i historyczka, których nic nie predestynowało do tego, aby się gdziekolwiek znaleźli razem, obydwój­e ogarnięci tak wielkim fizycznym pożądaniem, że nie śmieli nazwać go miłością; obydwój­e nie dowierzający takiemu pociągowi i co rano spodziewający się, że wróci im rozsądek; obydwój­e zastanawiający się wreszcie nad tym, co im się przydarza, jak zastanawiasz się ty czy ja, jak zastanawia się każdy, kto kiedykolwiek zetknął się z ową rozdzierającą tajemnicą, której głębie udało się wysondować tylko poetom, choć przyczyny nie znaleźli.

Tego spotkania nie potrafiłabym opisać w pierwszej osobie. Jedynie skrywając się za zaimkiem mniej osobistym niż «ja» będę mogła przelać na papier przeżycia George i spróbować ogarnąć z bliska irytującą namacalność miłosnego pożądania, będącego może tylko ostatnim kłamstwem ciała.

A zatem na niewielkim lotnisku na Seszelach, które w latach sześćdziesiątych były jeszcze posiadłością brytyjską, pewien rybak czekał na pewną profesorkę; jego serce nękały wątpliwości, niepokój i wyrzuty sumienia. Lecz było już za późno; bez wątpienia specjalnie dla niego profesorka miała wysiąść z małego dwusilnikowego samolotu przybyłego z Nairobi i on będzie musiał otworzyć ramiona dla tej nieznajomej, która uczy Bóg wie czego w tej tam Ameryce.

Gawaina w jasnych płóciennych spodniach, z ogorzałą twarzą i bez noszonego zwykle granatowego kaszkietu nic nie wyróżniało na pierwszy rzut oka spośród brytyjskich urzędników w szortach khaki i białych skarpetach czy od panów prezesów, uwielbiających łowy na grubą rybę, by na chwilę zapomnieć o ciężarze swej fortuny. On jeden nie nosił ciemnych okularów i George natychmiast go zauważyła w ciszącym się tłumku, bardziej skupionego, wyższego niż inni, z zatroskanym spojrzeniem, uniesioną jedną krzaczastą brwią.

Miał na sobie koszulkę z krótkim rękawem z tych, w których tak niewielu mężczyzn dobrze wygląda, odsłaniającą jego mięśnie nadające się do tego, by za kołnierz wyrwać rozbitką ryczącym czterdziestkom. Starannie wybrał ją spośród najpaskudniejszych modeli egzotycznych: szokujący pomarańcz ozdobiony czerwonymi palmami i Murzynkami dźwigającym kosze na głowie. Ładny początek! George pomachała do niego, lecz ani drgnął, trzymając się nieco w tyle: nie w jego stylu było wybieganie komuś naprzeciw.

Jej także miłość nie popędzała, kiedy zmęczona długą podróżą przeciskała się przez tłum w jego kierunku z wymuszonym uśmiechem na ustach. Dokładnie w tej chwili z zakłopotaniem zastanawiała się, co też skłoniło ją do tego, aby zorganizować, i to za cenę jakich trudności! takie kosztowne spotkanie na drugim końcu świata z tym obcym człowiekiem, którego raptem jeden raz w ciągu dwunastu lat pocałowała; oraz nad tym, jaki błąd w rozdaniu sprawił, że tego wieczoru znajdzie się w łóżku chłopskiego syna z Raguènès... Pospiesznie szukała w nim jakichś cech, które by jej dodały otuchy: a więc najpierw jego budowa. Nie знаła mężczyzny równie jak on barczystego. Dalej szerokie przeguby, dające jej poczucie bezpieczeństwa u marynarza i podniecające u kochanka, bo «mocniejszy zawsze górą»; i skóra pokryta gęstwą owłosienia jak miedziane strużyny, zachodzącego aż na dłonie; i mocny zarys palców wyrastających z tychże topornych dłoni niby z grubsza obrobionej rzeźby, której jedynie końce artysta dopracował.

Ostatecznie wystarczyło, by sobie wyobraziła, że oto wygrała «pobyt na wyspach z marzeń» z «najseksowniejszym mężczyzną roku», wybranym spośród całego stada słynnych zalotników!

Cóż innego zrobić, gdy przybywa się z tak daleka, jeśli nie rzucić się w ramiona czekającego na ciebie mężczyzny? Baczenie się tego wystrzegła we Francji, a nawet w Afryce... lecz tutaj doświadczała owej szczególnej swobody, jaką daje oddalenie w połączeniu z obcym miejscem i upałem. Gawain rozluźnił się nieco. Czuł się nieswojo w roli zamożnego turysty, której nigdy dotąd nie grał, i męża zabawiającego się na boku, którą przez całe życie pogardzał. Fala pożądania, jaka go oblała, kiedy ścisnął George, w samą porę zastąpiła jego osobowość.

Dopóki byli wśród ludzi, zamienili ledwie kilka nic nie znaczących słów obserwując się ukradkiem, a zażenowanie z wolna ustępowało miejsca osobliwej wesołości, jaką odczuwali tylko będąc razem: George Bezes i Lozerech tutaj! Toż to numer, z którego pierwsi gotowi byli zaśmiewać się po pachy. Po odprawie celnej wsiedli do odkrytego dżipa wynajętego przez Gawaina i ruszyli do hotelu, gdzie zarezerwował dwa pokoje.

- Sądzisz, że przejechałam dziesięć tysięcy kilometrów po to, żeby spać sama? - czule

spytała go George.

- Pomyślałem sobie - odparł obłudnie - że chciałabyś się może pozbyć mnie od czasu do czasu... odetchnąć spokojnie...

- Wiesz co? Zatrzymajmy pokój na dobę, zobaczymy, jak nam się układa.

- I tak już za późno, żeby odwołać rezerwację - zauważył praktyczny Gawain. - Dzisiaj weźmiemy ładniejszy, ten, co miał być dla ciebie.

Wchodzą do wielkiego pokoju - z ogromnym kolonialnym łóżem z moskitierą - z rozległym widokiem na ciągnącą się daleko plażę obsadzoną palmami kokosowymi, których czuby gną się z metalicznym szelestem pod wpływem bryzy. George nigdy jeszcze nie widziała Oceanu Indyjskiego, toteż dziwi ją niebo ołowiane na horyzoncie, nad wyspą zaś intensywnie niebieskie, nadające wodzie taki sam odcień. Tak bardzo różni się od przymglonego nieba Senegalu i jego pustych, zamazanych horyzontów!

Opierają się łokciami o balustradę na tarasie udając, że całą uwagę zwracają na krajobraz, lecz ich ciała mimowolnie przysuwają się do siebie, kiedy zaś stykają się ramionami, w żyłach rozlewa im się fala zwiastująca całkowitą kapitulację. Dzieląca ich góra, wyrosła za sprawą oddalenia, zaczyna topnieć, lecz Gawain nie śmie jeszcze przycisnąć tej kobiety do piersi i unieść ją, by nadzieć na swój rożen. Kobieta zaś nie śmie położyć ust w rozcięciu obrzydliwej koszulki, na miękkim zaroście jego piersi, ani przesunąć dłońmi po jego wąskich biodrach, które zawsze tak ją poruszają w tym silnym cieple. Stoją więc obok siebie nasłuchując, jak przybiera owa fala, w której zamierzają zatonać. Już się na niej unoszą, już przestali czuć pod stopami grunt.

Gawain pierwszy wraca do chłodnego pokoju. Zdejmuje narzutę i przykrycie: rozciąga się przed nimi łóżko, dziewicza plaża, biała mapa, gdzie zaznaczą wyspy i kontynenty. Zdzierają z siebie ubrania i złączeni ustami, dokonują lustracji boków, ud, na pozór ciekawo wklęsłości łądzwi, łuku pośladków, poddając się gęsto zarośniętej części płci, która nieubłagalnie ich do siebie zbliża: odgadują to po ogarniającym ich drzeniu właśnie owej płci, odgadują także, iż niebawem się zjednoczą i więcej nie rozstaną.

Padają wtedy na łóżko, badają się dokładniej, rozpoznają, na nowo wzajem biorą się w posiadanie gestami niewprawnych kochanków, które wydają się jeszcze zachwycająco bezwstydne. George uśmiechając się w duchu odnajduje gałki Gawaina, ciasno przylegające, niemal przyklejone do pachwiny; rozpoznałaby je pośród tysiąca innych... to znaczy pośród sześciu czy siedmiu par innych. Pieści je przez chwilę, raczej z grzeczności niż z potrzeby, po czym przechodzi do tego, co ją naprawdę interesuje. Po mdłych w dotyku jądrach penis wydaje się zbudowany z prawdziwszej, naturalniejszej materii. Obmacując go, George po raz

kolejny zdumiewa się jego konsystencją; nie jest twardy jak drewno ani nawet jak korek, jest dokładnie tak twardy i aksamitny, jak każdy inny penis w tym samym stopniu ogarnięty uniesieniem.

Uważnie bada go samym tylko kciukiem i palcem wskazującym od góry do dołu, uśmiechając się za każdym razem, kiedy szarpie głową niczym koń. Jest gładki jak pień palmy kokosowej i jak ona czasem osobliwie wygięty, koloru jasnobieżowego, wcale nie siny. George stwierdza, że słowo «nabrzmiały» w ogóle do niego nie pasuje. Jego okrągłutka główka, uwolniona teraz od swojej woalki, przypomina jej żołnierski hełm o wypukłym brzegu, który wyrzeźbił jej na lasce pewien rekonwalescent w szpitalu w Concarneau. Naciska penisa dłonią i przez chwilę zabawia się lękiem przed jego natarciem, dochodzi do wniosku, że jest ono niewykonalne, z góry skazane na porażkę w tym ciasnym kanale, gdzie ona sama czasem z trudem wciska tampon higieniczny! Gawain ma zbyt wielkie dla niej wymiary, to rzecz oczywista.

- Nie ma pan przypadkiem takiego samego modelu, tylko o numer mniejszego? - szepcze mu do ucha. - Z tym nie da rady...

W odpowiedzi jeszcze grubnie, łobuz. A równocześnie George delektuje się swoim strachem, rosnącym zapalem Gawaina, mocującego się między chęcią popieszczenia jej jeszcze a gwałtownym pragnieniem eksplodowania w niej zaraz, natychmiast.

Miłośnię, bohatersko zaczyna z wolna podejście, wszystkimi pięcioma palcami kreśląc koncentryczne kręgi wokół kobiecej płci, która naraz, tak dla niego, jak i dla niej, staje się centrum świata, oceanem, gdzie można się pogрузić, gdzie można zatonać. George zastyga w bezruchu, aby niczego nie stracić z tego wiru, który się w nią wdziera, jednakże dotknięcie śliskich warg każe Gawainowi poniechać wszystkiego i wtargnąć w ciepłą otchłań.

I bez żadnych subtelności ani fiorytur, nie będąc w stanie dostosować się do jej rytmu, zmierza wprost ku własnej rozkoszy wiedziony przez tego brutala, który się w nim zrodził i żąda pierwszeństwa. Zapominają się niebawem oboje w nieruchomej strefie, gdzie pożądanie zlewa się z rozkoszą, która odradza znów pożądanie, a niepodobna odróżnić jednego od drugiego ani decydować o początku czy końcu.

- Wybacz, że tak się spieszę. Wybacz - powtarza Gawain, ona odpowiada, że lubi, jeśli czasem jest brutalny, on zaś nie wierzy jej i George kocha tego mężczyznę również dlatego: że nie karmi się elementarną pewnością, iż kobiety chcą być zniewalane.

- Musiałem się tam znaleźć, nie mogłem dłużej czekać - szepcze. - Nawet jeśli sprawiam ci przykrość. Wybacz.

- Sprawiasz mi przyjemność - odpowiada George, obejmując go mocniej.

Odpoczywa w niej wreszcie, niby Oblubieniec z *Pieśni nad Pieśniami* obłudnie znieruchomiły i rozkosznie ciężki. Ten ciężar George także kocha, podobnie jak kocha to nienaturalne zawieszenie broni. Wkrótce Gawain szuka jej warg i znowu nie mogą mówić, lecz informacje zostały przesłane, wszystkie przekaźniki się włączają. George najpierw czuje, jak jego penis, niczym nadmuchiwana dętka rowerowa, na powrót zrywami nabiera kształtów; potem zaś jego ruchy, zrazu bardzo wolne, aż cał po calu bezwstydnym gościem zajmuje miejsce, wypełnia całą wolną przestrzeń i jeszcze się rozpycha, naciąga ścianki, odsuwa dno, gdy się na nie natyka.

- Rozgość się, czuj się jak u siebie - szepcze mu w usta.

Gawain stęka miarowo nie odpowiadając, ona zaś powtarza, że go kocha, bo porusza ją do głębi za każdym razem, gdy się nie pilnuje, co rzadko mu się zdarza, i że swoim orgazmem zajmie się później, nie zamierza go przepuścić. Uwielbia być o krok od szczytu i móc jeszcze się go spodziewać, czuć, że jest tuż. Z Gawainem nie ma strachu, potrafi go później wypłoszyć stamtąd, gdzie się przyczaił.

George kocha także owo utajenie, owo oczekiwanie przy stole, na spacerze, na plaży, w słońcu. Miłość nieprzerwana w sumie, pożądanie, które waha się, czy ustąpić, które utrzymuje między nimi owo leciuteńkie drżenie powietrza, tętnienie życia, nadające niewymierną wartość wszystkim chwilom spędzonym razem.

Orgazm jest w gruncie rzeczy osamotnieniem. Człowiek chroni się w delikatny mechanizm szczytowania i w momencie ekstazy to w nim samym następuje rozładowanie napięcia. Tego wieczoru George nie ma ochoty być sama ani przez sekundę. Wysoko ceni sobie rozkosz, która nie walczy o spełnienie, krąży po zakamarkach ciała, by dłużej trwać, i niesie człowieka na tej samej fali, kołysząc zachwycającą pewnością, że nic się nie równa takim chwilom i że wreszcie można wykorzystać potencjał wszystkich swoich zmysłów, by wkroczyć do interioru, naszej ziemi utraconej.

Po raz pierwszy Gawain i George mają przed sobą przyszłość: dziesięć dni. Czują się bogaci, rozleniwieni, nigdzie im się nie spieszy. Nawet walizek jeszcze nie rozpakowali! Wstają z łóżka zataczając się. Pierwszy raz w życiu będą wspólnie układali swoje rzeczy w jednej szafie. Mijając się w pokoju, patrzą na siebie z tkliwą wdzięcznością zarówno za to, co każde od drugiego bierze, jak i za to, co daje.

Gawain nie przywiózł w walizce prawie żadnych swoich rzeczy, całe miejsce zajmuje mu drugubica! Tylko maniak albo marynarz potrafi zabrać na wakacje sieć! Twierdzi, że obiecał ją przywieźć koledze z Bretanii, którego ma tutaj, tak samo jak ma kolegów we wszystkich portach świata. Conan pożyczycy mu statek. Popłyną z nim na połów, wszystko już

jest ustalone.

- Ale chyba przywiozłeś sobie jakąś koszulkę oprócz tej? - pyta George, pokazując trzymaną w dwóch palcach jadownicę czerwoną szmatkę.

- A dlaczego? nie podoba ci się? Kupiłem ją w Dakarze.

- No i bardzo dobra będzie do Dakaru, gdzie nie będę musiała jej oglądać! Tutaj pozwolisz, że ci ją skonfiskuję? Dostaję od niej oczopląsu.

- Rób, jak uważasz, *Karedig*. Lubię, jak się mną zajmujesz. Nikt mi nigdy nie mówił, co mam kupować, a ja się na tym nie znam. No i w ogóle gwizdź na to, kupuję, co jest.

Stoi przed nią wspaniały, gładki, silny, o szczęśliwych oczach, bardziej niż zwykle niebieskich pod ciemnymi brwiami, na granicy młodości i wieku dojrzałego, ledwie przekroczywszy czterdziestkę.

- A ja na to nie gwizdź, życzę sobie, żebyś był równie piękny ubrany, jak nagi. A skoro ci to nie przeszkadza, to póki tu jesteśmy, schowam też te twoje plecione sandały! Masz bardzo fajne trampki, a prócz nich bosaki.

- A co ze spodniami? Też zabierasz?

- Możesz je sobie wkładać... od czasu do czasu.

Tuli ją w ramionach, przyciska do swojego bezwstydnego seksu, rozczulony, że George się z nim obchodzi niczym matka, jakiej nie miał.

Drugiego dnia spacerują po Victorii, miniaturowej stolicy kraju, przesiąkniętej jeszcze duchem francuskim, którego Anglicy, pozbawiwszy nas wszystkiego, od roku 1814 bezskutecznie usiłują stąd wyrugować. Niebawem mieszkańcy Seszeli, gdy uzyskają obiecaną przez Wielką Brytanię niezależność, wypiszą na pierwszych własnych znaczkach pocztowych słowa «Zil elwagnéés Sesel», co znaczy «dalekie wyspy Seszele». Język kreolski wyraźnie dowodzi, że Francja Ludwika XIV pozostawiła ślad niezatarty i w sumie pozytywny na tych wyspach, których nazwy zdają się zaczerpnięte wprost z oper Rameau. W rzeczywistości zatoczki Poules-Bleues (Niebieskich Kur) i A-la-Mouche (Na Sztuczną Muchę), Bois-de-Rose (Drzewka Różanego) i Boudin (Kiszka), wyspy Aride (Jałowa), Félicité (Szczęśliwa), Curieuse (Osobliwa), jak i Cousin (Kuzyn), Cousine (Kuzynka) czy Praslin, ochrzczona tak na pamiątkę pewnego francuskiego dyplomaty, świadczą korzystnie o poetyckiej wyobraźni żeglarzy i piratów. Jedynie królowej Wiktorii udało się dokonać wyłomu i wdrzeć w samo serce wyspy François Bertranda Mahé de La Bourdonnais, który pewnie jej tego nigdy nie wybaczy.

Ulewny, ciepły deszcz prześladowuje ich przez cały dzień i dopiero wsiadłszy do dżipa,

by obejrzeć okoliczne plaże, odkrywają, że dwadzieścia kilometrów od stolicy pałace słońce nie przestało świecić.

Ponieważ Mahé dzięki swoim górcom ma opinię deszczowej, postanawiają jak najszybciej skorzystać z łajby Conana, rodem z Auray, aby odwiedzić wyspę Praslin za koralową barierą, położoną w odległości zaledwie dwóch godzin morzem od Victorii.

Nigdy jeszcze razem nie płynęli i Gawain jest «cały szczęśliwym że może czynić George honory swojego żywiołu. Objawia się jej od swojej najlepszej strony, niezawodny, szybki, oszczędny w ruchach jak każdy dobry marynarz. Widać, że od dawna ma do czynienia z morzem i że poradził sobie i poradzi ze wszystkimi jego sztuczkami... z wyjątkiem może ostatniej, tej, która «uśpi go pośród zielonych traw na dnie».

Trzykrotnie smaga ich tropikalna ulewa, a oni ze śmiechem poddają się jej ciepłym, mocnym uderzeniom. George nie pamięta, kiedy ostatni raz tak się śmiała. Kiedy się śmiała dlatego, że śmiech ją uszczęśliwiał. Kiedy się śmiała dlatego, że odzyskała dzieciństwo. Być może na całe gardło można się śmiać tylko u boku mężczyzny, którego dopiero co kochało się całym ciałem? Czy Gawain kiedykolwiek śmiał się tak z żoną? W jego stronach byłyby to raczej prześmiewki w męskim gronie w świąteczny dzień. Wśród kobiet śmiech wybucha ukradkiem i zaraz cichnie: «No, dość tego, robota na mnie czeka!» Po kilku latach małżeństwa i wspólnego, ciężkiego życia, które pogłębia jeszcze przepaść dzielącą płcie, każdą obarczając innymi zadaniami - jego na morzu, ją w domu, fabryce albo w polu, ludzie gubią dziecięcą drogę do zwariowanego śmiechu.

Podpłynąwszy do wyspy Praslin od wschodu, po długich wahaniach na wysokości zatoki Volbert zastawiają drugubicę na skraju, jak sądzą, piaszczystej ławicy i mielizny, w miejscu, które wydaje im się obiecujące. Conan często tutaj łowi, tyle że włókiem.

Potem przybijają do wioski rybackiej, gdzie Conan pożycza im lichy bungalow pokryty liśćmi palmowymi, położony na wysepce Chauve-Souris oddalonej o kilka kabli od lądu pasem wody najczystszej diamentu, jak o diamencie mówi się, że jest «najczystszej wody». Można tam mieszkać tylko w zaraniu namiętnej miłości, kiedy wiadomo, co począć ze sjestami, godzinami deszczu, długimi wieczorami dusznymi od zieleni, gdy zaborcze głosy ptaków, płazów i rozmaitych straszyleł rozbrzmiewają ogłuszającą kakofonią.

Następnego dnia o świcie, aby wybrać sieć, wynajmują pirogę od jakiegoś młodego Murzyna, ze źle skrywaną ironią śledzącego ich poczynania i zdumionego, że biali wakacjusze szukają rozrywki w pracy, jaką on musi wykonywać przez okrągły rok. Uśmiech szerzej rozciąga mu wargi, kiedy zauważa, gdzie «turyści» założyli drugubicę. Są w niej cztery rekiny, nakrapiana niebiesko raja, piękny ostrobok, ale też kilogramy martwych koralu

najeżonych igiełkami i haczykami, które trzeba będzie najpierw wydobyć z dna morza ryzykując, że się zmarnuje przy tym sieć - rzecz nie do pomyslenia dla marynarza - a potem strawić całe godziny na wyplątaniu oczka po oczku z gmatwaniny szarawego koralu, kruchego i ostrego.

Kiedy trzują się we trójkę w pirodze, z pochylonymi głowami, pokrwawionymi palcami, plecami wystawionymi do słońca, jakiś długi na dziesięć centymetrów brunatny robak spada z ławki i ląduje na stopie George, która wydaje okrzyk.

- Stonoga! - woła młody Murzyn i przeskakuje na dziób pirogi, wyraźnie ogarnięty paniką. Bosakiem usiłuje dopaść owada uciekającego po dnie i kątem oka śledzi George, jakby się lękał, że lada chwila wyzionie ducha. Jej kostka puchnie w oczach, lecz George za nic nie chce w oczach Gawaina uchodzić za mięczaka.

- Pewnie, że czuję ukąszenie, ale mam się dobrze - buńczucznie odpowiada na trwożliwe pytania czarnego chłopaka, z czego ów wnioskuje, że stonoga nie należała do jadowitych.

- Gdyby panią naprawdę ugryzła - oświadcza uspokajająco, wymawiając z kreolska - teraz by pani wrzeszczała jak najęta.

Jak wysoko na jego drabinie bólu położony jest próg, od którego biała kobieta powinna zacząć «wrzeszczeć»? George zabiera się na powrót do pracy. Niebawem jednak po raz kolejny stwierdza, że nie popłaca odgrywanie bohaterki. Obaj mężczyźni zapomnieli już o tym zdarzeniu, pochłonięci ratowaniem drugubicy. Gdzie są czasy Wuja Toma, kiedy to tubylec rzuciłby się do jej nogi, by wyssać jad?

Hippolyte (tak ma na imię młody Murzyn) kilkakrotnie proponuje swój nóż, aby wyciąć pęk koralu spośród kłębu owijających je oczek, lecz Gawain ani przez moment nie myśli o takiej ewentualności. Nie wolno niszczyć narzędzia pracy, zwłaszcza gdy należy do kogo innego. Hippolyte żegna się z widocznym niesmakiem. Ci biali są naprawdę niedorzeczni! Dla nich połów to zabawa, nie? No to po co tak się mordować? Gawain i George do samego wieczora z uporem ślęczą przy sieci, raniąc sobie palce i kalecząc dłonie, lecz Conan otrzyma z powrotem drugubicę w stanie idealnym - albo prawie idealnym.

Stopa nie poddała się ogólnemu nastrojowi: jest napuchnięta, zniekształcona, płonie na niej gorączką lśniąca skóra, a ból mocno dokucza. Gawain czyni sobie wyrzuty, że nie przejął się ukąszeniem wcześniej. Żadne z nich nie zdaje sobie sprawy, iż z łaski stonogi wyjdą ze ślepego świata zakochanych i wkroczą w swego rodzaju małżeńskie pożycie.

Gawain układa George w cieniu z nogą wysoko wspartą, zużywa na okłady cały zapas

kostek lodu z minilodówki na butan, każe się przewieźć na Praslin, gdzie wypożycza rower i co tchu pędzi do wioski, by kupić bandaż elastyczny i synthol na kompresy, wstaje w nocy, aby jej podać picie z taką troską i niepokojem we wzroku, aż ona jak nigdy czuje radość, że cierpi. Wyczytali w przewodniku, że ukąszenie skolopendry należy do najgroźniejszych. Nie ma jednak mowy, żeby to robaczysko zepsuło im tak cenny dla nich tydzień: ze wszystkich sił George stara się pomniejszyć ból, zapomnieć o nodze i odizolować ją od reszty ciała, by postawić jadowi zapórę.

Jedynie w morzu to zakończenie nogi, teraz okrągłutkie, mniej ciąży, a muszą przejść tylko kilka metrów, by znaleźć się w kojącej wodzie. Przez cały dzień nie ruszają się z wysepki na krok, Gawain zaś, omijając okolice ukąszenia, masuje George nogę, z której wolno schodzi opuchlizna. «Pozwól... znam się na tym» - zapewnia ją. Na statku szypcer lub jego zastępca jest felczerem, czasem chirurgiem, gdy zdarzy się jakiś wypadek, złamanie czy wrzód.

Zdeprimowani, że nie mają jak się kochać, zajmują się byle czym, to znaczy zaczynają rozmawiać, odkrywając, jacy są. Czy kiedykolwiek mówili ze sobą o czym innym niż o miłości? Onieśmieleni zbliżają się do świata nowych kontaktów. George chciałaby nie być już dla Gawaina nie znanym mu łodem. Chciałaby, żeby wiedział, co lubi w życiu i na czym upływa jej cały ten bezmiar czasu, który spędza z dala od niego. Chciałaby, żeby wiedział, dlaczego ona również lubi swój zawód, i żeby się nauczył lepiej patrzeć na świat. A gdzież przysłoby jej to łatwiej, jeśli nie na tym archipelagu, gdzie jak w otwartej księdze czyta się historię - dzieje nakładających się na siebie podbojów Francji i Anglii, a także dzieje piractwa. Gawain w życiu nie zajrzał do żadnego przewodnika. Dla niego morze jest miejscem pracy, eksploatowaną przezeń kopalnią, środkiem utrzymania. Nigdy nie myślał o wielkich żeglarzach, którzy je przemierzali. Wyspy są po to, żeby na nich pracować, i tyle. Tuńczyki czekają na złowienie, on chodzi po tym świecie, by je łowić, jego dzieci też będą żyły z tychże tuńczyków. Nie miał czasu, żeby się zainteresować dawnymi dziejami. Ciekawość jest luksusem, a on się czuje z tego luksusu wyłączony. Nawet sobie nie wyobraża, aby mogło mu to dać zadowolenie. Tyle że tutaj z musu siedzi beczynn timer i tak się składa, że George jest historyczką. Niech więc będzie historia.

George zaczyna od korsarstwa, aby go nie przerazić. Chłopcy lubią opowieści o bandytach i awanturnikach.

- Nie czytałeś żadnych pamiętników wielkich żeglarzy?

- Wiesz, na pokładzie prócz kryminałów i komiksów niewiele znajdziesz do czytania.

A, tak, przypominam sobie, że czytałem coś o Krzysztofie Kolumbie. To była taka książka,

którą wygrałem na loterii w Quimperle!

- Na pamiątkę naszego pobytu tutaj podaruję ci książkę o historii Seszeli. To istny kryminał, zobaczysz, z Anglikami i Francuzami, którzy się gonią na zmianę, tam i z powrotem chrzczą po swojemu te same wyspy, wprowadzają na nich swoje kościoły, bogacą się, mordują wzajemnie, a w finale zawsze piraci obu stron wszystko inkasują. Wygląda na to, że pełno tu ukrytych skarbów. Na tych wyspach piraci mieli swoje leża, zwłaszcza że w tamtych czasach były bezludne.

- Pirat! - z rozmarzeniem rzekł Gawain. - Na pewno zawsze to było bardziej podniecające niż obrobienie domku letniskowego!

- Nie rozśmieszaj mnie! Nie byłbyś zdolny «robić za pirata». Za dużo uczciwości ma w sobie syn Lozerechów! Już trudno ci «robić za kochanka»...

Gawain czule szturcha ją pięścią, daleko od stopy. Lubi, żeby mówić mu o nim, nie nawykł do tego.

- Nie, ciebie widzę raczej jako kapitana w służbie króla, po każdej wyprawie wiernie przywożącego mu całe złoto i diamenty zdobyte na tubylcach albo wrogu - w takim wypadku nie byłaby to kradzież - wszystko, aż do ostatniej łyżeczki. I bez trudu wyobrażam sobie, jak w nagrodę osadzają cię w lochu na resztę twoich dni, bo uczciwością naraziłeś się wysoko postawionym na dworze osobistościom... albo jak zbuntowana załoga wrzuca cię do morza, bo odmówiłeś im dodatkowego łupu.

- Wyobrazasz mnie sobie jako takiego durnia?

- A jak... Przy tym uczciwość w tamtych czasach jeszcze mniej popłacała niż dzisiaj. Wiesz, co się dawniej opłacało? Umieć kochać!

- No to widzisz, może i miałbym szanse jako korsarz! To znaczy z tego, co ty mówisz, bo ja tam nie wiem - dodaje z miną obłudnie skromną.

Śmieją się. Na tym gruncie czują się cudownie sobie równi. George pieści go chwilę, tyle, żeby się upewnić, iż wszystko jest na swoim miejscu i że Gawain jeży się nawet słuchając, gdy ona mówi o historii.

- Wiesz, to nie żart: Francuzi podbili Tahiti dlatego, że marynarze Bougainville'a umieli się lepiej kochać niż Cooka! Królowa Pomaré, niedopieszczona bardzo przez brytyjskiego pastora Pritcharda, wolała ofiarować swoją wyspę Francuzom, kiedy spędziła parę nocy z sama już nie wiem jakim Lozerechem z francuskiej ekspedycji. Dam ci też *Podróżę Bougainville'a dookoła świata*, na pewno cię to zaciekawi.

- A czemu byś nie miała mi dać tej swojej książki? Imponuje mi, że napisałaś książkę. Dla mnie autorzy są ludźmi niepodobnymi do nas... rozumiesz, nietykalnymi...

- Nie, w ogóle nic nie rozumiem! Uważam, że ty świetnie dotykasz właśnie autorów. Nie wiem, czy z moją książką równie dobrze mi się uda. Widzisz, to rzecz dość akademicka. A poza tym kobiety... rewolucje... Te dwa tematy nie ciekawią cię tak bardzo. No powiedzmy raczej, że nigdy się nad nimi nie zastanawiałeś. Nawet nie wiesz, czy cię to interesuje, czy nie.

- No to od razu powiedz znowu, że ze mnie matoł.

- Przecież ci mówię!

Teraz George do swoich słów dodaje szturchańca.

- Zastanawiam się, co ja w ogóle z tobą porabiam! - odważa się wyrzucić z siebie Gawain, wahający się, czy powinien jej słowa potraktować jako żart.

- A co ja z tobą? Nad tym się zastanowiłeś? Trzeba sobie będzie jasno powiedzieć, że się kochamy, mój ty kochany matole!

Bierze go za szyję i na siłę przyciąga do siebie, a potem, póki twa pocałunek, sami już nie wiedzą, co myślą.

- Interesujesz mnie, jeśli chcesz wiedzieć - podejmuje George. - Podoba mi się twój charakter, ten twój paskudny charakter. Podoba mi się twoja czułość. I jesteś inteligentny w miłości, co jest cechą niewielu mężczyzn, a na to matola nie stać, sam więc widzisz... I przyślę ci mój doktorat, z kompromitującą dedykacją! Będziesz go musiał czytać po kryjomu, a potem zakopać w ogrodzie...

Słońce pada na werandę uginającą się pod krzewami bugenwilli. O właśnie, myśli George, muszę mu powiedzieć, że po Bougainville'u, choć odkrył tyle wysp, przetrwała nazwa wcale nie jednej z nich, lecz krzewu. Wypijają ciut za dużo miejscowego ponczu i George opowiada mu o swoim życiu na uniwersytecie. Wysławia się z łatwością, co wynika z tradycji i rodzinnej, i klasowej. W stronach Gawaina ludzie zawsze mówią tylko to, co jest niezbędne. A wśród kolegów z rzadka pozwalają sobie na zwierzenia w formie prześmiewek podczas wieczornej popijawy. Nie rozmawia się o tym, co człowiekowi leży na sercu. Byłoby to nieprzyzwoitością. Taką samą, jak gdyby babka Lozerechowa postanowiła ubierać się inaczej niż na czarno albo matka wylegiwać się z rana w łóżku. «Wtedy to naszła człowieka chętką» lub «Ciężko było tym razem!» stanowią najbardziej elokwentne wypowiedzi, podkreślane pełnymi zadumy «Oooo, tak! nie ma co gadać!», po których każdy milczy przez moment, rozmyślając o własnych przeżyciach.

Lecz tego wieczoru na wyspie Gabriela de Choiseul, diuka Praslin, po czwartym ponczu Lozerech nie jest już Lozerechem. To człowiek, który upuszcza wreszcie odrobinę tego, co nie sformułowane w słowa strzeże w głębi duszy. I okazuje się to jeszcze gorsze niż

miłość. Bardziej bulwersujące, ponieważ wyjawianie swoich myśli kobiecie kompletnie różni się od wszystkiego, co dotąd robił. Mówić o trudnych chwilach jeszcze mu się udaje. Ale wyznać to, co lubi, stanowi w pewnym sensie gwałt na najlepszej części jego jestestwa. George także jest lekko wstawiona, lekarstwa, alkohol... i to dodaje mu nieco pewności. Nie pójda nigdzie na obiad z powodu jej nogi i podczas gdy objadają się egzotycznymi owocami, Gawain nie przestaje opowiadać o sobie: o połowach w Dakarze albo na Wybrzeżu Kości Słoniowej, o przygodzie, jaką jest każda nowa kampania, o podnieceniu, kiedy się dotrze do ławicy, o kłębiącej się wodzie, gdy ryba wychodzi na powierzchnię oszołomiona przynętą, o grubym bambusowym wędzisku, które trzeba spieszenie chwycić w ręce, o rampie rufowej ukrywającej przed tuńczykami szereg zapaleńców, którzy od głównego mechanika po kucharza szykują się do łowów. I o chwili brutalnej jak miłość, tak właśnie powiedział, brutalnej jak miłość, kiedy każdy jednym podrzutem bioder wciąga na pokład swojego tuńczyka, swój łup, często ważący nawet dwadzieścia kilo, i o żarłoczności ryb, i o podnieceniu ludzi w zakrwawionych pelerynach sztormowych, i o bezustannym plaskaniu płetw o pokład, i o haczyku bez języczka, żeby szybciej odczepiać zdobycz, i o tym, jak wędka znów czyha na nowy łup.

George zauważyła już, że Gawain zawsze, gdy mówi o swojej pracy, używa wyrażeń bretońskich i ma mocniejszy akcent. Sprawia mu przyjemność wyjaśnianie jej znaczenia poszczególnych słów, swojego żargonu zawodowego, tłumaczenie, czym są łowiska albo wytropione ławice tuńczyka, jakiej przynęty używa się, by złowić sardynki, które z kolei będą przynętą dla tuńczyka, na czym polegają wszystkie prace poprzedzające starcie... Tak, roboty przy tym więcej niż przy sieciach, stale trzeba zakładać na nowo przynętę na haczyk. I niemało linek się zrywa, tak szybko to idzie, i ludzie wpadają czasem do morza, ale to sport! Oczy mu błyszczą. Czyta się w nich szacunek dla adwersarza, wielkiego drapieznika, jakim jest tuńczyk, «kapitalne zwierzę, a jak umie się bronić! Gdybyś to zobaczyła! Zdarzyło się raz, żeśmy w trzynastu załadowali rybami do pełna wciągarkę w niecałe pół godziny. Było ich ze trzysta, i to ogromniastych!» George mówi: «To musi być wspaniały widok!» A on odpowiada: «No, kapitalny...» Słowo «wspaniały» nie należy do jego słownika. «Ale co tu dużo gadać, to już przeszło - konkluduje z fatalizmem charakterystycznym dla marynarzy. - Wszystko zależy od armatorów, oni zmieniają statki, ludzi. My znaczymy mniej niż nic. Wędkarze wyszli już z mody. Teraz Amerykańcy mają nylonowe okrężnice, a taką siecią to i dziesięć ton ryby w jedną dniówkę zgarną. A my tyle mamy za jeden pływ! Tak, to już przeszło» - rzecze w zamyśleniu. Nagle znalazł się bardzo daleko od George. Mówi sam do siebie.

- Ale dużo więcej byś zarobił na sejnjerze, nie? Miałbyś większy komfort, pracę nie tak męczącą.

- Zarobiłoby się więcej, jasne, tylko że...

Nie kończy. Nie potrafi wyrazić słowami swojej nostalgii, zamilowania do pracy rąk, jedynej, w której pojedynczy człowiek przedstawiał sobą jakąś wartość, póki radar nie zastąpił wyczucia szypra, a elektronika nie przyszła w miejsce odwagi i doświadczenia.

- Miałem trzynaście lat, jak już pływałem na tuńczyka. To znaczy wtedy łowiło się białego tuńczyka, a ten ich czerwony teraz to całkiem co innego...

Takie połowy już się skończyły, on jednak nie uważa się za pokonanego. Dowodem na to jest jego przyjazd tutaj. A skoro trzeba robić na wielką skalę... Mówi się już o helikopterach do wypatrywania stad ptaków, które łowią narybek przy samej powierzchni, ławic drobnicy sygnalizujących dużą rybę głębiej. Pułapka się powiększa. Północny Atlantyk zaczyna już pustoszeć, ale tutaj czekają całe masy tuńczyków. Ożywia mu się wzrok. Ma gdzieś środowisko naturalne, nazywane jeszcze przyrodą. Lubi niszczyć, to jego praca. Pirat, krótko mówiąc. Przyszłość to nie jego sprawa.

Jest pierwsza w nocy, Gawain rozgląda się dokoła, jakby wracał na ziemię. George zaczyna przysypiać wtulona w zagłębienie jego ramienia. Mówił sam do siebie, ale nigdy by nie mówił, gdyby był tak zupełnie sam. I nigdy będąc z jednym z braci albo z żoną. Może do kolegów, ale o tym, co było, o planach, nie o uczuciach. Uczucia przystoją babom. Co zatem sprawia, że przy tej babie odkrywa w sobie całkiem innego mężczyznę i opowiada na głos o różnych rzeczach, choć nawet nie wiedział, że chce je wyrazić?

Ostrożnie zanosi do łóżka swoją piękną rybkę. «Nie powinnaś stawiać nogi na ziemi, bo to powoduje napływ krwi. No i trzeba ci zrobić okład i zawinąć stopę na noc.»

George kryje twarz na jego szyi. Po raz pierwszy w życiu jest tak niesiona, ktoś się o nią troszczy, nakłada jej opatrunek, myśli o niej. Sama nie wie, czemu ulega; czemuś, co jest kojące. Owszem, wie: rękom swojego ojca, sanitariusza w czasie wojny, ponieważ zrobił dyplom kursu wstępnego na medycynę i rok ją studiował, zanim został artystą. Rękami umiejącym oczyścić ranę. Jej matka nie znosiła widoku krwi. Przypomina się jej mdły zapach jodyny. «Szczypie! - nieodmiennie krzyczała. - I bardzo dobrze - odpowiadał ojciec - bo to znak, że działa.»

Zasypiają czule przytuleni, po raz pierwszy chyba zespoleni, objęci również duchowo, w harmonii ze swymi ciałami, spletanymi jedno z drugim niczym ciała dzieci.

Następnego ranka noga na tyle dobrze wygląda, że postanawiają objechać dokoła

Praslin. Wynajmują na cały dzień jedyny na wyspie samochód, bo nie będzie to tak męczące dla George jak pedałowanie na rowerze.

Robią postój nad każdą zatoczką i w najskromniejszej z nich, zatoczce Marie-Louise, w odległości kilku metrów od brzegu znajdują najwspanialszy podmorski skarb na głębokości metra czystego kryształu, na podwodnej łące usianej rybami, pomiędzy którymi nurkują razem, ledwie poruszając płetwami. To tutaj żeglarze z «Heureuse Marie» odkryli kokosowy gaj w Majowej Dolinie, gdzie oni wybierają się nazajutrz. Niedaleko stąd przybił do brzegu pirat La Buse - przez Anglików, niezdolnych wymówić francuskie u, nazywany «La Bouche», Usta - zagarnąwszy najslynniejszy w historii piractwa skarb: wicekróla Indii i jego złotą zastawę, arcybiskupa Goi i jego naczynia liturgiczne obsypane szlachetnymi kamieniami... Czytają razem przewodnik wyciągnięci pod kazuarynami na gorącym piasku, bardzo daleko od współczesnego świata.

Tego popołudnia znowu będą się kochać. I po raz pierwszy pozwalają sobie na luksus leniwego marudzenia. Po raz pierwszy także Gawain ma wrażenie, że oddaje się kobiecie, którą niebawem posiada. Czuje się onieśmielony, bardziej wzruszony. Tego dnia właśnie zgadza się, aby go długo całowała «tam», jak to on mówi, i odważa się okazać, jak wielką przeżywa rozkosz, lecz nie potrafi osiągnąć szczytu pod dotknięciem jej ust. Wstydzi się, że tak się obnażył. W ostatniej chwili wciąga na siebie George, przyciska jej twarz do swojej.

- Za bardzo cię szanuję - mówi - i pewnie uznasz to za głupie, ale nie umiem skończyć tak po prostu w twoich ustach.

- Zaufajże mi, będę robiła tylko to, co lubię, i przerwę, jeśli przestanie mi się podobać. Przy tobie nigdy się do niczego nie zmuszałam.

- Może, ale ja po prostu nie mogę. Jesteś o to zła?

Przesuwa językiem po wargach George, jak gdyby chciał zmyć ślad dotyku swojej męskości.

- Czuję się samotny, jak jesteś tak daleko w dole, tak bardzo lubię czuć cię całą. Jesteś zła? - powtarza z niepokojem. - Naprawdę wolę kończyć tak - dodaje, ze skupieniem lokując się między udami George w zagłębieniu, które w niej dla siebie stworzył i które teraz go w sobie zamyka. Zniknęła wklęsłość, zniknęła wypukłość, pozostały dwa ciała gładkie, wypełnione, zrównane. Gawain tkwi w niej bez ruchu.

- Nie powiedziałaś, czy jesteś zła - ponawia pytanie obłudnie, bo o czymś takim zawsze doskonale wie.

- Na pewno nie teraz ci powiem, że lubię to robić inaczej! Tak bardzo cię pragnę, że nie jestem w stanie przyjąć innej pozycji niż numer jeden.

Gawain śmieje się z zadowolenia. I ona śmieje się, że sprawiła mu zadowolenie. Śmieją się razem, że jedno posiadało sekret zadowolenia drugiego. Sekret, którego można szukać przez całe życie, mówi sobie George.

Gawain zaczyna się poruszać, bardzo wolno, a ich zęby uderzają o siebie przy pocałunku, ponieważ jeszcze się uśmiechają mimo powagi przeżywanej rozkoszy.

W czasie krótkich przerw George zastanawia się, czy kiedykolwiek zdoła znowu zacząć. Zwłaszcza że aparatura Gawaina nie przestaje robić wrażenia, nawet po użyciu. Zwróciła mu na to kiedyś uwagę, gdy paradował nago po pokoju.

- Póki jesteś w okolicy, nie mogę się ukrócić. Nigdy w stu procentach. Straszne to! - Wybuchła tym swoim chłopięcym śmiechem. - A jak tylko o tym mówię, to sama widzisz... - Przygląda się sobie pełnym czułości wzrokiem, jakim patrzy się na swoje niezdolne dziecko. Jest szczerze dumny, że tak się podoba, i w ogóle nie czuje zakłopotania. Wstyd zostawił na boku. Wie, że jeśli coś u niego szwankuje, to na pewno nie ciało.

- W głowie się nie mieści! I pomyśleć, że trzeba było aż tropików, żebym cię zobaczyła, jak paradujesz na golasa, i zauważyła twoją anomalię! A raczej «animalię»!

Ujmuje narząd Gawaina i waży go w dłoni.

- Nawet opróżniony swoje waży... Czy ja wiem?... ze ćwierć kilo?

Lubi łechtać jego próżność, gadać głupoty, klękać przed Boskim Narzędem niczym lady Chatterley, o której on nic nie wie. Nawet go troszkę okłamywać, żeby okazał jeszcze większą namiętność, słowem, zachowywać się jak najprymitywniejsza kobieta-przedmiot i dać upust złożonej z wulgarności, z rubasznosci części swojej natury, jakiej dotąd u siebie nie znała. I również z tego powodu kocha Gawaina: za to, że wydobywa z niej na światło dzienne tę nieznaną kobietę, bezprawnie nad nią panującą. Kobietę, która już nie czyta wieczorami, bo chce się szybciej poddać jego pieszczotom, która ubiera się stosownie do jego seksualnych kryteriów, która wybacza mu nieokrzeseanie, przewiny, wszystko to, czego nie zniosłaby u innego, przez wzgląd na rozkosze, jakich od niego oczekuje, na owo pożądanie sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, niewytłumaczalne. Ale w imię czego niewytłumaczalne? Och, to pragnienie zrozumienia seksu w taki sposób, w jaki rozumie się matematykę! Seks ma tylko znaczenie sam w sobie.

To wszystko nie jest ani poważne, ani pożądane, mówi sobie George, kiedy moralna strona jej natury, jej «przyzwoitka», jej duszenia odzyskuje nad nią władzę. Jedynie romantyczne okoliczności podtrzymały ten ogień. Ostatecznie nigdy przedtem nie spędzili razem dziesięciu dni, toteż można było się spodziewać, że lepsze poznanie partnera, powtarzanie (*bez wątpienia monotonne, uściśła duszenia*) tych samych gestów sprawi, że

pryśnie czar, pozostawiając jej tylko dystygowaną nostalgię, bardziej współgrającą z wymogami życia każdego z nich.

- Mimo wszystko wypadaloby wytrwać dwie godziny bez pożądania tego jegomościa, mówiła duena. Należałoby odpędzać, gdy na niego patrzysz, te niesmaczne ukryte myśli. - Ależ, proszę pani, nawet w nocy najlżejszy jego ruch budzi mnie, i jakże tu przeszkodzić, żeby sen przeobraził się w namiętność, skoro dzieje się to jak na tych gawiurach, gdzie skrzydło ptaka z wolna staje się woalem i niepodobna uchwycić chwili, gdy dokonuje się zmiana? I nawet rano, proszę pani, o świcie, kiedy wszystko wydaje się takie niewinne, wystarczy jego palec na mojej skórze, i to daleko od stref drażliwych, a zaraz mój oddech staje się radosnym jękiem, nasze usta się łączą, ciała splatają, płci przyciągają... - Dosyć, przerywa duenia. Opowiadasz mi stale to samo. Takie nudy!...

Co rano George budzi się przestraszona, że dueni udało się nocą przywołać do porządku tę nastolatkę zwróconą dzieciństwu, której nikt oprócz Gawaina nigdy nie widział. Lecz niezmiennie każdego ranka nie kto inny jak nastolatka z Ragenès doznaje dreszczu od pierwszej pieszczoty tego mężczyzny, zawsze przebudzonego przed nią, który przygląda się jej we śnie hamując się, by nie musnąć palcem koniuszka jej piersi.

- Marynarze nie potrafią wylegiwać się w łóżku - tłumaczy się wyciągając w jej stronę dłoń, co jest sygnałem codziennej porażki dueni. Porażki przyjemnej, bo skoro tylko uzmysławiają sobie, że spędzą razem jeszcze jeden całutki dzień, ogarnia ich wesołość. I natychmiast kochają się ze dwa, trzy razy, nie zsiadając z rumaka. Kiedy zaś czują się skonani na amen i stanowczo postawiają *najpierw* iść na śniadanie, jeden nieostrożny gest znowu ich rzuca na łóżko.

Na szczęście kolejny dzień spędzają daleko od swojej chaty, na głównej wyspie archipelagu, a Gawain nie jest mężczyzną, który by się odważył kochać na dworze. Wieczorem jedzą kolację z ryb i skorupiaków w restauracyjce położonej między plażą i polną drogą, gdzie nie słychać żadnego warkotu silników, jedynie miejscową orkiestrę - bęben, skrzypce, akordeon i triangel - grającą dziwaczne kontredanse i kadryle rodem prosto z dworu Ludwika XIV. Pięciu muzykantów - każdy inaczej ubrany, w obszarpane marynarki lub przewiewne koszulki - oraz sędziwa Sesselka w długiej spódnicy, bosa, o pięknie rozklapanych stopach, które jak należy za stopy służyły, budzą pod palmami i kazuarynami menuety Króla Słońce. Kobieta tańczy z wdziękiem markizy, tyle że bezzębnej, w niedoprasowanym szalu na chudych ramionach, z odprutą listwą u spódnicy, ze wzrokiem zalotnym i pełnym pogody, piękna i prawdziwa jak jej wyspa. I dzięki temu wyspa owa na czas jednego wieczoru wraca do czasów, gdy wielcy odkrywcy nie byli generałami i nie stali

się jeszcze biznesmenami. Jak tylko na Praslin zjedzie powyżej dwudziestu turystów, stara tancerka zostanie odesłana do domu, a na jej miejscu zjawi się okropna dziewczyna, «modna» orkiestra i elektryczne gitary.

Tego wieczoru ledwie w sześć osób słuchają muzyki, ich sąsiedzi zaś są również Francuzami, wyraźnie jednak nie poddają się nastrojom. Ani czasowi. Choć już minęli zakręt życia. Tylko co za sobą zostawili? Pani jest bez zarzutu, szpakowate włosy ma spięte w kok, proste plecy, twarz dystygowaną, trochę za bardzo stanowczą, ale piękną, mimo że naznaczoną zbyt długo praktykowaną cnotliwością. W kostiumie z beżowego płótna i obowiązkowych białych sandałach. Jej małżonek, niewątpliwie były administrator kolonialny, przytłoczony trzydziestoletnią małżeńską nudą, ze zwieszonym nosem oddaje się na końcu stołu marzeniom. Ich córka, już teraz osoba w nieokreślonym wieku, ufarbowana na czarno z kasztanowym połyskiem («to trochę ożywi, nie sądzisz?»), u boku ma nieboraka idącego w ślady teścia. Tropiki nie nadważyły ich mieszczańskich skorup. Obydwie panie z uwagą oglądają talerze w poszukiwaniu miejscowych mikrobów, później ze zmarszczoną brwią wczytują się w jadłospis, gdzie widnieją tylko ryby, po czym zamawiają u kelnerki «toasty». Wracają z Majowej Doliny, skąd przywożą «kokodupę», już tego żałując. Kosztowała drogo, a oni się nigdy nie odważą postawić jej w salonie, jest zbyt obsceniczna, teraz to zauważają.

Tylko matka i córka rozmawiają ze sobą, mężczyźni w regularnych odstępach czasu potakująco kiwają głowami. «Ten duży przyjemny hotel, wie mama, nad jeziorem Garda... - A, tak! Pamiętasz, Henryku?» Mamuśka zagaduje męża, na jego twarzy zaś maluje się trzydzieści wakacji spędzonych z połowicą aż do obecnej emerytury, do wakacji bez końca... Nie posunie się jednak do ostateczności. Jeden raz już sobie bunt zafundował, z przeczności, i teraz chodzi na dwóch łapkach.

Ale Francuzi oddaleni o dziesięć tysięcy kilometrów od ojczyzny, o tysiąc kilometrów od Madagaskaru, najbliższego lądu, nie mogą się zignorować. Znajomość nawiązuje się przy okazji «kokodupy».

- Wiecie państwo, każdy owoc numerują, bo wywóz jest teraz surowo reglamentowany - oznajmia pani Matka.

- Ciekawa rzecz, że tylko tutaj rosną. A książęta arabscy kupowali je niegdyś na wagę złota, żeby ich z powodu szczególnych właściwości używać jako afrodyzjaku! - mówi George.

Błysk dezaprobaty miga w oczach pani Matki na myśl, że może być podejrzewana o kultywowanie erotyzmu. Gawain uniósł brew. Coś mu to mówi. Nie Afrodyta, lecz afrodyzjak.

- Śmieszne moim zdaniem, że wschodni książęta czegoś takiego potrzebowali! Wolno im było mieć kobiety, ile tylko zapragnęli - zauważa.

Obydwie panie uznają, że rozmowa zbacza na niepewny grunt, więc ją kierują na temat mniej drażliwy.

- Wspaniałe nazwy noszą te wszystkie wyspy tutaj, nie uważacie państwo?

- Owszem - przyznaje George. - Absolutnie wzruszające jest to, że w tym zapadłym zakątku świata stale się powtarza nazwisko Praslina, jednego z ministrów Ludwika Szesnastego, który tu w życiu nie był!

- No to czemu akurat wzięli nazwisko Praslina? - pyta Gawain. George wie, że on gwizdże na to, lecz mimo wszystko odpowie mu, ponieważ tego właśnie dnia przeczytała o tym w przewodniku.

- Otóż dlatego, że Praslin był ministrem floty i sfinansował wyprawę mającą przywieźć właśnie «kokodupy», już wtedy bardzo drogie.

- Dobrze przynajmniej - zauważa pan Ojciec - że wtedy na Seszelach nie było ani jednego tubylca, więc odkrywcy nie trafili do kotła jak biedak La Pérouse.

- Człowiek, którego imieniem nazwano te wyspy, również nigdy tu nogi nie postawił. Był inspektorem finansowym, niejaki Moreau des Séchelles - wyjaśnia pan Zięć. - Ja też jestem inspektorem finansowym - dodaje z zadowoleniem.

- Zupełnie ładna ta nazwa zresztą. Całe szczęście, że jakiś Newcome albo inny Brytyjczyk nie miał okazji nazwać tego rajy «Nową Południową Walią» czy «South Edinburgh!» - Na tym końcu świata George czuje się szowinistycznie nastawiona i niebywałą frajdę sprawia jej obelżywe traktowanie perfidnego Albionu.

- Edynburg? Kreole raz dwa by to przemienili na «Jedyn-Bór!» - Gawain nie przepuszcza żadnej okazji, by podzielać w królestwie kalamburów. Nie wie nawet, że ma wycucie językowe i dużą zręczność w kompensowaniu swojej niewiedzy.

Francuzi jednak nie życzą sobie ciągnąć dalej rozmowy. Nie bardzo wiedzą, kto zacz ta dziwna para, George i Gawain. Cała czwórka przesyła sobie na koniec aseptyczne uśmiechy, po czym wracają do pokojów w jedynym na wyspie Praslin hotelu.

- Żebyś nie ważył się kupować «kokodupy» - przykazuje Gawainowi George. - Nawet jej nie tykaj. To by nas wykończyło do reszty!

Nazajutrz wypływają na wyspę La Digue. Dni uciekają odtąd szybko, jak w klepsydrze, gdy kończy się piasek. Sąsiednia wyspa jest ostatnim miejscem ich pobytu. Po półgodzinnym rejsie w deszczu przedpotopowy szkuner *Belle Coraline* przybija do

prowizorycznego pomostu ustawionego na drewnianych palach. Tutaj wiecznie gdzieś pada, a George z Gawainem przez cały czas stali na pokładzie, wystawiając się na rozbryzgi fal. Najwyraźniej miłość powoduje zdziecinnienie.

Na La Digue nie uświadczą się ani portu, ani wioski. Rozrzucone niskie domki, młyn do mielenia kopry napędzany przez wołu, kościółek katolicki i zaniedbany cmentarz, gdzie spoczywają zmarli o francuskich nazwiskach. Wózkiem zaprzężonym w woły jeździ się do Grégoires Lodge, jedyne gozajdu z bungalowami do wynajęcia na tej wyspie, która szczyt się raptem czterema samochodami, ale za to dwoma tysiącami mieszkańców. Zieleń szeleści kroplami deszczu, w pokojach pościel jest wilgotna, a nocny koncert żab, owadów i ptaków, przerywany od czasu do czasu jakimś przenikliwym krzykiem, w połączeniu z nieustannym szumem palm uniemożliwia w zupełności zaśnięcie. Polne drogi o tej porze roku są trzęsawiskami, fale zaś wyrzucają całe tony wodorostów o intensywnym zapachu, który przypomina im Raguénés. Ale na brzegu po podwietrznej, wśród potężnych odłamów różowego granitu tej tropikalnej Bretanii, między palmami kokosowymi kryją się przejmująco białe plaże obramowane przymorskim jeziorkiem pełnym słodkiego absyntu.

Wieczory są cudowne, bo wiatr cichnie o zmierzchu. To najprzyjemniejsza pora dnia, poprzedzająca kakofonię nocnych głosów. Siedząc przy «soku owocowym uzdatnionym», jak mówi Gawain mieszając go z dżinem, wspominają swoje lata dzieciństwa, tak bliskiego i tak obcego, i jego znajomych, którzy stawali się jej znajomymi podczas wakacyjnych miesięcy. Obydwoje pamiętają tych samych ludzi, te same pejzaże, a jednak bardzo rzadko udaje im się mieć jednakowe o nich zdanie.

Wypożyczyli rowery i bez planu jeżdżą po wyspie, aż do granitowych skał narzutowych, gładkich i lśniących, nad zatoką Patate, gdzie z ogłuszającym hukiem przetaczają się potężne bałwany.

Wieczorem ostatni raz idą połyskliwym skrajem morza, wystawiając nagą skórę na niemal płynny wiatr, a potem zacierają do łóżka, przycumowanego nad samą wodą, wśród szelestów i pomruków.

Na Mahé ma ich odwiedzić Conan. Ostatnią noc spędzą w oberży Ludwika XVI, gdzie oberżystka po raz n-ty opowie legendę o małym Kapecie, synu Ludwika XVI, który przybył tu ze swoją zastawą oznaczoną herbem Burbonów i mieszkał do końca życia pod nazwiskiem Pierre-Louis Poiret.

Jutro rozstaną się, a rozstanie znaczy dla nich utratę siebie nawzajem, być może na zawsze. Przeżyli już kilka takich «na zawsze».

Zdjęta iluzorycznym pragnieniem, żeby nasycić się nim na zapas, George tego

wieczoru domaga się odeń wszystkiego, chce, by wspomagany wskazówkami pieścił ją aż do przesytu. Na ogół do jego uznania woli pozostawiać przechodzenie do kolejnych etapów - kiedy Gawain sądzi, że dość już miała preliminariów i że pora iść dalej... często okazuje się to przedwcześnie. Tylko odrobinę, tak że wywołuje upojną frustrację. George woli nawet miłosną ekstazę okraszoną kroplą frustracji. Bo właśnie niepewność pieścizot stanowi o ich wartości. I wzrusza ją Gawain, gdy u kresu oczekiwania przyklęka z twarzą skupioną, niemal cierpiącą - właśnie teraz wypada jego kolej - zmarszczonymi brwiami, oblędem w oku, jakby przymierzał się do zdobycia Annapurny, i z dziką determinacją przyciąga ją na siebie. Kochają się wtedy na siedząco, twarzą w twarz, wpatrując się w swoje oczy aż do granic wytrzymałości.

Tego wieczoru nie będzie musiała go przy sobie przytrzymywać; najłżejszym gestem nie daje poznać, że chce wstać z łóżka po spełnieniu. Odpoczywa przytulony do jej wilgotnego uda w ciepłym zapachu ich intymności i nie pędzi zaraz, by zmyć z siebie ślady rozkoszy. Marie-Josée potępia z pewnością takie wyuzdanie. Gdy minie pora folgowania sobie, należy się umyć, doprowadzić do porządku i na powrót stać się osobą czystą, która może spojrzeć swoim dzieciom w twarz. Za pierwszym razem Gawain okazał zdziwienie, że George nie przejawia wstrętu do jego rozlanej spermy i przeciwnie, skarży się, iż on zostawia ją samą na zimnej płamie i biegnie pod prysznic. Ona nie zamierza się myć, choćby po to, żeby zerwać ze wstrętnym rytuałem młodości, czasów, gdy z każdą sekundą rosło niebezpieczeństwo zajścia w ciążę i absolutnie żadna woda kolońska, choćby wtłoczona w samo serce miejsca zguby, nie wystarczała, by zapewnić bezkarność. Leżą więc objęci ramionami, wystrzegając się rozmawiania o przyszłości.

Przyszłość... Jutro polecą w przeciwnych kierunkach. George potem wyśle list do Pointe-Noire na poste restante, jak zwykle. On będzie odpisywał co dwa tygodnie, po zejściu na ląd, jeśli wszystko będzie w porządku. I cóż będzie miał do powiedzenia? «Straszna wichura, proszę pani...» Co za żalosny pomysł, żeby kochać kormorana!

Dla George piętnastogodzinna podróż powrotna nie będzie za długa, żeby wziąć się w garść, pozbierać do kupy i w pierwszym rzędzie doprowadzić do porządku płeć. Tak, tak, ty durna, o tobie mówię. Zaznasz nieco wytchnienia. Bardzo tego potrzebujesz, moja mała! Od dziesięciu dni wiecznie nękana, penetrowana, wypełniana, beczeszczona, mimo to zawsze gotowa, jak prawdziwy mały skaut! Byłam twoją niewolnicą i trzymałaś mnie krótko. Tak to już jest, że pod własną skórą człowiek skrywa różne dziwne indywidua. Ale nie zawsze ci sami ustanawiają prawa.

Koniec zabawy, moja mała!

Uwaga: niebezpieczeństwo!

Niech mi ktoś powie, że wszystko przemijałoby tak szybko, gdybym była z Gawainem, i że żadne z nas nie powinno przewracać do góry nogami swojego życia, zwłaszcza on.

Niech mi ktoś powie, że szaleństwem byłoby zdawać się na własne ciało, które jest zmienne i może popchnąć rozum do sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem wyborów, co okazałoby się wkrótce katastrofalne w skutkach.

Niech mi ktoś powie, że jeśli chcę, aby ta miłość przetrwała, muszę się pogodzić z jej utratą.

Na razie bowiem nie jestem w stanie się odnaleźć. Tkwię na marginesie własnego życia, w komorze dekompresji, gdzie próbuję odwyknąć od wybornego narkotyku, jakim jest czyjeś uwielbienie. Znalazłszy się na powierzchni, będę musiała ponownie się przyzwycząić do bardzo zrównoważonej miłości Sydneya, do jego wątych ramion, pleców już przygarbionych, nonszalancji, podczas gdy pod rękami jeszcze czuję twarde mięśnie Gawaina, a jego gorąca obecność nie opuszcza mnie na krok. Noszę przy sobie, jak podłotek pierwszy list miłosny, karteczkę w kratkę, którą mi wsunął na lotnisku «do przeczytania, jak znowu uciekniesz z mojego życia». W tej samej mierze co jej treść wzrusza mnie staranne pismo i bezbłędna ortografia, wymagana dawniej od dobrych uczniów, których cenzurki szkolne zaliczały się do najlepszych w departamencie: «Przedtem zdawało mi się, że wszystkie dni są podobne do siebie i aż do mojej śmierci takie będą. Odkąd ciebie bliżej poznałem... nie wymagaj, żebym to wyjaśnił. Wiem tylko jedno: chcę cię zatrzymać w moim życiu i od czasu do czasu przytulić, jeśli nie masz nic przeciwko temu. To, co nam się przydarza, ty traktujesz jako coś w rodzaju choroby. A jeśli to faktycznie choroba, to ja nie chcę wyzdrowieć. Świadomość, że gdzieś istniejesz i myślisz niekiedy o mnie, pomaga mi żyć.»

Na szczęście za dobrze znam Gawaina - a może tak mi się tylko wydaje? - by się

lękać, że sercowe namiętności pozbawią go na dłużej miłości do zawodu, a zatem chęci życia. Morze zdobędzie przewagę, przywróci mu świadomość jego własnych zalet, a nawet sprawi, że na jakiś czas mnie znienawidzi za to, że kazałam mu zboczyć z dawno obranej drogi. Jeżeli Gawainowi takie wyjście pomoże, to mu tego życzę, ponieważ w naszym związku ja się czuję stroną wygrywającą, a więc winną. Odnoszę wrażenie, że znacznie mniej niż on cierpię z powodu tego, co nas spotyka, i znacznie więcej daje mi to radości, gdyż bez wyrzutów smakuję niestosowność naszych kontaktów.

Sydney nie wie nic albo bardzo niewiele. Nie chcę mu rzucać Gawaina na żer, walka byłaby nierówna, a mnie dopadłaby pokusa, by zdradzić mojego kormorana, by zerwać łączącą nas więź opowiadając, jaki jest naprawdę, Sydneyowi, dla którego inteligencja znaczy najwięcej nawet w kontaktach uczuciowych. Wykazałby mi, że kocham prostego kmiotka, że to w sumie kapitalne doświadczenie, a ja częściowo z tchórzostwa, częściowo zaś dla oszczędzenia miłości własnej Syda zrezygnowałabym z wyjaśniania mu, co tak mocno trzyma mnie przy Lozerechu - zwłaszcza że i sama sobie nie umiem tego wyjaśnić. Całe szczęście, że chociaż nie potrafię kłamać, to przynajmniej mam spore zdolności do pomijania pewnych rzeczy.

Do zwierzeń dopuszczam tylko Frédérique i François. Moja siostra zaczyna się zastanawiać, co ja widzę jeszcze w tej nie kończącej się powieści w odcinkach, i zachęca mnie do zmiany horyzontu. Jest osobą sentymentalną, ale poważną, żoną miłego, choć pomyłonego ekologisty, brodatego jak większość jemu podobnych, fanatycznie rozmiłowanego w kempingach, łażeniu po górach i bieganiu, a w związku z tym mającego skłonności do przesypiania wieczorów i krótkiego «pofilgowania» niedzielnym świtem, zanim pogoni na stadion, gdzie już czekają koledzy. Tak przynajmniej wyobrażam sobie ich życie płciowe, a domysły te potwierdza nadaśana mina, którą przybiera moja siostra, ilekroć jej opowiadam o swoich karygodnych wybrykach żywiąc w skrytości ducha nadzieję, że wytrącę ją z równowagi i popędzę na drodze do rozwodu, nieodzownego moim zdaniem dla jej rozkwitu jako kobiety.

- I pomyśleć, że to ty mnie nazywałaś niegdyś Frédérique «Z-ku-bana»! Ty w każdym razie jesteś «Bezes», za to z ER-otycznym życiem jak się patrzy! - powiedziała, wracając do naszej datującej się z lat dzieciństwa tradycji gier słownych i kalamburów.

François zaś uważa moją przygodę z Gawainem za zbyt romantyczną, aby ją traktować jak pospolity romans. Po powrocie z każdej eskapady wypytuje mnie o moje uczucia, a jemu powiedzieć mogę wszystko, jest bowiem zarazem przedmiotem mojej młodzieńczej miłości, wiernym przyjacielem, lekarzem i mężczyzną, który w dodatku mógłby

być... kobietą, posiadając tym samym zestaw zalet zupełnie wyjątkowo spotykanych równocześnie u jednej osoby.

Moim amerykańskim przyjaciółom nic nie mówię, z wyjątkiem Ellen, tak łakomej, zbyt łakomej na tego rodzaju przygody, które niezmiennie sprowadza do seksu i utrzymuje, iż odgadła po mojej twarzy, a nawet po chodzie, «że niedawno dałam się pysznie wykochać». «Takie jakieś inne kołysanie biodrami, kiedy idziesz, i kretyńska błogość, jaką masz wymalowaną na twarzy, mówią za siebie», twierdzi Ellen. Jakże ją zmusić, by zrozumiała, że owszem, w Gawainie pociąga mnie seks, ale równocześnie to dużo, dużo więcej niż sam tylko seks?

Wróciłam jednak do Sydneya z zadowoleniem, a pod wieloma względami nawet z ulgą. Byłam spragniona wspólnego czytania gazety wieczorem w łóżku, komentowania wydarzeń na świecie i dysput o sztuce i literaturze. Brakowało mi też jego żartów i rozumienia się w pół słowa. Przy nim odnajdywałam swoją ojczyznę, świat klerków, tych, co analizują swoje przeżycia, co dyskutują i teoretyzują bez końca, co «samych siebie podają w wątpliwość», jak on to często mawia. Gawain lubi się śmiać, ale żarty go tropią i nie jest dość oderwany od spraw powszednich, żeby się poddawać w wątpliwość: żyje i działa jak wilk i wcale nie marzy, by stać się czymś innym niż wilk. Łowi, aby żyć, jeśli zaś czerpie z tego dziką radość, to jego szczęście. Gdyby sprawiało mu to tylko cierpienie, postępowałby tak samo. Jego cel nie podlega dyskusji: wyżywić samicę i małe, a swoją pracę uważa za świętość, ponieważ takie jest jego wilcze przeznaczenie.

Raz jeden zszedł ze swojej ścieżki: dla mnie i w imię motywów, które zwykł poczytywać za mało ważne: cielesnej rozkoszy i niepojętego pociągu. Czyż nie są to uroki samego Szatana?

Jeśli o mnie chodzi, to po równi zdumiewam się obecnym milczeniem swojego ciała i jego krzykiem w obecności Gawaina. Jak po pijaństwie nie można patrzeć na alkohol, tak ja zastanawiam się, dlaczego mogłam się zachowywać niczym maniaczka seksualna i odczuwać z tego powodu błogą szczęśliwość. Niewiele żądam w tym czasie od Sydneya, lecz jesteśmy oboje zbyt zajęci, żeby to spostrzegł. W lipcu mam wrócić na stałe do Francji, on zaś postanowił wziąć roczny urlop bezpłatny i jechać ze mną. Będziemy musieli znaleźć mieszkanie, zapisać Loïca do szkoły, odtransportować to wszystko, cośmy zgromadzili przez te dziesięć lat, i wreszcie pożegnać się ze znajomymi, co w Stanach nie należy do rzeczy najprostszych. Latamy z przyjęcia na przyjęcie, aż w końcu od tych bezustannych pożegnań popadamy w przygnębienie. Ale jest to nieunikniony rytuał, ponieważ w Ameryce przyjaźń, solidarność łączące wszystkich, którzy należą do grona nauczycieli w kraju raczej obojętnym

na kulturę, mają w sobie coś z masonerii i czynią z nas członków jednej rodziny kochającej się, lecz wymagającej, wrażliwej, lecz bardzo konformistycznej. Tęskno mi za francuskim indywidualizmem, za olewactwem, za brakiem ducha obywatelskiego, za wewnętrzną rywalizacją wyniesioną do rangi sztuki...

Tak naprawdę żal mi będzie tylko jednej pary, Ellen Price i jej męża Alana, wykładowców na Uniwersytecie Nowojorskim. Zwłaszcza jej, sprawnej, pragmatycznej i obdarzonej żyłką do interesów, którymi tutaj nawet intelektualiści nie gardzą. Ellen jest przy tym typowo amerykańską skończoną pięknnością: znaczy to, że osiągnęła absolutny brak jakiegokolwiek niedoskonałości, co stwarza wrażenie nierealności. Blondynka o intensywnie niebieskich oczach, najwyraźniej wykarmiona najlepszymi odżywkami, dowitaminizowana, zanalizowana psychicznie do szpiku kości, nawykła traktować pieniądze i wygodę jako coś, co jej się należy, kłopoty zaś jako chorobę, jest w sumie czystym wytworem amerykańskiej technologii.

Od dwóch lat Ellen pracuje nad poświęconą rozkoszy cielesnej u kobiet książką, której tytuł będzie po prostu brzmiał *Orgasm!* Fakt, że jest wykładowcą na New York University, oczyścił ją z cienia choćby podejrzeń o pornografię i pozwolił jej pod pokrywką *Women Studies* porozysłać bulwersująco odważne i szczegółowe ankiety tysiącom kobiet w różnym wieku, a nawet uzyskać stypendium naukowe, co we Francji byłoby nie do pomyślenia. Słowo «orgazm», szokujące u nas jeszcze w roku 1965, tutaj nabiera brzmienia prawie naukowego. Widząc, że zmagam się z jakimś «problemem» - tutaj wszystką stanowi «problem» i wszystko powinno się rozwikłać lub wyleczyć - Ellen co żywo przysłała mi pierwszą wersję swej książki, przekonana, że nauczy mnie ona zaznawać z Gawainem pełni rozkoszy.

- Musisz sprawdzić, czy od tej strony wszystko jest O.K. - powiedziała mi z wielką powagą, szafując owym amerykańskim O.K., które znaczy wszystko i nic, które zastępuje wyrażenia «tak», «może», «w porządku», «ładna pogoda», «odczep się», «zobaczymy» bądź «na razie».

Ellen uważa się za pierwszą badaczkę dziewiczego kontynentu, jej zdaniem bowiem Kinsey wybrał zbyt statystyczną wizję kobiecego seksualizmu. Co się tyczy seksualizmu męskiego, oświadczyła jednego wieczoru podczas rozmowy przy zaskoczonych kolegach, to cechuje go prostota tak prymitywna, że nie warto mu poświęcać więcej niż dziesięć stron.

Liczyłam, że w jej książce znajdę przynajmniej odpowiedź na pytanie, które zadaje sobie tyle kobiet: «Czy przeżywam cielesną rozkosz tak, jak należy?»

Pierwsza rzecz jednak, to jak zdefiniować orgazm? Ellen nader zuchwale proponuje:

«Potężna fala biorąca początek w palcach stóp...» Kurczę blade! Moja fala całkiem zwyczajnie bierze początek w miejscach zwanych wstydlivymi, z kością ogonową włącznie, rośnie i osiąga szczyt w tej tylko okolicy, pozbawiając szlachetne części ciała ich prerogatyw i zmuszając mózg, by przestał myśleć, a tylko czuł. I nawet kiedy moje piersi są pieszczone, co jest sztuczką automatycznie uruchamiającą u mnie proces «wstydlivy», odczucia odbijają się echem właśnie w dole. «Down under» - jak się mówi o Australii.

- Ciesz się - objaśnia Ellen - to dowodzi, że należysz do sześćdziesięciu procent kobiet, których *nipples* są erogenne.

Słowo *nipple* za to nie ma w sobie nic erogenne. Co prawda «sutek» czy «biust», ze wszystkimi konotacjami związanymi z karmieniem i stoiskiem bieliźnianym w sklepie, są niewiele więcej warte. Przy okazji dowiaduję się, że *nipples* zaledwie dziesięciu, piętnastu procent mężczyzn są wrażliwe na pobudzanie. Biedacy! Ale nie udaje się jej opisać mi sposobu rozchodzenia się tej fali, która spływa w dół od piersi do płci. Czy przewodzi ją jakiś nerw, właśnie «wstydlivy»? A może chińska linia siły? Kanał mentalny?

- Można by powiedzieć, że w miłości jest jak w życiu: wszystko przechodzi przez brzuch. To bardzo trafne powiedzenie - oświadcza Ellen.

Zasługą jej książki jest przynajmniej to, że się wreszcie upewniłam co do «kobiecego wytrysku», na którego ekstatyczne opisy ze wzrastającym poczuciem niższości zwracałam uwagę u de Sade'a i spółki. «Gwałtownie wytrysnęła... Niewyczerpane zapasy spermy, jakie zdawała się posiadać... Trzykrotnie zlała spermą narząd markiza...» Cholera! Czyżbyśmy niezdolne były do wytrysku, ja i kilka przyjaciółek, które mogłam o to zapytać? Nic z tych rzeczy, zapewnia autorka. Badania dowodzą, że ten fenomen występuje u bardzo niewielu kobiet i w dodatku niezwykle rzadko. Uff!

- Żadne gruczoły w tych okolicach, oprócz wyjątkowo rzadkich gruczołów Skenego, nie mogłyby wydzielić znaczącej ilości ciekłej substancji - stanowczo mi oznajmia Ellen, która bada pochwy równie szczegółowo jak geograf zasoby basenu Wołgi.

Pozostawało mi jeszcze jedno źródło niepokoju: łechtaczka długa na trzy cale, opisywana przez niektórych pisarzy erotycznych i paru etnologów.

- Męskie marzenia - stwierdza Ellen - oraz obrzydliwa ignorancja w kwestii kobiecej anatomii i mechanizmów nabrzmiewania.

Aaach, tak!

Jednakże praca Ellen nie daje żadnego wyjaśnienia co do nabrzmiewania serca, a jej książka bardziej przypomina przepis kulinarny albo podręcznik majsterkowicza niż filozoficzną refleksję nad rozkoszą cielesną. Nie śmiem jej powiedzieć, że Cowper Powys czy

Reich wyjaśniają i podkreślają wartość rozkoszy, wszelkich rozkoszy, nie popadając jak ona w seksualną stachanowszczyznę.

- Ile orgazmów naliczyłaś na przykład przez ten tydzień spędzony z Lozerechem? - pyta mnie po powrocie, pewna, że wszystkie sobie zanotowałam.

Ze szczytą pobłażania spogląda na mnie, gdy odpowiadam, iż zestawienia mam niekompletne i że czasem cenię sobie na równi długi slalom prowadzący do mety, jak i samą metę. Właśnie ten parcours - ponieważ nigdy się do końca nie da przewidzieć, jaką drogą powiedzie, by rozedrganą, błagającą lub zrozpaczoną doprowadzić cię do ostatnich drzwi - stanowi o wartości rozkoszy finalnej i w pełni odróżnia ją od rozkoszy przeżywanej w samotności, otrzymywanej za każdym razem przy minimalnym wysiłku i za pomocą dwóch, trzech zaprzyiałych marzeń dobytých z dna szuflady, których nie miałoby się odwagi nikomu wyjawić.

Niewątpliwie należy wysnuć stąd wniosek, że pożądanie nie ma stałej konfiguracji dającej się opisać i że róża wcale, ale to wcale nie jest róża. Bardzo to zabawne, choćby się Ellen nie podobało.

Zawsze niebezpiecznie jest przesadzać w inne miejsce kochanka nie pierwszej młodości.

Po powrocie do Francji całkiem inaczej patrzę na Sydneya. W Stanach był razem z Loikiem sednem mojego życia i rozgrzewał mnie. Tutaj miałam z powrotem rodzinę, przyjaciół z dzieciństwa i nie tylko, moich ulubionych autorów francuskich, znane gazety, łącznie z najgorszymi, które mi opowiadają o nieszczęściach Guy Luxa, o akademickiej szpadzie Josepha Kessela, o aferze Naessensa czy Bettina, czyli typowo francuskie ploteczki, o wiele bardziej interesujące moim zdaniem niż rozwód Lany Turner, waga Elvisa Presleya bądź oszustwa Franka Sinatry. Mało brakuje, żeby mi czasami nie widziała u Sydneya manier zwykłego teksańskiego kmiotka!

Wypływa to wszystko ze złej wiary tym bardziej oczywistej, że Sydney z błogim zadowoleniem zanurzył się w swoim ulubionym kulturalnym tygielku, mianowicie we francuskiej Nowej Powieści, której zarzuca tylko to, że nazywa się jeszcze «powieścią». Wreszcie znalazł się w miejscu, gdzie narodził się ten gatunek literacki, jego zdaniem spychający w niebyt wszystkie inne. Chłonie woń Nowej Powieści i poznaje jej autorów, wesołych kompanów lub nudnych teoretyków jak wszyscy dokoła, nie noszących żadnych znaków rozpoznawczych czy szczególnego odzienia. Podejrzewam, że jest tym rozczarowany. Ale w ciągu tego roku będzie mógł się poświęcić planowanemu od dwóch już

lat dzieła, którym dorówna swoim wzorom: Sydney zamierza bowiem oczyścić je dokładnie z najmniejszej iskielki życia mogącej stanowić groźbę, że zostanie porównane do jakiegokolwiek powieści.

Trwa to już kilka lat, odkąd w zmowie z amerykańskimi akademikami skrył się w dającym poczucie bezpieczeństwa kokonie pogardy dla literatury cieszącej się publicznym powodzeniem. Łaskawym okiem patrzyli tylko na pisarzy, których książki sprzedawały się w minimalnych nakładach, a ich lektura potwornie nudziła. Szczytem stała się ostatnio wydana powieść «strukturalna»: jej bohater dla większej pewności mienił się «Struktura» i Sydney nią właśnie zamyślał się inspirować. Przystąpiłam do czytania jej z maksimum dobrych chęci, przeradzających się w miarę przewracania stron w *kategoryczne* postanowienie kontynuowania lektury, i wreszcie dotarłam do słowa «koniec» wyłącznie dzięki rozpaczliwemu zrywowi resztek woli!

Czy to pośredni wpływ Gawaina? Nie jestem już w stanie wierzyć w szczerość, spontaniczność Sydneya, kiedy dążeniem do ścisłości i czystej literatury próbuje uzasadnić ascetyczność swojej powieści, oschłość i brak choćby namiastki charakteru czy cienia akcji. Widzę w tym jedynie przytłaczającą szarzyznę. Stąd wniosek, że albo należy mnie uznać za ograniczoną, albo Sydneya i jego akolitów za dowcipnisiów, lecz niesamowicie poważnych. Wybaczają mi zresztą mój brak entuzjazmu: ostatecznie jestem tylko historyczką.

Tego lata pozwalamy sobie jedynie na dwutygodniowe wakacje u Frédérique w Bretanii. Przygotowuję wykład, który mam wygłosić na Sorbonie na rozpoczęcie roku, i pracuję nad książką zamówioną przez wydawnictwo PUF na podstawie mojego doktoratu: «Kobiety i rewolucje».

Kiedy zdarza mi się mijać w Raguenès z Gawainem, zamieniamy kilka uprzejmych słów. Jedynie spojrzenia niosą nam pociechę: to na pewno my, w innym miejscu i w innym czasie umiemy tak dobrze trzymać się w ramionach; to na pewno my, ci sami, co przez całą ostatnią zimę wymieniali korespondencję, w której wcale nie uprzejmość dominowała. Nie przestaliśmy bowiem do siebie pisać: on posyłał mi z Pointe-Noire codziennie krótkie notatki, nadawane partiami co dwadzieścia, dwadzieścia pięć dni, kiedy jego statek zawijał do portu, by uzupełnić zapasy żywności, ropy i wylądować rybę; ja adresowałam na poste restante listy, których nigdy mi się nie udawało zgrać z tym, co on pisał: pociągnięcia piórem po wodzie, daremne próby, by doścignąć nurkującego bez ustanku kormorana.

W gruncie rzeczy ta korespondencja podkreśla jedynie osobliwość naszego związku. Gawain nie pozostawił zauważalnych śladów w moim życiu i nie zna żadnego z miejsc, gdzie mieszkałam, z wyjątkiem domu rodzinnego. On należy tylko do mojego życia wymarzonego,

a ja piszę doń z krainy, gdzie wszystko jest możliwe i nic prawdziwe. Zależy mi jednak na tej wymianie listów: uroki słowa pisanego, każdego słowa pisanego, byle tylko posiadać minimalne umiejętności, mocno oddziałują, nawet na kogoś, kto jeszcze całkiem niedawno uważał, że pisać znaczy «przekazywać nowiny». Ostrożnie sprowadzam go na złą drogę, gorsząc w stopniu zaledwie wystarczającym, by obudzić w nim sztukę zaznawania takiego typu przyjemności, skoro inne chwilowo są nam zabronione.

Planowaliśmy zjechać się na tydzień, dwa w Casamance, kiedy jego sezon rybołówczy dobiegnie końca i zanim wróci do rodziny do Larmor. Konieczność spotkania się z dała od miejsca zamieszkania każdego z nas nawet mi przypadała do gustu, zwiększała bowiem nierealność naszego romansu, niewątpliwie będącą zarazem warunkiem jego przetrwania.

Spotkanie było już ustalone na koniec kwietnia w Dakarze, skąd mieliśmy pojechać do Casamance, gdzie czekała łódź wynajęta przez Gawaina.

I oto 2 kwietnia Marie-Josée padła ofiarą wypadku samochodowego na drodze do Concarneau, a jej najmłodszego syna, Joëla, ciężko rannego w głowę, trzeba było przewieźć do Rennes.

Gawain zadzwonił do mnie do Paryża, jak zwykle słowem nie wspominając o tym, co czuje, zwięźle informując tylko, że nie ma co myśleć o wspólnym wyjeździe ani o spotkaniu - «na razie», dodał mimo wszystko. Widać cały swój urlop, trzy miesiące, musiał spędzić w Larmor. «Napiszę», zakończył i szybko odłożył słuchawkę. Rozmowa z Senegalu bardzo dużo kosztuje!

Niewątpliwie na skutek nierzeczywistości naszego związku nigdy nie jestem w stanie od razu odczuć w życiu realnym zawodu i smutku, wywołanego cierpieniem w życiu wymarzone. No i trzeba tu przyznać: w pewnym sensie sprawia mi ulgę to, że odzyskuję ferie wielkanocne i poświęcę je Loïcowi. Obowiązki kochanki wypełnia się zawsze ze szkodą dla obowiązków macierzyńskich i zawodowych, co rodzi wieczne poczucie winy. Nie zdążyłam jeszcze nic powiedzieć Sydneyowi... Cieszę się z tego. Tchórzostwo bywa czasem nagradzane.

Ta zmiana pozwoli mi gościć Ellen, zjeżdżającą do Francji w nastroju bardziej niż kiedykolwiek orgazmicznym. Jej książka świetnie się sprzedaje w Ameryce, za to małżeństwo upada swobodnym lotem. Czasami trudno jest przetrwać sukces żony, zwłaszcza gdy bazuje na seksie i roi się od przykładów i anegdot, których bohaterem na ogół nie jest fallus Alana! Ludzie popatrują nań wzrokiem lubieżnym albo litościwym: czy to on praktykuje «chiński kołowrotek»? przyspieszone vibrato nadgarstka? Czy to jemu Ellen wykręciła numer łonowo-ogonowy opisany na stronie 74?

Ponieważ we Francji, odkąd wydano przekład *Raportu Kinseya*, orgazm stał się modny, Ellen ma nadzieję, że na tej fali uda jej się załatwić tłumaczenie swojej książki. Biega po rozgłośniach radiowych, po redakcjach kobiecych magazynów i gazet, gdzie jej dokumentarna zuchwałość, mieszanina naiwności i cynizmu, amerykański akcent i buzia niewinnej laleczki czynią cuda. Organizuje u nas wieczory-manifestacje, licząc, że dołączy do swojej książki rozdział na temat orgazmu rzymskokatolickiego. Tego rodzaju rozmowy, zachęcające do rozkoszy, dają jej okazję do nie byle jakich zajęć praktycznych, do których wspaniałomyślnie próbuje włączyć nas, Sydneya i mnie.

Nie bez żalu stwierdzam jednak, że pamięć o Gawainie przepaja moje ciało na tyle dokładnie, by odwieść mnie od czynnego uczestnictwa w tych zabawach.

Tymczasem mój kormoran od wypadku żony nie pisze ani słowa - aby się ukarać, jestem przekonana. Tak samo wśród ludów prymitywnych istnieje potrzeba obrządku ekspiacyjnego. W mniemaniu Gawaina wszystko zostało zapisane w księgach przeznaczenia i kiedyś będzie rozliczone. Dla niego ten dzień właśnie nadszedł, choć Gawain zawsze jest gotów do zapłaty. A los nęka go jak może, co czyni zresztą wobec tych wszystkich, którzy wystawiają się na jego ciosy i nie uważają, iż mają prawo do szczęścia. Dla Lozerecha nieszczęście jest rzeczą normalną.

Marie-Josée wróciła do Larmor, lecz przez wiele jeszcze tygodni będzie musiała leżeć w gipsowym gorsecie. Joëlowi już nic nie grozi, cierpi tylko na zaburzenia psychomotoryczne i z pewnością nigdy nie będzie wiódł normalnego życia. Matka Marie-Josée przeniosła się do córki, aby ją pielęgnować, zabierając ze sobą ociemniałego męża. Nie ruszą się już stamtąd. Wokół Gawaina zacisnął się krąg rodziny, Bretanii, przeciwności losu, zamykając jego również w skorupie, przez którą moje słowa więcej się do niego nie przedostaną.

Po czterech miesiącach milczenia, w przeddzień powrotu do Afryki, wysłał mi króciutki list z prośbą, abym mu wybaczyła, że nie potrafi być egoistą. Widok jego drobnego, starannego pisma na nieładnej, szarej kopercie wzruszył mnie bardziej, niżbym pragnęła. «*Karedig*, chcę, żebyś wiedziała, że jesteś tym, co w moim życiu najlepszego», pisał, jak zwykle na kratkowanym arkusiku małego formatu, jakie kupuje się w sklepikach z barem. «Za każdym naszym spotkaniem mówiłem sobie, że może to dla nas koniec drogi. Znasz ten mój cholerny fatalizm. Ale życie było dla mnie niełaskawe. Myślę czasem o tym, co by było, gdyby przesady twojej rodziny i dawno temu to, że nie chciałaś mi zaufać, nie doprowadziły nas do tego miejsca, gdzie teraz jesteśmy. Zachowaj mnie w jakimś kąciку swojego serca. Jeśli o mnie idzie, to *me ho Kar*. Znajdziesz to w słowniku bretońskim. I zawsze będzie tak samo. Tylko życie chciało inaczej.»

Nie odpowiedziałam mu, bo nie napisał nawet, czy będzie jeszcze chodził po listy na poste restante. W dodatku ośmielanie go, by mnie kochał, wydawało mi się niemal draństwem. Jakże wymagać od niego uczucia, które budzi w nim targające sercem wyrzuty sumienia, podczas gdy mnie daje dodatkowy powód, by cieszyć się życiem?

Z upływem miesięcy na powrót w dużej części przeniosłam na Sydneya to, co przeznaczałam wyłącznie dla Gawaina. Często najlepszą część siebie człowiek zostawia dla swojego okrucha przygody, chociaż się przed tym broni. Poprawiliśmy wspólnie francuską wersję jego książki, która ukazała się na wiosnę w wydawnictwie Stock. Sydney niewiele się po niej spodziewa, jeśli nie liczyć wyrazów uznania ze strony przyjaciół i paru podziwianych przezeń krytyków. Tak przynajmniej sobie powtarza.

Ja zaś dzielę czas pomiędzy moją nową pracę i readaptację Loïca w kraju, który już nie jest jego krajem. Nie przeżywa się bezkarnie dziesięciu lat w Ameryce w wieku, kiedy formują się w człowieku ideały i racje bytu. Na szczęście pomaga mi Jean-Christophe. Ma dwie córki z nową żoną i jest tym w skrytości ducha rozczarowany. Dzięki temu syn nabrał znaczenia w jego oczach i spotykamy się we trójkę bez urazy ani rozgoryczenia, w stanie uczuciowej obojętności, na jaką można sobie pozwolić tylko wobec eks-małżonka. Spostrzegam, że teraz umiałabym się z nim dogadać. Dopiero kiedy inni przestają wywierać na człowieka wrażenie, można by nimi manipulować, i dopiero kiedy się ich już nie kocha, umiałoby się wreszcie pozyskać ich miłość.

Wolnućko do takiego właśnie etapu przybliżam się również z Sydneyem. Czy jednak spokój w wieku trzydziestu pięciu lat jest najwyższą wartością? Być może, jeśli spojrzę na Ellen i Alana w trakcie rozwodu - ona entuzjastyczna, on rozgoryczony i ogarnięty niesmakiem do samego siebie; albo na kochające się małżeństwo François i Luce, gdzie zagościło nieszczęście pod postacią niewielkiego guzka w lewej piersi Luce. Tak, jeśli sobie wyobrazę przytłaczającą wierność, która przykuwa teraz Lozerecha do Marie-Josée złamanym kalectwem ich syna.

Tak, bez wątpienia taką wyzutą z namiętności równowagę uczuciową należy uważać za szczęście.

Disneyland

Niektórzy kochankowie mogą się nie widzieć latami i nie staną się sobie obcy. Po pierwszym swobodnym spojrzeniu, które na siebie rzucili, Gawain i George wiedzieli z całkowicie pewnego źródła, że te trzy lata, złożone z tylu miesięcy i tygodni, były dla nich tylko przydługim antraktem.

Tym razem on pierwszy przerwał milczenie. Po powrocie z połowu cięższego niż inne, z dalekiej Afryki, gdzie czuł się tak oddalony od swoich korzeni, od bretońskiej mżawki, od zapachu swojego oceanu, gdzie tak mu brakowało ramion osób bliskich, ciepłego domu - własnego domu, ogarnęło go naraz pragnienie, aby się poskarżyć na swoją samotność. A z kimże podzielić się czymś tak nieprzystojnym w jego mniemaniu jak «chandra», jeśli nie z tą, która już dawniej umiała go słuchać?

Dwie stroniczki ledwie zapełnił, by powiedzieć, że nie za dobrze mu się wiedzie, ale jakoś tę swoją biedę pcha, że połów słabo wypadł tej zimy i że jeśli za takie marne pieniądze człowiek tyra jak dziki osioł i żyje jak galernik, to równie dobrze może wrócić i hodować ziemniaki.

George też się nie wiodło za dobrze w sprawach sercowych i po kilku listach znowu naszło ich pragnienie, żeby się zobaczyć, pragnienie, by razem spać, by choćby przez kilka dni napawać się sobą.

Problem leżał w tym, że Gawain nie bardzo wiedział, jak kwotę potrzebną na podróż uszczknąć z mizernego zarobku po sezonie zimowym. George tego roku miała trochę oszczędności, ale dopiero po długich pertraktacjach udało jej się zmusić Gawaina, by przyjął od niej pożyczkę, za którą mógłby kupić bilet lotniczy na Jamajkę, gdzie Ellen Price obiecała pożyczyć im mieszkanie. Uparł się, że zwróci jej wszystko w miesięcznych ratach, nie dopuszczając do siebie myśli, iż mógłby być «utrzymywany przez kobietę», jak uroczyście oświadczył.

Gawain nie miał ani czasu, ani wyobraźni, ani koniecznych przyjacielskich powiązań, by ułożyć intrygę tego rodzaju, toteż George wzięła na siebie precyzyjne ustawienie delikatnego mechanizmu, który jego z Afryki, ją z Montrealu, gdzie wygłaszała serię wykładów, miał ściągnąć w odstępie kilku zaledwie godzin na dworzec lotniczy w Miami, gdzie się umówili.

Przyleciała pierwsza i spacerując przed oszklonym korytarzem, w którym miał się pojawić Gawain, jeśli wszystko odbędzie się zgodnie z przewidywaniami, po raz kolejny zastanawiała się, jakiej to sile obydwójce ulegają. «Dupie», mówiła *duenia*. Naturalnie. Tylko dlaczego tej właśnie dupie? Dup było wszędzie pełno, tak w Afryce, jak i w Europie, i to mogących zaspokoić wszelkie upodobania. Jednakże z biegiem życia - a George miała już trzydzieści osiem lat - im więcej doświadczała miłostek całkiem lub średnio błahych, im więcej poznawała męskich narządów płciowych osadzonych na ciele swoich właścicieli, im więcej nawiązywała kontaktów z umysłami, które upierały się, by tymiż narządami władać, tym bardziej związek z Gawainem wydawał jej się wyjątkowy. Na dokładkę odkrywała, że organy wcale nie muszą być porównywalne ze swoimi właścicielami. Dowcipny intelektualista może się okazać zwykłym młotem pneumatycznym, uwodzicielem, adoratorem własnego penisa, a nieokrzesany prostak skrywać w sobie najsubtelniejszego złotnika.

Na takiego właśnie mistrza George czekała, by razem z nim lotem czarterowym udać się do Kingston, gdzie mieli spędzić dziesięć dni w studiu pożyczonym przez Ellen. Jak wielu ich kolegów z amerykańskich czy kanadyjskich uniwersytetów, Al i Ellen kilka lat wcześniej nabyli sobie wakacyjny boks w Montego Beach Club, ogromnym średniej klasy kondominium z tarasem zwieszającym się nad nie mniej ogromną plażą. «To kącik w sam raz, już go wykorzystywałam w analogicznych sytuacjach», powiedziała Ellen, której nic tak bardzo nie uszczęśliwiała jak zagrzewanie do cudzołóstwa.

Patrząc jednak kilka godzin później na imponującą betonową klatkę, wmontowaną w nieprzerwany ciąg równie przygnębiających budynków, George przeżyła chwile paniki. Jak tu wytrzymać dziesięć dni nie mając do dyspozycji nic ponad «ja cię trzymam, ty mnie trzymasz ręką za ptaszynę»? Czy Gawain nie pożałuje, że się zadłużył? Czy rozczarują się sobą nawzajem? Ten dzień nieuchronnie musi nadejść. A mając trzydzieści osiem lat, człowiek zaczyna przeżywać pierwsze troski o swoje ciało. I bacznie przyglądać się «kumpelkom», które były «przyjaciółkami», kiedy się miało dwadzieścia lat. I dowiadywać się o to, co wypada w sprawach seksu, co mężczyźni lubią i co kobiety dzisiaj robią.

Nękana tym właśnie dziecinnym strapieniem George postanowiła kiedyś po raz pierwszy w życiu obejrzeć film porno, zabezpieczona faktem, że przebywała z dala od domu,

w Montrealu, gdzie co roku przez miesiąc wygłaszała serię wykładów w Instytucie Badań Feministycznych Uniwersytetu Laval. Wyszła z kina skonsternowana. Oglądane na wielkim ekranie, z dowcipkującymi kolegami obok, to nieprzerwane, monotonne czyszczenie kominów wydało jej się żalosne, a życie seksualne wręcz śmieszne. I pewnie za takie właśnie będzie je uznawać z perspektywy starości, która wydawała jej się tuż, tuż. Należało sobie zresztą takiego podejścia życzyć, w przeciwnym razie jak znieść starzenie się?

Już teraz dochodziła do wieku, kiedy długa podróż po miesiącu wyteżonej pracy w dość trudnym klimacie wcale nie dodaje urody. A do tego podczas lotu do Miami przeczytała w jakimś czasopiśmie długi artykuł na temat niepochlebnej opinii, jaką kobiety mają o swoich narządach płciowych. Czterdzieści procent ankietowanych oceniało je jako «raczej brzydkie»! Czy to, czym ona dysponuje, spodoba się Gawainowi? A zresztą czy istnieją kuciapki naprawdę ładne, obiektywnie urodziwe, i to nie tylko w oczach miłych zakochanych durniów? George zawsze żywiła wątpliwości co do swojej «bizourlou», jak mówiły jej koleżanki z Quebecu, i była zdania, że miłość tylko dlatego może utrzymywać się dłużej, że mężczyźni nigdy się tej części ciała dokładnie nie przyglądają. Ci zaś, którzy obejrzeliby ją z bliska, czyli autorzy powieści erotycznych, podsycali jedynie najgorsze obawy George i niszczyli jej erotyzm. Nawet pisarze najwyższej cenieni, taki Calaferte na przykład, przyłączali się w tej materii do grona obrzydliwców mających na celu, jak się zdaje, jedynie to, aby kobiety pogodziły się z ohydą wzdargą wobec ich płci. Jakże bowiem radować się posiadaniem «bezsensownej szpary zamykającej w sobie sploty macek, usianej miękkimi przysawkami, najeżonej mnogimi ćwieczkami, ostrzami i... kłami, niewidocznymi, galaretowatymi, spiczastymi? Jakże niewiniątku jakiemuś, nie znającemu książek tych autorów, pozwolić oglądać jej «maciczne szaleństwo, które niepodobna zaspokoić z braku dość grubej dzidy» albo «ten ziejący otwór, paskudztwo ociekające sokami i ropą»?

Wobec «szkarłatnej pochodni», «berła namiętnością «wyszczерzonego boskiego kła», opisywanego przez tychże autorów, pozostało tylko pograżyć się we wstydzie.

Lękając się, żeby nie zauważono jej miękkich przysawek albo galaretowatych kłów, George zawsze zaciskała uda, gdy tylko czyjeś spojrzenie poczynało błędzić po intymnych okolicach jej ciała. Pewnie, że aparatura mężczyzny budzi śmiech z tą swoją dyndającą trąbką i dwoma zwiędniętymi woreczkami, pomarszczonymi od samego urodzenia. Tyle że mężczyzna potrafił sprzedać to oszołamiające trio i zmusić wszystkich, by je respektowali. Kobiety nie umiały zrobić sobie prasy. George ciągle jeszcze nie przywykła do morskiego anemonu gnieźdzącego się między jej udami, do nieruchomych wolut i do rozet, które rzekomo stają się przybytkiem najwznioślejszej ekstazy i są powodem dla mężczyzny, żeby

przebywać cztery tysiące kilometrów! To na pewno jakieś nieporozumienie.

Gawain widać doszedł do takiego samego wniosku, myślała z obawą, ponieważ ani w samolocie, ani w autokarze, ani w mieszkaniu, gdzie się wprowadzili, nie wykonał najłżejszego gestu świadczącego, że chce ją przytulić. Rozmawiają o tym i owym, dla dodania sobie kontenansu rozpakowują bagaże, a wobec bliskości próby prawdy to on proponuje, żeby przed obiadem poszli popływać.

- Zrobiłem duże postępy, zobaczysz.

Jeszcze przed wyjściem dobywa ze swej torby spory pakunek.

- Zobacz, co jest w tym tłumoku, wybrałem dla ciebie. Przepraszam, ale nie miałem w co zapakować, żeby ładnie wyglądało.

Te «tłumoki» owinięte w papier pakunkowy George otwiera zawsze z obawą, nie jest bowiem dobroduszną i z trudem udaje się jej ukryć rozpacz na widok kolejnych znalezisk swojego kormorana. Ten prezent okazuje się czymś najpotworniejszym w całej kolekcji, choć są w niej przecież rzeczy straszne. George z trudem hamuje okrzyk zgrozy na widok zachodu słońca w barwach perłowych, z palmami z malowanego koralu i tubylcami w spódniczkach z fluorescencyjnej rafii, wyposażony nadto z tyłu w elektryczną żaróweczkę, żeby gwiazda dzienna świeciła. Matko Przenajświętsza! Całe szczęście, że Gawain nigdy u niej w domu nie bywa i nie zobaczy obrazu lądującego w muzeum straszyleń na dnie szafy, gdzie spoczywa już tancerka wyrzeźbiona w orzechu kokosowym, jego pierwszy prezent, dalej torebka z wielbłądziej skóry podbita pomarańczową sztuczną satyną i marokańska poduszka haftowana w ich znaki zodiaku, Wodnika i Barana.

Całuje go, żeby wrócić do równowagi i ukryć dreszcz wstydu, który ją przebiega na myśl o Sydneyu odkrywającym w jej walizce przerażające „dzieło”.

Gawain zaś z rozczuleniem przygląda się obrazowi, potem starannie pakuje go z powrotem i chowa do szafy w stylu Ludwika XVI z mas plastycznych, którą zamyka na klucz, bo jakby tak przypadkiem... George opuszcza na oknie żaluzję z kolorowych, plastikowych płytek, po czym zgodnie z natrętnymi zaleceniami przyklejonymi na każdych drzwiach, trzykrotnie przekręcają klucz w zamku swojego gniazdka numer 1718. Gdyby Sydney zobaczył ją tutaj, w tym otoczeniu komicznym, bo w każdym calu funkcjonalnym, z facetem nie wyglądającym na zbyt zdecydowanego, natychmiast wybuchnąłby niepohamowanym śmiechem, jaki ogarnia go zawsze, kiedy może kogoś wyszydzić. Rzadko śmieje się bez podtekstów.

Pocziwe, spokojne morze tropików zaczyna rozpraszać miazmaty zbyt długiej podróży i zbyt długiego rozstania. Na ciałach rozdzielanych z zimowych ubrań odnajdują

powoli znane punkty orientacyjne. Jednakże nadal jeszcze czują się sobie dalecy. Pierwszego wieczoru pójdą na kolację do restauracji. «Kalabasha» oferuje stoliki nad samą wodą, miłą muzyczkę i luksusową obsługę. Trudno, przeżyją to, że jamajskie wino jest paskudne, mdłe i kwaśne zarazem, że langusta z mórz południowych nie dorasta do pięt bretońskiej ani nawet zielonej martynikańskiej. Bawią się w turystów, którzy poznali się dopiero co w samolocie.

- Lubi pan morze?

- Nigdy nad tym nie myślał. Nie mam wyboru, jak to się mówi: ja zem jest marynarz!

Naprawdę niepośledniej urody musiałby być nieznajomy mówiący do niej takim językiem, żeby George zapragnęła położyć go w swoim łóżku! Tyle że akurat jest piękny, o urodzie amanta, tak piękny, że równego mu nie znajdziesz we wszystkich uniwersytetach, piękny jak robotnik morza z Victora Hugo.

- A w jakim celu przyjechał pan na Jamajkę, jeśli można wiedzieć?

- Ha, sam się zastanawiam! Ale wie pani, dopierom przyjechał.

- I nie zna pan tu nikogo? Szkoda, taki piękny chłopiec jak pan! Może miałabym przyjaciółkę...

Gawain oniemiał. Nie potrafi się bawić, mówi zawsze poważnie, a komplementy, z wyjątkiem prawionych w łóżku, wprawiają go w zakłopotanie.

W samą porę z pomocą przychodzi im orkiestra, przyłączają się zatem do par zmierzających na parkiet taneczny. Muzycy grają melodie jamajskie doprawione amerykańskim sosem, żeby nie przerażać klienteli teraz, gdy muzyka posiada konotacje polityczne. George włożyła wyciętą czarną bluzeczkę obszytą przy dekolcie koronką. Nigdy nie nosi ani czerni, ani koronek; ale też nigdy nie bywa na Jamajce z bretońskim marynarzem na kolacji. Ta koronka przywodzi na myśl Pigalle, tego wieczoru jednak było to potrzebne. Nie widzieli się od tak dawna, że zapomnieli, jakim językiem się porozumiewali. Głupie to i zarazem podniecające.

Wolnym krokiem wracają do «kondominium» wzdłuż brzegu morza. Sklepiki z «suwenirami» są pozamykane, w «supermarketach» wygaszono światła, a morze błyszczy bez powodu, dla samej przyjemności. Zaczynają się z sobą oswajać.

- Mieszkam tu, na siedemnastym piętrze - mówi George. - Wstąpi pan na drinka?

Podnoszą wzrok na ogromny ul: w każdej komórce można się domyślić pary, z pewnością poślubionej sobie, to amerykańska enklawa przecież... Na każdym tarasie słychać podzwanie kostek lodu w ponczu, z którego podstarzali samcy będą czerpali zapach i natchnienie oczekiwane przez ich nieskalane małżonki, świeżo uczesane i

wydezodorantowane.

W windzie Gawain wreszcie staje się nieprzyzwoity. Z twarzą pozbawioną wyrazu przyciska wypukłą część swoich spodni do uda George, która muska go dłonią, niby niechcący natrafiając na wystające miejsce. «Dzień dobry, mówi kuś. - Miło mi pana spotkać, odpowiada ręka.» Dwie inne pary w windzie niczego nie zauważyły. Przy akompaniamencie lepkiej muzyki każda wraca do swojej norki, ku ekstazie obiecywanej w zawołanych słowach na afiszach zdobiących kabinę: «Far niente w powietrzu ciężkim od upojnych zapachów tropikalnej wyspy... Życie prymitywne i swobodne w komforcie, który lubisz.»

Obydwie pary staną na tarasie oparte łokciami o balustradę i dołączą do tysiąca dwustu par oczu spoglądających na wreszcie opustoszałą plażę, gdzie kilku Murzynów w pomarańczowych kombinezonach zbiera plastikowe opakowania, butelki z piwa i tubki po kremie do opalania. Każdy smakuje swoją część prymitywnego szczęścia.

George zaczyna mieć przeczucie, że perwersyjną przyjemność sprawią jej te skomercjalizowane wakacje, jakich jeszcze nie miała. Już delectuje się ich prostackimi urokami, wyjaskrawionymi wspomnieniem krajoznawczych wycieczek aranżowanych dla Sydneya w autokarach o wątpliwym komforcie, mających odkryć przed nim region Berry z «Klubem Przyjaciół George Sand» albo skarby Brugii pod oświeconym przewodnictwem panny Pannesson, przewodniczki wycieczek organizowanych przez Luwr, wyjazd z Placu Zgody w każdą niedzielę o szóstej rano. Nic nie zepsuje narastającej w niej przyjemności, ponieważ wszystko tak się śmiesznie układa, żeby jej sprzyjać. Podczas gdy w prawdziwym życiu wszystko jest takie trudne.

Zaledwie weszli do środka, Gawain przywarł ustami do jej dekoltu. Niechybnie zadziałała czarna koronka. Wsuwa potem palec pod ramiączko stanika, aż dotyka piersi, co jest zdradzieckim chwytem wykorzystującym słaby punkt George, ona jednak bierze się w garść. Rozebranie się tak od razu byłoby złamaniem reguł gry. Ostatecznie mają dziesięć dni na to, żeby się prowadzić jak zwierzęta, a czekają na siebie dopiero od trzech lat! Tego wieczoru będą się bawić w «Bel-Ami» i w «Lilię w dolinie», postanowiła w duchu George.

- Co panu podać? - pyta.

- Siebie... na kanapie.

- *Nie, to nieprawda, krzyczy duenia, taka odpowiedź nie przesłaby nigdy, nawet w wodewilu Camolettiego. - Dlatego właśnie go kocham, mówi George... Nigdy nie mogę tak grać z innymi, więc daj mi święty spokój, dobrze? - A ten salon, przyjrzałaś mu się? obstaje przy swoim duenia. Hollywoodzka dekoracja kiczowatych romansów: scena uwiedzenia kasztelanki przez pastucha. - Mogłabyś przynajmniej tutaj mówić «kowboj», sucho stwierdza*

George. - Co za różnica? odpowiada duenia. W każdym razie to już koniec sceny, jeśli mam wierzyć oczom: twojemu pastuchowi stoi jak osłu! Może tutaj powinnam mówić «jak Murzynowi»! Nie minie pięć minut, jak będziesz nadziana na rożen, moja droga.

- Pogoda jest taka, że niepodobna jednej piersi na dwór wystawić, trzeba co najmniej dwie - mizdrzy się George nieczuła na sarkazmy, podczas gdy Lozerech, jedną dłonią gładząc przez cienką sukienkę jej biegun magnetyczny, drugą próbuje odpiąć biustonosz.

- Po co to nosisz z takimi piersiami?

- Żeby dłużej trwało - szepcze.

Zgasiła czerwony lampion na tarasie i rozpięła dzinsy tego faceta poznanego w samolocie. Ma tak piękne uda, że nie wygląda śmiesznie z opuszczonymi do kostek spodniami. Tors ma ogorzały, odkąd pracuje na Południowym Atlantyku. I te obszary skóry jak u dziecka pośród partii owłosionych... nie ma już mowy o lilii w żadnej dolinie, teraz jest morski anemon kołyszący się z ruchem fal. Pokaż mi, jak umiesz kochać, piękny nieznajomy, tyle czasu minęło, że cię zapomniałam. *Tak, duenio, zaraz mi to włoży, takie śmieszne płowe cosik zwieńczone hełmem, i wyobraź sobie, że w tej chwili nie ma dla mnie na ziemi nic wspanialszego jak otworzyć się temu mężczyźnie, a kiedy będzie głęboko, zamknąć go w sobie. Aż do końca świata, tra la la, aż do końca świata.*

Ciągle jeszcze się nie pocałowali, ale jedno nie może odwrócić oczu od ust drugiego ani oderwać od ciała rąk, pieszczących tak leniwie, aż wkrótce staje się to bolesne. Wtedy splątani ze sobą krok po kroku kierują się do sypialni, gdzie po drodze George wyłącza dokuczliwą klimatyzację. Dwa obrazy, przedstawiające Murzynki o spiczastych piersiach, słomiane chaty i ananasy, wiszą nad szerokim łóżem, przypominając mieszkańcom, że przebywają w tropikach.

Gawain popycha George na łóże, ale ma jeszcze dość woli, by nie nakryć jej własnym ciałem. Siada przy niej jak przy instrumencie, który będzie stroił do koncertu. Bardzo jej się podoba gotowy już do miłości, gdy jego natężone spojrzenie spowija ból, który ją porusza do głębi. George czeka. Teraz już niedługo. Wkroczyli na grunt należący tylko do nich, gdzie nikną treści ich życia codziennego. Gawain nachyla do niej twarz i nie dotykając jej dłońmi, zaczyna całować ją w usta. Zamiast nich języki dokonują miłosnego aktu. Później jedna dłoń Gawaina sunie w kierunku piersi, druga zaś między nogami George rozważa stopień ekspektacji, tak delikatnie, że jest to brutalniejsze od gwałtu. Nie zdołają jednak długo wytrzymać zwarci tylko ustami, z jego palcami na jej udach w miejscu, gdzie stają się wargami, z jej dłońmi obejmującymi jego narząd. Kiedy obydwójce są u kresu, Gawain kładzie się na niej, jej nogi rozsuwa swoimi, staje u wejścia do portu ze swoją ostrogą i wchodzi weń

wreszcie, sunąc nieskończenie wolno. «Centymetr na sekundę», sprecyzuje potem George, odpowiadając na natarczywe pytania Ellen, która gderliwie zauważy: «To niecałe ćwierć kabla na godzinę! Przyznasz, że jak na marynarza...»

Prawie bez narastających fal szczęścia nadchodzi orgazm, ledwie go poznają, tak intensywne są wszystkie doznania; i długo trwa ich ekstaza, może nawet powtarza się dwukrotnie, kto to wie? Na pewno nie oni, długo trwający potem w bezruchu, by pozostać na szczycie rozkoszy.

- Jestem cały szczęśliwy, tym razem udało mi się zaczekać - szepcze Gawain, nim zasną w sobie, podczas gdy krótka, rześista ulewa odświeża powietrze nocy.

Następnego dnia ich oczy jaśniejają bardziej niebieskim błękitem, a ciała są subtelniejsze. George pięknieje w oczach, namaszczona bezustannym pożądaniem Gawaina. Jak Alicja w Krainie Czarów, przeszła na drugą stronę życia, gdzie nie obowiązują narzucone prawa.

Dla niego wszystko zaczyna się od nowa: to zaprzeczenie całości tego, w co chce wierzyć, lecz zrezygnował z walki. Zostaje im jeszcze dziewięć dni, by zaspokoić obopólną obsesję - i patrzą na siebie z nieufną wdzięcznością.

George po raz kolejny zastanawia się, dlaczego nie przechodzą do bardziej złożonych konkretów. «Biedacy, tylko raczkujecie na poziomie dupy!» powiedziała by Ellen, gdyby ich widziała. Ale to z pewnością dlatego, że nigdy nie są ze sobą wystarczająco długo. Za każdym razem swoje miłosne dokonania zaczynają od zera i dotychczas za każdym razem, kiedy mogli byli się zastanowić nad czymś bardziej wyrafinowanym, musieli się rozstać! Przy Gawainie George ogranicza się do wymagań ogarniętej wilczym głodem kochanki, którą zaspokajają najbardziej elementarne pieszczoty. Jest spragniona wiejskiego chleba - i mocnego wina. Później przejdzie na kuchnię nowoczesną. Czy właśnie to jej ojciec nazywał sromotą świata, tak pięknie brzmiącym w jej uszach słowem, które on jednak wymawiał z grymasem wstępu? Miała srom, i owszem, tyle że «sromotnikiem» okazywał się Gawain! I to niewinnym zarazem, bo odkrywał uroki intymności ze strachem, że wymyśli perwersję.

- Wiesz, *Karedig* - powiedział jednego wieczoru z wahaniem - może wydam ci się dziwny... ale lubię nasz zapach po «tym», odkąd nauczyłaś mnie, żeby zostawać przy tobie...

George tłumi uśmiech. Przybiera rozczuloną minę matki, która zachęca swoje pisklą do lotu: «No, kormoranku, nie bój się, tak właśnie powinno być, rób tak dalej...»

Od drugiego dnia poczynając starają się unikać plaży, przemierzanej przez sprzedawców coli i hot dogów, brukanej muzyką płynącą od południa z baru, i wyruszają na poszukiwanie skrawka dziewiczej ziemi. Znajdują go w Negrin, na końcu wyspy. Tam każde

ziarenko piasku jest za darmo, nikt im na siłę nie wynajmuje parasoli ani leżaków, a pod korzeniarami ocieniającymi plażę mogą w chatach z liści skosztować pysznej miejscowej zupy z jagnięcia, której nie raczy się podawać w szanujących się restauracjach.

Wieczorem szykują u siebie kolację, potem idą potańczyć gdzieś na powietrzu, wspominając ten pierwszy taniec w «Ty Chupenn Gwen», gdzie wszystko się zaczęło. Wracając postanawiają, jak co wieczór, że nie będą się kochali, bo już to robili o piątej po południu i zrobią w środku nocy. I oczywiście w końcu się kochają. I wtedy jest najlepiej. Monotonia doznań wprawia ich w zachwyt.

Rano George zostaje w łóżku, Gawain zaś przygotowuje płatki kukurydziane i jajka na bekonie. Potem zapisują się na jakąś wycieczkę: do Oryginalnej Wioski albo do Wild River Tour, razem z gadatliwymi Amerykanami, którzy używają formuły *your wife* mówiąc do Gawaina o George, za czym on przepada, z Kanadyjczykami, którzy zalewają się od rana piwem, z Niemcami w szortach i z kamerami, którzy nie pomijają żadnego wyjaśnienia w przewodniku.

Doświadczają osobliwego przeżycia: tak krótko w sumie ze sobą przebywali, a jednak czują się sobie bliscy jak stare małżeństwo. Z żadnym mężczyzną George nie poruszała na przykład tematu swojej miesiączki, mocniejszego pożądania, które trawi ją kilka dni przedtem, a nawet w trakcie krwawienia. Wychowanie przyzwyczało ją do przemilczania tych spraw i ukrywania ich oznak przed wszystkimi partnerami. Gawain czy to dlatego, że darzy George miłością bezwarunkową, czy też dlatego, że żyje bliżej natury, nie wydaje się doznawać najmniejszego wstrętu do tego, co się dzieje w kobiecym brzuchu. Koniecznie chce wszystko o niej wiedzieć, ona zaś nawet nie marzyła, że kiedykolwiek będzie mogła tak otwarcie mówić. Można znać i kochać wielu mężczyzn, nigdy nie docierając do wybrzeży tego rodzaju spokojnej ufności. Gawainowi mogłaby, chciałaby pokazać swoją krew, tak bardzo jest pewna jego tkliwości do każdego swojego zagłębienia, do każdego włoska, każdej fałdki, każdego gestu, każdej niedoskonałości. On należy do nielicznych mężczyzn niezrównanych «później», jak gdyby zawsze posiadał w sobie dość pożądania, by znajdować przyjemność w całowaniu, pieszczaniu, szeptaniu. Czasem to nie do zniesienia.

- Lozerech, powiedz no, bo ja często się zastanawiam: myślisz, że właśnie dla «tego» - George dotyka palcem wskazującym na poły zwiniętego filetu d'anchois, który spoczywa na udzie Gawaina - wymyślamy te wszystkie kombinacje, dokonujemy karkołomnych wyczynów, byle się tylko spotkać? Czyżbyśmy słuchali tylko najniższych instynktów, żądań ciała, słowem: skóry?

- Ja bym powiedział, że to przychodzi skądś z dalsza. Z czegoś głębszego.

- A gdyby tym, co mamy najgłębszego, była właśnie skóra? Ciało przynajmniej wie, czego chce, jest nieczułe na rozumowanie, jest nieubłagane, Nie odpowiada ci ten pomysł? Wolałbyś, żeby to była dusza, hę?

Gawain przesuwa palcami po swej szorstkiej czuprynie, jakby chciał rozjaśnić sobie w głowie. Czochra sobie włosy zawsze, kiedy nad czymś myśli.

- Nie zgadzam się, żeby rządziło mną coś, czego nie rozumiem, i tyle.

- I ty twierdzisz, że rozumiesz Wiarę? Albo Miłość, kiedy cię popycha do szaleństw?

- No właśnie nic nie rozumiem. Jak jestem z tobą, to zawsze wszystko gra, nie zadaję sobie żadnych pytań. Ale niech tylko będę sam, zaraz się cisną do głowy. Aż mi się zdaje, że przestałem być szyprem!

- A ja przeciwnie: mam wrażenie, że dochodzę do jednej z życiowych mądrości. Ta nasza więź jest równie silna jak łączność mistyczna. To jakbyśmy się podporządkowywali zrządzeniu natury. A rzadko udaje się komuś usłyszeć głos natury.

Gawain słucha, zarazem poruszony i nieufny. George bałamuci go tym swoim pięknym gadaniem. Co mu z tego zostanie w noce, gdy będzie się przewracał z boku na bok na swojej koi nie mogąc zasnąć, zastanawiając się, czy jest człowiekiem słabym, czy draniem, a niechybnie jednym i drugim, że nie potrafi położyć kresu temu romansowi? Romansowi, który jak z żalem w duchu przyznaje, jest solą jego życia.

- George, opisziesz kiedyś naszą historię? - ku jej wielkiemu zdumieniu pyta Gawain kilka dni później, gdy gwarzą nad klubowym basenem w kolorze sztucznego błękitu, otoczonym pomarańczowo-brązowymi parasolami koncernu Pepsi-Cola. Należy się jednak upajać tą brzydotą i smakować kielich do ostatniej kropli. Niebywałą sztuką jest robić od czasu do czasu to, czego się nie znosi.

Tego wieczoru Gawain, w różowej koszulce polo - sam nigdy by się nie odważył włożyć takiego koloru - i w szarawarach, którymi na siłę go obdarowała, przypomina przystojnego Amerykanina; i ta mina człowieka sytego i odprężonego, będąca wynikiem wielostrzałowej miłości; i ten sposób wymawiania «Żorsz», lekko syczący i taki bretoński, zdający ją na jego łaskę.

- Opisziesz kiedyś, co?

- Ale co ty chcesz, żebyś opisywała? Kładą się do łóżka, wstają, znowu się kładą, on ją bierze raz i drugi, zaspokajają, ona go od nowa zagrzewa, on wybałusza oczy jak gotowany krab...

- Dla marynarza to normalne!

- Zgodzę się ze wszystkim, ale nie z tym, że masz krabie oczy.

- Mogą być rybnie. Wiesz, tuńczyki mają bardzo ładne oczy, czarne ze srebrną obwódką. To znaczy w wodzie. Nigdyś nie widziała żywych, to i nie wiesz.

- Może, wiem za to, że ty masz oczy absolutnie rozpustne, i to nie w wodzie, a w powietrzu! W każdym razie kiedy jesteś ze mną. Zawsze mam ochotę zawołać: «Tak... kiedy chcesz, gdzie chcesz, jak chcesz...» Boję się, żeby tego nie było widać. Zresztą na pewno widać.

- No i o tym też trzeba napisać. Czasem to w ogóle nie rozumiem, jak to się dzieje, że dalej mnie kochasz. Trzeba wytłumaczyć, jak może dojść do czegoś takiego. Ty byś potrafiła to zrobić.

- A właśnie że nie! Nie ma nic bardziej nieopisanego niż historia miłości. Poza tym nie jestem powieściopisarką.

- Jesteś historyczką, to na jedno wychodzi. Nie wiem czemu, ale mam straszną ochotę zobaczyć opisaną w książce tę całą naszą przygodę, żeby mieć pewność, że jest prawdziwa, że to faktycznie przeżyłem! Może dlatego, że nigdy o tym nikomu nie mogłem słówka napisać.

- To prawda, że mówienie przynosi ulgę. Ja rozmawiam o tym z Frédérique. I jeszcze z François, znasz go. Sydney też wie o twoim istnieniu.

- Gdyby tak moja żona się dowiedziała, paskudnie by było - mówi Gawain, raptem spochmurniały. - Jak tylko jestem z tobą, zaraz kompletnie tumanieję. I zawsze kiedy z powrotem wkładam te sandały, których nie możesz strawić, to jakbym wracał do domu! Gdyby ktoś mi przedtem powiedział, że mógłbym tak żyć, nigdy bym nie uwierzył. Co to, to nie.

- No, no... zamówimy jeszcze raz to samo, chcesz? - George boi się, że w oczach Gawaina pojawią się łzy. A płacz jest dla niego czymś tak nie do przyjęcia, tak bardzo się przed nim broni.

- Widzisz, w tej chwili mówię sobie, że wolałbym paść na miejscu niż więcej cię nie zobaczyć. No a jak tylko nie jesteśmy razem, zaraz sobie myślę, że jestem kopnięty... że to nie może dłużej trwać.

Milczenie. George gładzi dłonią szerokie przeguby Gawaina, zawsze wywołujące w niej rozczulenie. Dotyk jego włosków rozkosznie ją elektryzuje.

- Tak bardzo cię pragnę... Czy to się nigdy nie skończy? - mówi Gawain prawie szeptem.

Nie odzywają się przez chwilę, rozkoszując się zmierzchem, swoją wolnością, zbytkiem, jaki sobie fundują. Słowa nie są na razie sztyletami, ponieważ czeka ich jeszcze noc, a potem jeszcze kilka dni i nocy: cały ocean tkliwości, z którego mogą czerpać.

- Wiesz, jaki byłby najlepszy sposób, żeby to się skończyło? - pyta George.

Gawain niewinnie podnosi lewą brew.

- Życ i mieszkać razem, na stałe. Szybko bym cię zaczęła denerwować, a ty byś dostawał białej gorączki...

- Stale tak mówisz - z urazą odpowiada Gawain. - Ja tam jestem na sto procent pewien, że umiałbym cię kochać do końca życia. Gdyby tak nie było, już dawno bym się od ciebie uwolnił - wyznaje bez uśmiechu. - Wiesz, nigdy nie czuję się szczęśliwy. Jestem nieuczciwy wobec Marie-Josée. Nie mogę się przyzwyczaić. I nie mogę nic zrobić. Gdyby się dało, rozwiódbym się.

George uśmiecha się czule: Gawain często w trybie warunkowym nie wymawia «ł» przed cząstką «by». Czy to jednak odpowiednia chwila, aby mu tłumaczyć, że w trybie warunkowym wbrew pozorom to «ł» występuje? Nie może go ustawicznie poprawiać, i tak już wystarczająco często się krzywi. Aż ją skręca, kiedy Gawain mówi *chalpa*, *potahc*, *kobita*, *bynajmniej* zamiast «przynajmniej», kiedy czasem nazywa morze *cebrzykiem* albo *lurą*. Ale czemu? pyta ją. Nie rozumie, dlaczego *potahc* jest niedobrym słowem! I właśnie na tym polega dramat różnic społecznych, obyczajowych, kulturowych: tego niepodobna wytłumaczyć.

- A zresztą to ty nie mogłabyś ze mną wytrzymać - podejmuje.

Gawain bardzo cichym głosem. - Wiem, że nie jestem na twoim poziomie, ale, śmieszne, to mi nie przeszkadza. I lubię, jak mnie poprawiasz. W końcu to twój fach. Na przykład nauczyłaś mnie podróżować, oglądać rzeczy, na które nigdy w życiu bym nie zwrócił uwagi. My, marynarze, nie mamy czasu. Nawet się nie wie, co znaczy żyć!

- To prawda, Lozerech. Ale à propos «rzyć»... zwracam uwagę, że od co najmniej pięciu godzin nie kochaliśmy się. Nie jesteś przypadkiem chory?

Gawain wybucha swoim zbyt donośnym śmiechem mężczyzny żyjącego wśród mężczyzn. Jedyne antidotum na pewno, że nigdy nie będą na stałe razem, to śmiech. A także pewna doza wulgarności. Gawain lubi, kiedy George czasem jest wulgarna. Czyni ją to bardziej ludzką, bliższą. Chwilami wydaje mu się taka obca.

- Nie miałabyś ochoty troszkę sobie... pożyczyć? - Pewien odpowiedzi, jaką usłyszy, patrzy na nią i po oczach widać, że ma kosmate myśli.

- Ty bezwstydniku - oświadcza George wymawiając z bretońska. - Stale mnie zaczepiasz, ty, ty, ty...

- Nabijasz się ze mnie? I czego tak wymawiasz? Zdawało mi się, że już nie mam akcentu.

- Jak chcesz się go wyzbyć? Przecież nawet się nie słyszysz! I całe życie spędzasz z ludźmi, którzy tak samo mówią. Ale ja lubię ten twój akcent. Kto wie, jaką odgrywa rolę w tym absolutnie haniebnym pociągu, który mnie pcha ku tobie?

Obejmują się w pół i ruszają w kierunku swojej celi numer 1718. Plaża jest teraz wyludniona, a pelikany z wrzaskiem walczą między sobą. W nocy ptakom jeszcze się wydaje, że są u siebie, i zapominają o Hiltonie, Holidayu Inn i innych gniazdach turystów. Na myśl o zimie, której za kilka dni trzeba będzie stawić czoło, George ogarnia raptowna chęć pobiegania raz jeszcze po piasku. W takich razach Gawain sadowi się na tamie. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, żeby się gimnastykować, a to, że inni tak robią, wydaje mu się śmieszne. George wbiega na mokry piasek, zahaczając czasem o szumiącą wodę, która maluje na nim festony, wylewając się na plażę i cofając jakby wsysana przez morze, i znowu wracając w niedgadzionym rytmie fal, podobnym do rytmu miłości.

- Najwyraźniej tylko o tym myślisz, stwierdza duenia. - Wcale nie, to ty nie rozumiesz, że bywają chwile szczególne, kiedy wszystko jest miłością.

Biegając tak, George czuje się lekka i zespala się z otoczeniem, wchłania je całą sobą, upajając się swobodnymi ruchami swego ciała, czasem odmierzanymi miarowo głuchymi uderzeniami pięt, i wrażeniem, że właśnie się rodzi, ogarniającym ją w takich razach, jakby wracała jej ulotna i prawieczna pamięć pierwszego stworzenia, które wyszło z morza i zaczęło wdychać suchy żywioł zwany powietrzem. A miłosne pożądanie jest tylko jednym ze składników tego upojenia.

Chciałaby zrobić sobie zapas tego szczęścia na potem. Tyle że miłość jest jak słońce - niepodobna jej przechować w magazynie. Zawsze jest jedyna w swoim rodzaju i znika jak te fale, które wracają w głębiny oceanu.

Gawain czeka na skraju mola, siedząc ze zwieszonymi nogami. Nudzi go morze bez statków. Wakacje też go nudzą. Interesuje go tylko George, jedyny powód jego bytności tutaj.

- Jesteś mokra jak syrena - mówi, chwytając ją w ramiona. - Jak chcesz, to wytrę ci nogi z piasku, mam ręcznik.

- Nic z tych rzeczy, uwielbiam mieć na sobie piasek. Rozumiesz, dla mnie to dowód, że nie jestem w Paryżu.

Co za pomysły mają te paryżanki! Gawain tuli ją do siebie. Tylko w miłości nic u niej nie jest mu obce.

Przepadają za porą tuż przed snem. Gawain kładzie się pierwszy, a George jeszcze się krząta, przygotowuje, wciera nieco balsamu w skórę zbyt przypaloną słońcem, sprawdza, czy nie został gdzieś piasek.

- Już byś przestała się kręcić i kręcić! - denerwuje się niebawem Gawain.

George rzuca się na niego i wtedy jakby przekręcili włącznik: prąd zaczyna płynąć, wszystko zapala się i chrzęści. Czytała o tego typu przypadkach w powieściach, ale nigdy nie wierzyła w ich autentyczność. Teraz fakty mówią za siebie: George przerywa tylko dlatego, żeby nie zabić Gawaina, a także aby dać wytchnienie swoim cacuszkom.

Nadal wprawia ją w zdumienie, że Gawain tak porusza jej ciało, że namiętnym zainteresowaniem darzy ową częśćkę arbuza, którą zna na pamięć, że omdlewa z błogości dotykając jej łona czy warg i traci dech trafiając do doliny. Jakże tego mężczyznę może ogarniać ekstaza na widok jej płci i ani trochę nie obchodzić Picasso? Jak on może przebyć pięć tysięcy kilometrów, by lec na niej, i nie uczynić kroku, żeby obejrzeć Nôtre-Dame? - *On woli moją płęć, ot co! mówi George dueni, żeby się z nią podroczyć. - Ach! być kochaną dogłębnie! parska duenia.*

- Lozerech, najdroższy, proszę, opisz mi to, co tam widzisz. Powiedz, jak wyglądają inne i czym się moja różni.

Słyszy, że skrywa między nogami ogród cudów, lunapark, Disneyland z górskimi kolejkami, wodospadami i kobietą z brodą. A on zabiega o nowe wirże, szuka sposobów odmiennego parkowania; opowiada jej, że ma ruchome ścianki, elementy nadymane, słowem, że przyprawia go o szaleństwo, słowem, mówi to, czego kobieta zawsze gotowa jest niestrudzenie słuchać. I George swoim wdziękom zaczyna w końcu przypisywać ustawiczne erekcje Gawaina, podczas gdy to jedynie oznaka jego wyjątkowych możliwości seksualnych. On przypisuje George wpływ na całe to ożywienie, podczas gdy ona ma ledwie mgliste pojęcie o tym, co się dzieje na jego nizinach. Nigdy zresztą nie starała się iść za radami Ellen Price, «aby łatwiej się pogodzić z posiadaniem pochwy». Ellen stanowczo zalecała gimnastykę: «Zaczynamy od dwudziestu, trzydziestu skurczów mięśnia pochwowo-odbytowego co rano. Można też robić to siedząc na przykład u fryzjera albo na stojąco, gdy czekamy na autobus. Po pewnym czasie robimy dwieście, trzysta skurczów dziennie, ani trochę nie zmieniając wyrazu twarzy. Dla sprawdzenia, czy mamy pochwę olimpijską (George nie oparła się chęci spróbowania), przy opróżnianiu pęcherza staramy się kilkakrotnie zatrzymać mocz.»

Gawain pokpiwa sobie. To, że można z całą powagą pisać na takie tematy, zdumiewa go i utwierdza w poglądzie, iż wszyscy ci inteligenci są rzeczywiście rąbnięci.

- W każdym razie tobie to na nic - oświadcza z uroczym przekonaniem. Bardzo wygodne jest to, że zupełnie się nie zna na «babskich sztuczках».

Za to kiedy znów do głosu dochodzi jego poczucie moralności, niepokoi się:

- Czy to przypadkiem nie nienormalne, że mi w twojej coraz przyjemniej? Działa na mnie prawie tak samo, jakby była moja.

- Jakżeby twoim zdaniem anomalią miało być to, że chcesz sprawiać przyjemność?

Ich zęby zderzają się w pocałunku.

- Ty paskudna - mówi Gawain. - Złamiesz mi drugi ząb, jak tak dalej pójdzie.

- Och, dobrze już, dobrze, koniec z tym. Mam zresztą skurecz mięśnia pochwowo-odbytowego, bo za mało ćwiczę.

George bierze książkę, on zaś, co mu się często zdarza, zapada w krótki mocny sen, niemal jak dziecko. I jak marynarz - w sen, z którego byle co może go wyrwać. Zawsze, gdy jakiś dźwięk nagle go budzi, w ułamku sekundy Lozerech jest na pokładzie i mało, że otwiera oczy, to jeszcze prostuje się czujnie: «Co się dzieje?» George odnajduje wtedy czuły gest, którym uspokajała niegdyś Loïca, kiedy budził go zły sen: «Śpij, kochanie, wszystko w porządku, nic się nie dzieje.» A Gawain przywykł odpowiadać: «Dzieje się: ty jesteś!»

Właśnie nocą, w porze, gdy fortyfikacje obracają się w pył, Gawain zaczyna mówić o sobie. George słucha go, nagle wymownego - chłopca ze swego dzieciństwa, wielbiciela z młodości, teraz dzielnego, acz nieznanego kapitana w świecie, który nie miał swojego Le Roy Ladurie. Opowiada jej o ważnych chwilach swojego życia na morzu, takich, jakie mogą się stać wyłącznie udziałem marynarza; i o zabawnych także. Poprzedniego lata jego załoga w okresie urlopowym wracała z Afryki samolotem. Po raz pierwszy tak odstawiano marynarzy do kraju, a większość nigdy samolotem nie leciała.

- Jakbyś ich zobaczyła w Super-Constellation... błąd strach! Mieli większego pietra w tym pudle niż w najgorszy sztorm na trałowcu! Obłąd! Po wylądowaniu wyglądali jak zgryzieni i wypluci, co do jednego! Ale ty nie słuchasz... Zanudzam cię, co?

- Ależ słucham. Mówiłeś: zgryzieni i wypluci.

- Sam nie wiem, czemu o tym wszystkim gadam... O widzisz, przypomniało mi się, że nigdy ci nie mówiłem o tym, jak...

Opowiadając, delikatnie ją gładzi, ona również błądzi po ulubionych ścieżkach. Zgasili światło, żeby się czuć jak jedno. Trzymają we dwójkę wachtę na pokładzie statku, który ciemną nocą pruje swoim kursem na koniec świata.

Kiedy jest się na Florydzie, nie ma szans na uniknięcie Disneylandu; wszyscy spotkani Amerykanie zdecydowanie się tam wybierali, a ci, co już miasteczko widzieli, nie posiadali się z zachwytem. I Gawain choć raz miał wielką ochotę, żeby się gdzieś wybrać. Było to jedyne w Stanach miejsce, o którym coś słyszał! A ponieważ i tak mieli jechać przez Miami,

postanowili skrócić pobyt, by nie wracać do Europy nie ujrawszy rozległych mokradeł Evergladów i jednego czy dwóch muzeów, łącznie ze słynnym klasztorem bernardynów, zbudowanym w roku 1141 w Segovii i «przetransportowanym do Stanów Zjednoczonych w całości, kamień po kamieniu, przez Randolpha Hearsta», wyjaśnił agent biura podróży z szacunkiem, jak gdyby dzieła sztuki architektonicznej rozebranie i złożenie przydawało czegoś bezcennego.

Tenże sam *tour operator* stanowczo zachęcił ich, by spędzili przynajmniej trzydzieści sześć godzin w Zaczarowanym Świecie Walta Disneya i podejrzanie skwapliwie wszystkim się zajął. Ale dopiero na lotnisku w Miami, kiedy wsiedli do wielkiej jak paryska garsoniera limuzyny z klimatyzacją, przyciemnionymi szybami, pedantycznie przystosowanej do jazdy niczym pod kloszem, w izolacji od krajobrazu, wiatru, zapachów, prawdziwego koloru nieba, dopiero wtedy George poczuła, że ogarnia ją niepokój. Ponieważ Gawain nie znał ani słowa po angielsku, ona miała prowadzić tę hermetyczną kapsułę przez świat jak z koszmarne snu, bez żywego ducha na skraju szosy mogącego wskazać drogę, pomiędzy zygzakami gigantycznych wiszących mostów, olbrzymimi wymiennikami stworzonymi przez obłąkanego rysownika i ośmiopasmowymi autostradami, po których ze stałą prędkością sunęły tysiące takich samych limuzyn, jadących rzecz jasna donikąd i poruszających się w tempie ledwie pięćdziesięciu mil na godzinę, aby stwarzać złudzenie swego istnienia. Dlaczego bowiem miałyby jechać z jednego miasta do drugiego, skoro miasta owe są do siebie bliźniaczo podobne, mimo że nazywają się Tampa, Clearwater, Bonita Springs, Neapol czy Vanderbilt Beach?

Ktoś tu chyba zwariował, myślała George przytłoczona tą surrealistyczną atmosferą: albo mieszkańcy europejskich osiedli, idiotycznie skupionych wokół dzwonnicy, ze sklepikami z barem, z pijaczną na chodniku, zapachem gorącego chleba w okolicy piekarni i starym drogistą w szarym kaftanie; albo też tutejsi mutanci, mijający się bez ustanku na monstrualnej sieci dróg podobnej do torów kolei elektrycznej, wzdłuż której stoją setki wielkich jak Tadź Mahal w Agrze centrów handlowych z marmurowymi fontannami, przeszklonymi ścianami, kinami wyświetlającymi te same filmy, dalej zaś ciągną się posiadłości prywatne, tak czyste i puste, że wyglądają, jakby je skończono wczoraj, otoczone trawnikami bardziej sztucznymi niż wykładzina podłogowa, a jeszcze dalej, gdzie w trzydziestopiętrowych mauzoleach żyją tysiące emerytowanych małżeństw oczekujących w luksusie na śmierć, leżą śródmieścia otoczone jednorodziennymi willami, za jedyną ozdobę mającymi asfaltowy podjazd do potrójnego garażu od frontu, tak że do samochodu można wsiąść nie wychodząc nawet do ogrodu; ogród jest zresztą tylko namiastką - bez jednego

choćby kwiatka, leżaka czy przewróconego dzieciennego roweru, zwykły kawałek terenu zielonego, dwa razy dziennie zraszanego przez niewidoczną polewaczkę, nawet kiedy pada, bo automat nastawiono na cały sezon. Z rzadka pojawia się wzruszający splachetek ugoru wciśnięty między dwa drapacze chmur, przypominający kolcami i pniącym się perzem, że przyroda kiedyś istniała i że trawa rośnie nie przyszyżona.

Floryda nie zapomina jednak, iż jest w pierwszym rzędzie parkiem rozrywki. Co pięć, sześć kilometrów groźna tablica zachęca automobilistę, by zwolnił i przypadkiem nie przeoczył najinteligentniejszych na świecie fok, najdzikszych tygrysów, najbardziej indiańskich Indian. I w rzeczy samej wylania się niebawem hispanoamerykański portal otwarty bądź to na aztecką świątynię, bądź na warownię neogotycką, gdzie sprzedaje się bilety do Natury: Jungle Gardens, Wild Animal Park lub Alligator Farm. I wrogie sobie słowa uległe sąsiadują na fluorescencyjnym afiszu, mimo że sama myśl o skojarzeniu parku z dżunglą, krokodyla z farmą czy tygrysa z ogrodem powinna by wystarczyć, żeby każda istota obdarzona choć odrobiną rozumu uciekła stamtąd, gdzie pieprz rośnie.

Od tygrysa poczynając.

A przecież to dopiero sto pięćdziesiąt lat, jak Hiszpania odstąpiła Stanom Zjednoczonym ten ogromny, błotnisty półwysep! George próbuje wzbudzić niepokój również w Gawainie, ale chłopak Lozerechów jest urzeczony widokiem takiego bogactwa.

Zatrzymują się, by zwiedzić skromne domostwo niejakiego pana Harknessa Flaglera, współzałożyciela towarzystwa Standard Oil, co brzmi zupełnie tak samo jak «autora *Boskiej komedii*». «Flagler Museum jest utrzymywane w nie zmienionym stanie od roku 1906», podkreśla z szacunkiem przewodnik, jakby mówił o jakimś bardzo starym roczniku. Salon został wykrojony z książęcego pałacu w Mantui, sufit wywieziony z weneckiej dzielnicy żydowskiej, mury są prerafaelickie, a łazienki pompejańskie. Mozaiki są autentyczne, malowidła oryginalne, lecz ich dusza zginęła po drodze. Wszystko jest tknięte fałszem albo śmiesznością.

- Popatrz na przewodnika, wygląda całkiem jak... - George urywa. Jak opisać twarz i głos Dufilha komuś, kto nigdy tego przedstawienia nie widział? Gawain nigdy też nie widział Wenecji ani Mantui, ani Pompejów, to jakże miałoby go to zaszokować? A jeszcze starożytności, które w jego mniemaniu obowiązkowo powinny być zakurzone i wyblakłe, okazują się całkiem jak nowe, na złoceniach i rzeźbach nie brak jednego nawet zawijasa, jednego palca u stopy. Toteż zmienia pogląd: stare może być kapitalne!

Co też jej przyszło do głowy, żeby zwiedzać z Lozerechem! Zapomniała, że dobry jest tylko do miłości. Powinna była się trzymać najbliższej okolicy łóżka.

Ruszają w dalszą drogę. George wytropiła tylko dwa czy trzy muzea godne uwagi, lecz dzielą je dziesiątki mil nijakiej drogi. Z Sydneyem byłoby to zabawne. Z tym swoim destrukcyjnym poczuciem humoru wymazałby Florydę z mapy miejsc cywilizowanych. Gawain nic specjalnego nie zauważa, dla niego krajobraz to krajobraz, a pojęcia ogólne nie są jego najmocniejszą stroną. Próbuje więc zapelnąć ciszę i zabawić George.

- Czekaj, powiem ci dobry kawał: wiesz, dlaczego piwo, jak się je pije, wlewa się i wylewa tak szybko?

Nie, George nie wie.

- No bo nie musi po drodze zmieniać koloru - mówi ucieszony, czekając na jej reakcję.

Ona jednak nie przywołuje na usta nawet najbledszego uśmiechu, aby mu raz na zawsze dać do zrozumienia, że ten rodzaj żartów prawionych w kręgach piwoszy z Dolnej Bretanii jest wyzuty z najmniejszego choćby cienia oryginalności. Ale wie, że Gawain wysnuje z tego wniosek, iż to ona nie ma poczucia humoru. Czy będzie mogła kiedyś mu wytłumaczyć, że poczucie humoru nie jest... że poczucie humoru jest... Na nic by się to zdało. Najbardziej przewrażliwieni na punkcie poczucia humoru są ludzie całkiem go pozbawieni.

- O, tam na prawo budują nowy dom - zauważa trochę dalej Gawain, żeby zmienić temat rozmowy.

- Rzadko się zdarza, żeby budowano stare domy - rzuca George.

- Słusznie - odpowiada oziębło Gawain, po czym zapada w milczenie.

W odpowiednim momencie z odsieczą przychodzi im apetyt. Znęćeni powtarzającym się wezwaniem na *Real Fresh Seafood* (w domyśle ostrzegającym, że może istnieć *false fresh seafood*), zatrzymują się w Fishermans Lodge, o ile nie był to Pirate's Grotto albo Sailor's Cove. W każdym razie ostatni *real fresh fisherman* już dawno został stąd przepędzony, a groty dźwigają na grzbiecie dwudziestopiętrowe budynki. Przez całą zresztą podróż nie ujrzą ani jednej przystani rybackiej, tylko same «parkingi na jakty», jak mówi Gawain; i nie spotkają ani jednego sklepu rybnego, który by oferował dające się zidentyfikować ryby, z głowami i ogonami, a nie filety bezbarwnego mięsa w plastikowych woreczkach, ułożone rzędkiem w chłodzonych ladach.

Jedzą ostrygi wyjęte z muszli, mdłe i tłuste, starannie opłukane z morskiej wody, i mięczaki tak mięsiste, że człowiek gryząc je ma poczucie winy. Potem kąpią się w jakimś bliżej nieokreślonym miejscu ogromnej plaży, ciągnącej się wzdłuż wschodniego wybrzeża Florydy setkami kilometrów, a każdy kilometr usiany jest równomiernie starcami i staruszkami w składanych fotelach, odzianymi w tkaniny barwy karmelu. Później szybko ruszają dalej, bo George chce przed wieczorem zobaczyć «cloisters», rozebrane w Hiszpanii i

na powrót złożone na skrawku ziemi, który się ostał między nowoczesnymi budynkami. St Bernard's *real* Monastery ma się do klasztoru cystersów jak robot do człowieka. Ujrawszy zresztą w tym kraju słowo «real», należy się natychmiast mieć na baczności! Kamienie istotnie są hiszpańskie, ale posadzka meksykańska, a podłoga w kaplicy z balaty w kształcie sześciokątnych płyt.

- Czy tutaj byli mnisi? - pyta Gawain, kiedy chodzą po klasztorze, który jakimś cudem zdołał zachować resztki atmosfery.

- Nie, bo to klasztor sztuczny od a do z. Znalazł się tu jedynie z powodu kaprysu pewnego miliardera, Randolpha Hearsta. Widziałeś *Obywatela Kane*?

- Nie, nic mi to nie mówi.

- To taki film Orsona Wellesa, opowiada właśnie o życiu tego Hearsta, magnata prasowego, który... Opowiem ci wieczorem.

George z góry wzdycha na myśl o czekających ją wyjaśnieniach. Rzetelnie się do tego biorąc, należałoby zacząć od *Mayflower*, cofnąć się do konkwistadorów, wspomnieć o mordowaniu Indian, i tak snuć opowieść za opowieścią... W sumie kurs dokształcający albo co lepsze, dziesięć lat szkoły, obcowania z historią, literaturą, geografią. Jaką pustynią jest niekiedy życie takiego Lozerecha! Cóż on widzi dokoła, skoro tego, co ogląda, nie jest w stanie skojarzyć ze znakami niewidocznymi?

Wieczorem George ma pieski humor. Jest zła na siebie, że jest zła na niego. W dodatku z powodów finansowych musieli się pogodzić z kolacją u Howarda Johnsona, gdzie jakość kuchni jest poniżej wszelkiej krytyki.

Na noc mieli zarezerwowany pokój w motelu «z widokiem na morze». Nazywa się Sea-View, «Widok na Morze», aby do reszty zmylić klienta, lecz był na tyle zręcznie przedstawiony w prospekcie, żeby nie dało się zauważyć, iż sfotografowano go z profilu i tylko dwa okna w węższej ścianie są od strony oceanu. Ich okno wychodzi na parking. Ale się nie otwiera, bo jest zabite! A do ściany tego nieszczęsnego pokoju przylega maszyna do lodu, która dzień i noc robi i rozdrabnia kostki. Inna rzecz, że klimatyzator, bacznie strzegący przed dopływem miłego powietrza znad morza, prawie zagłusza buczenie kruszarki lodu, zwłaszcza kiedy go wspomaga warkot buldożera, jak co wieczór wyrównującego plażę.

Ich łóżka oddziela zamocowany na stałe nocny stolik. W tym kraju nie sypia się razem, a także nie uprawia się miłości po południu: nie ma bidetu! Trzeba albo iść pod prysznic przedtem i potem... co jest męczące! Albo skorzystać z umywalki zamontowanej w niszy bez kotary i zewsząd widocznej... co jest przykre! Czy Amerykanki wiedzą, że nie ma nic szpetniejszego jak kobieta, która się podmywa na stojąco, z rozstawionymi nogami

ugiętymi w kolanach? Co się tyczy WC, to umieszczone zostało przy wannie, jak zwyczaj każe w całym Nowym Świecie, ażeby osoba kąpiąca się nie została przypadkiem pozbawiona smrodku bijącego z muszli. George nie jest w stanie pojąć topografii sanitariatów w tym kraju.

- Nawet u Bretończyków jest lepiej niż tutaj - zauważa Gawain. - Ustępy są daleko w ogrodzie. Widać Amerykanie «robią» prosto w plastikowe opakowania, tak jak pakują filety rybne albo szklanki do zębów na umywalce, popatrz!

Ponieważ skatologia jest jednym z najlepszych sposobów powrotu do dzieciństwa, George przystaje na śmiech i puszczenie na tę noc w niepamięć braku kultury Gawaina. Zezwala mu nawet, by ją kochał.

I co więcej, żeby wybaczone jej zostały niechętnie myśli, w imię ekspiacji połknie kilka łyków jego soków.

No nie, zdecydowanie wychodzi to nie najlepiej. Trudno mówić o prawdziwie zakochanej kobiecie, skoro nie przypada jej do gustu smak spermy, mówi sobie zmartwiona, hamując się, by natychmiast nie biec przepłukać usta. - *Bo kobiety wcale nie smak spermy lubią, zapewnia ją duenia, tylko smak męskiej rozkoszy. Drobną różnicą!*

W dodatku wyschnięta sperma jest niemiła. George ją toleruje na udach, ale nie kiedy brodę ma jak nakrochmaloną. Być może kobiety brzydzą się połykać miliony malutkich dzieci, nawet jeśli są to tylko połówki, które będą potem dalej wierciły się w ich żołądkach. George nie czuła w sobie ducha ludożercy. Tej nocy nie czuła w sobie żadnego ducha.

Krótko trwa ta noc, bo już o szóstej rano są na pokładzie, ubrani na «Wycieczkę nr 4» - jadą na dwa dni do Disneyworldu w towarzystwie batalionu rodziców prosto z Wieży Babel, jeśli sądzić po liczbie reprezentowanych nacji, obwieszonych dziećmi, w większości już przebranymi za Miki lub Donalda. Usadowiona w wagonikach podrabianego prawdziwego miniaturowego pociągu parowego Grupa nr 4 («Kochani, pilnujcie znaczków, żeby były przypięte!» przykazuje przewodnik) dojeżdża do różowo-białego neogotyckiego zamku średniowiecznego, górującego wieżyczkami i machikułami nad Main Street, gdzie wszystko jest fałszywe z wyjątkiem sklepików, w których za prawdziwe dolary sprzedaje się prawdziwy szajs.

Trasa nr 4 daje prawo do wszystkich atrakcji Zaczarowanego Świata: podróż międzygwiazdowa w autentycznej rakiecie z efektem ciężenia i optycznym złudzeniem oddalającej się Ziemi - trzy i pół minuty; lądowanie na Marsie - dwie minuty; dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi - sześć minut piętnaście sekund pomiędzy morskimi

potworami, w których nawet krótkowidz z odległości dziesięciu metrów dostrzegłby sztuczność. A potem, jako główne danie kulturalno-patriotyczne, *Animatronic* prezydentów Stanów Zjednoczonych, krótka projekcja na gigantycznym ekranie i automaty naturalnej wielkości. Między innymi woskowy Lincoln wygłasza długą pouczającą przemowę, lecz aby nie szokować młodocianej publiczności, nie informuje się, że skończył z ręki mordercy. Krótko mówiąc, pięćdziesięciu amerykańskich prezydentów na tle flagi narodowej przypomina, że należy być grzecznym w pięknym kraju, który wynalazł wolność.

George od samego rana grymasi. Nic nie znajduje łaski w jej oczach, a zachwyt Gawaina tym bardziej. Lozerech chodzi z wytrzeszczonymi oczami i otwartą buzią jak inni chłopcy ze wszystkich stron świata, ogarnięci jednakim przejęciem sprawiającym, że zapominają się opychać prązynkami, a na ubranie kapią im lody w jadowitych kolorach. Wszedłszy raz w te tryby, niepodobna się z nich wydostać. Zwiedzający, zapakowani po sto osób, kierowani podług minutowego rozkładu dnia, wiedzeni zgodnie z niewzruszonym harmonogramem, są uprzejmie, acz stanowczo popychani ku jednokierunkowym korytarzom, skąd nie da się wycofać, a Big Brother, którego rady są rozkazami, prowadzi ich swym wszechobecnym głosem ku strefom wypoczynku skalkulowanym na podstawie możliwości przeciętnego piechura, do rest-roomów położonych w odległości znośnej dla przeciętnego pęcherza i do Candy-Stores ustawionych w miejscach zauważalnych nawet dla najbardziej nierozgarniętego dzieciaka, gdzie rodzic zostaje przyparty do muru żądaniami progenitury, wskazującej umorusanym palcem inne progenitury - już zaspokojone, usmarowane czekoladą i wycipane sokami ze sztucznych owoców - i domagającej się prawa wstępu do tego samego słodkiego raj.

Nie ma mowy o tym, by uniknąć Nawiedzonego Domu albo Jaskini Piratów Karaibskich, łudzących fałszywą prawdą: splądrowane miasta usiane pijanymi automatami, które ci grożą dmuchawkami i śpiewają obsceniczne piosenki dokładnie wyczyszczone z niecenzuralnych słów; groty pełne skarbów, posiniali rozbitkowie zwisający ze skał, szkielety w strzępkach mundurów, plastikowe aligatory kłapiące automatycznymi szczękami na turystów w wagonikach... Przytłaczający szczyt techniki w służbie prymitywnych emocji. Nic się nie liczy prócz chwili obecnej; człowiek przerzucany jest od sceny do sceny, a ich idealna precyzja w połączeniu z natłokiem szczegółów i brakiem przerw nie pozwala sformułować żadnej myśli.

Najbardziej irytujące jest to, że George bezsprzecznie okazuje się jedyną osobą, która uważa te atrakcje za beznadziejne! Amerykańscy rodziciele wydają się oczarowani i wyjadą stąd przekonani, że wszystko już wiedzą na temat dżungli, życia w Polinezji, rakiet

kosmicznych i że spojrzeli w oczy autentycznym potomkom Karaibów. I nie znajdzie się nikt, aby im przypomnieć, że ostatni Karaibowie, wyparci na ostatnią ze swoich wysp, woleli rzucić się do morza ze szczytu falezy niż znaleźć się pod rządami naszej wspaniałej cywilizacji zachodniej.

- Popatrz na nich... Sumienność... Satysfakcja, że są Amerykanami, że są najlepsi, najsprawiedliwsi. Są tacy dumni z tego Disneyworldu, jakby co najmniej zbudowali katedrę w Chartres!

- I co z tego? Przeszkadza ci, że są zadowoleni? Uznajesz ludzi za durniów, jak tylko interesuje ich co innego niż ciebie - zauważa Gawain, jakby wreszcie odkrywał dzielącą ich przepaść. - Ja nigdy czegoś takiego nie widział i strasznie mi się to podoba. Bawię się jak smarkacz, który nie widział nic poza zoo w Guidel i cyrkiem Martineza, kiedy przyjeżdżał w lecie na objazd plaż Bretanii!

George powstrzymuje się, by nie powiedzieć: Istotnie, ty niczego nie widziałeś. Co gorsza, nigdy na nic nie patrzyłeś! Zła jest na niego za cały ten Disneyland, za wszystkie te uszczęśliwione twarze, za jego dziecięce spojrzenie, a nawet za jutro, bo wybrana przez nich wycieczka przewiduje zanurzenie się w tym koszmarze na całe trzydzieści sześć godzin! Teraz czeka na nich jeden z tysiąca dwustu pokojów w Contemporary World Resort. Gawainowi się spodoba, bo w hotelu jest kolejka jednoszynowa, coś w rodzaju napowietrznego metra przejeżdżającego co osiem minut przez hol i Wielki Salon z ładunkiem zinfantylniałych rodzin, które będą się bawić z taką samą powagą, z jaką idzie się do pracy.

- Musisz mi wybaczyć, ale to ponad moje siły. Nie idę jutro do Zaczarowanego Świata szanownego pana Disneya. Na samą myśl, że znów zobaczę Miki, ciarki mnie przechodzą. Będziesz się lepiej bawił beze mnie w World Circus czy Marinelandzie. Założę się, że przyprawili kaszalotom uszy Miki!

Po raz pierwszy Gawain spostrzega, że George może być nieprzyjemna. Stropiony, próbuje przemówić jej do rozsądku, lepiej by jednak zrobił nie wchodząc na ten rejestr.

- Coś szybko zaczynasz gardzić ludźmi, którzy nie są tacy jak ty. Zapominasz - dodaje sentencjonalnie - że trzeba wszystkiego po trochu, żeby był świat.

- Co ty powiesz?

Gawain zaciska usta. Ma pewnie teraz twarz upartego proletariusza, którego armator upokorzył, on zaś nie śmie nic powiedzieć. Jasne, że jutro będzie dalej zwiedzał sam. Przecież zapłacił za bilet!

- Szkoda by było, gdyby przepadł - mówi George.

Gawain zastanawia się, czy chciała być przykra. Całkiem inaczej patrzą na pieniądze,

a on nigdy nie wie, kiedy George żartuje; to jeden z jego problemów.

Tego wieczoru czują się zakurzeni i ociążali ze zmęczenia. Disneyland wykańcza, przynajmniej co do tego są zgodni.

- Chcesz, żebym ci przygotował porządną ciepłą kąpiel? - uprzejmie proponuje Gawain, kiedy przychodzą do pokoju.

- Nie, wolę nieporządną zimną kąpiel - odpowiada George, nie mogąc się pohamować.

- Czemu jesteś czasem taka przykra?

- Bo mówisz chwilami rzeczy tak oczywiste... Denerwuje mnie to.

- W ogóle to ja cię denerwuję. Jeśli myślisz, że o tym nie wiem...

- Ależ nawzajem się denerwujemy, raz ty mnie, raz ja ciebie, to nieuniknione. I jeszcze ten wyczerpujący dzień. Jestem wykończona.

Nie mówi mu, że wymacała sobie na łonie twarde, bolesne zgrubienie. Obawia się wrzodu. - *Ależ nie, to gruczoł Bartholina się odzywa, powiada duenia przekonana, że zna się na medycynie. Co za dużo, to niezdrowo, bo zamula. Te twoje numery z nóżkami w górę są niczego sobie, ale trzeba będzie trochę popoľgować, moja mała! Widziałas zresztą swoje usta? Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.*

Istotnie, na górnej wardze wyrasta jej opryszczka, przez co profil George zaczyna przypominać królika. Jeszcze jeden numer Walta Disneya! Ostatniego dnia z Gawainem będzie podobna do kaczora Donalda! Ta myśl wprawia ją w jeszcze większą złość. Gawain zaś zamknął się w swojej skorupie, którą potrafi przywdziewać. Po raz pierwszy, odkąd się znają, zastanawiają się, co oni tu razem robią. Każde chciałoby się znajdować we własnym domu, ze swoją rodziną, w swoim klanie, z ludźmi mówiącymi tym samym językiem i ceniącymi te same rzeczy.

Kładąc się tego wieczoru, George wyciąga z walizki książkę, a Gawain otwiera swoją, jakiś tam pierwszy z brzegu kryminał kupiony na lotnisku, w którym przewraca kartki śliniąc palec albo dmuchając, by je rozdzielić. To również ją denerwuje. Gawain czyta z mozołem, poruszając głową z lewa na prawo i z powrotem przy każdej linijce, ze ściągniętą brwią, głęboką zmarszczką na czole, jak gdyby rozszyfrowywał zakodowany dokument. Po trzech stronach zaczyna ziewać, nie chce jednak zasnąć przed nią.

Kiedy tylko George zgasła światło, przysuwa się do niej ostrożnie, gotów do odwrotu na pierwszą oznakę zniecierpliwienia.

- Chciałbym cię tylko przytulić... Mogę?

George przywiera plecami do jego brzucha na znak przyzwolenia, a on ją otacza ramionami. Ogarnia ją błogi spokój, gdy znajduje się w pasie bezpieczeństwa jego rąk.

Gawain nie próbuje oszukiwać, ani drgnie. Z delikatności ukrył nawet swoje dowody rzeczowe między udami i tylko mocno trzyma ją w objęciach. Czy ten gbur nie wie, że ich ciała rozpalają się same, gdy tylko się ze sobą zetkną? George odwraca się naraz twarzą do niego i w jednej chwili są pobudzeni, nic nie wydaje im się teraz ważniejsze, jak razem iść drogą, na której nigdy nie spotkał ich zawód.

Ostatniego dnia pozostaje im obejrzyć Everglady. Przynajmniej nikt jeszcze nie zdołał wybetonować tysięcy hektarów mokradeł, ruchomych błot, gdzie tylko korzeniarom udaje się wczepić w podłoże.

Jeszcze więcej niż gdziekolwiek indziej w Ameryce trzeba tu przebyć kilometrów, by nabrać nadziei na zmianę krajobrazu. Wzdłuż nie kończącej się linii prostej, wiodącej z Zatoki Meksykańskiej do wybrzeża atlantyckiego poprzez melancholijny świat mokradeł ze skarłowaciałymi drzewami na obrzeżach, jedynymi tutaj istotami żywymi - oprócz ciężarówek i wielkich, cichych limuzyn jadących ze stałą prędkością - są ptaki: czaple białe i siwe, czubate żurawie, błotniaki, orły. No i nieodzowny pelikan, ni to dziki, ni to oswojony, ale widać tak znużony długimi wędrówkami, że w końcu rozgościł się na widoku na balustradach przystani, skąd ogląda się kanały. Ostatnia rozrywka, jaka mu została, to pozwalać się fotografować średnio sześćset razy na dzień.

W południe stają na posiłek w Everglades City. Nazwa ich oczarowała, ale to tylko zurbanizowany kawałek dzikiego terenu, którego nie można by nazwać osiedlem czy wsią, na samym skraju wielkiego półwyspu. W szwajcarskim szalecie (dlaczego nie, skoro nie ma stylu lokalnego?) jadłospis obiecuje *the best fresh sea-food in Florida*. *Best?* Akurat! *Fresh?* Akurat! *Sea?* Najbardziej zanieczyszczone na świecie, informuje przewodnik. Pozostaje *food*. Ale atmosfera jest wesoła i sympatyczna i Amerykanie z zapalem spożywają te swoje paskudne wiktuały podawane w imponujących przyzmaczonych keczupem na tekturowych talerzach. Krewetki, żaby, mięczaki i świeże ryby są idealnie podmienialne. Tyle że Francuzi to zrzędy, co wszem i wobec wiadomo.

- Człowiek ma wrażenie, jakby żuł plastikowe zwierzaki z Disneylandu, nie uważasz?

Gawain ostrożnie kiwa głową.

- A widziałaś torebkę z «kofimatem»?

- Z kofimatem? Aaa! z k-fii-mejtem, chciałeś powiedzieć.

- Dobrze wiesz, że akcent bretoński mam we wszystkich językach!

- Ale przynajmniej są na tyle szczerzy, żeby nie nazywać tego mlekiem. «Produkt zabielaający niemleczny», wspaniałe, co?

- A mleka w proszku całe góry, tak tu, jak i w Europie, jak sądzę - mówi Gawain.

- Widziałeś składniki? Przetłumaczę ci, posłuchaj tylko: olej kokosowy częściowo utwardzany, kazeinian sodowy, monoglicerydy i dwuglicerydy, fosforany, sól i oczywiście *artificial flavours* i *artificial colours*! Do licha, jakie oni mogą tam dodawać sztuczne barwniki, żeby otrzymać kolor biały?

- W każdym razie niezłe to - zauważa Gawain.

- Mmmm, szczególnie dwupotas, pyszny. Kłopot w tym, że smak amerykańskiej kawy pozostawia nie zmieniony.

- A widziałeś to masło? Całkiem jak krem do golenia. Przynajmniej ser szwajcarski jest austriacki, a wino włoskie.

Malutka Europa wydaje im się naraz pękająca w szwach od mlecznych krów, serów, najróżniejszych ryb, kościołów piętnasto- albo siedemnastowiecznych zbudowanych naprawdę w XV lub XVII wieku i nadal istniejących tam, gdzie je postawiono, - ich mała Europa przepelniona dziełami sztuki, zamkami, rzekami niepodobnymi jedna do drugiej, przepisami kuchni regionalnej, odmiennymi niedużymi narodami, domami bretońskimi, baskijskimi, alzackimi, tyrolskimi... Cieszą się, że są Europejczykami, a jeszcze bardziej, że są Francuzami, a jeszcze bardziej, że są Bretończykami. Znowu im wraca ochota na to, żeby być razem.

Jeszcze przez wiele godzin będą mijali mokradła, korzeniary, czaple białe i siwe, czubate żurawie, błotniaki i pelikany, a także ze dwie, trzy wioski Seminoli, zrekonstruowane przy autostradzie, ażeby turyści bez fatygi mogli je sobie obejrzyć i „doksztalić się na temat warunków życia Indian w autentycznym otoczeniu”, sprowadzającym się do trzech szałasów, przy czym w jednym znajduje się sklepik z pamiątkami, gdzie sprzedaje się skórzane pasy haftowane wełną i krzywo pozszywane mokasyny. Gdyby Indianie nauczyli się szyć, przestałoby to być prymitywnym rękodziełem.

Za bambusowym ogrodzeniem widać nowoczesną przyczepę kempingową z anteną telewizyjną, w której dzicy spędzają noce, kiedy przestają udawać, że mieszkają w swojej seminolskiej wiosce.

Na ostatni wieczór Gawain postanowił wydać nieco grosza zarobionego przez Lozerecha: zarezerwował dwa miejsca w luksusowej restauracji polecanej ze względu na kuchnię. Ale przekleństwo Walta Disneya ciągle ich ściga: tym razem wszechobecne jest nie dzieciństwo, lecz starość. Gawain i George są jedynymi osobami nie poruszającymi się o lasce czy kulach; bez drzenia rąk bądź podbródka, pokazującymi niezbyt równe zęby, co gwarantuje ich autentyczność w odróżnieniu od nieskazitelnych klawiatur pozostałych gości. George wyobraża sobie wszystkie te pokurczone szpunciki w spodniach za pięćset dolarów,

te kuciapki jałowe i porzucone; zbiera ją litość nad sękatymi rękami, stwardniałymi łokciami, strupami pokrywającymi łysę czaszki mężczyzn między paroma bezbarwnymi kosmykami, których nie godzi się już nazywać włosami, nad nieregularnymi plamami znaczącymi policzki wszystkich starych blondynek. Wyzywająca siła Gawaina wydaje się jej naraz kołem ratunkowym, którego może się ucześcić pomiędzy tymi zamierającymi istotami, a to, co się kryje w jego spodniach za 399,50 franków - jedynym antidotum na śmierć.

Na scenie skaczą «oryginalni tancerze», których zuchwale czarna skóra jest jakby zabezpieczona przed zębem czasu, a ich wdzięk i zwinność na pewno zadają ból ludziom poruszającym się z każdym dniem z coraz większym trudem.

- Mimo wszystko - odzywa się Gawain - jednej rzeczy nie można odmówić Murzynom (och, nie! litości! On tego nie powie!): poczucia rytmu. Mają to we krwi.

Duenia szydzi. O właśnie, dawno się nie wtrącała. W Disneylandzie ani słówkiem nie pisnęła. Wydarzenia pracowały dla niej.

- *No widzisz? Dwanaście dni to już za dużo, zwraca uwagę. Szybko się wali cudna harmonia, jeśli bazuje na dupie. - Przestań nazywać to dupą. Jesteś starą zmurszałą cnotką, która nigdy nie zaznała miłosnej ekstazy, i w ogóle nie masz pojęcia, czym jest poezja. - Moja ty biedulko! rzecze duenia, wystarczy cię polechtać gdzie trzeba, a zaraz kokoszka ci się podnieca i śpiewasz Magnificat. A to tylko nieznaczne pobudzenie twoich śluzówek, złotko, zwykła ekscytacja komórek rządzących rozkoszą.*

Na razie ekscytują się gruczoły smakowe, ale degustacja pysznych ostryg Rockefeller nie wystarcza, aby z kolei Gawaina nie ścisnął za gardło niepokój związany z upływem czasu.

- I pomyśleć, że za parę lat ja też będę na rencie! Jak tylko dostanę siedemnastą albo osiemnastą grupę, zaraz rzucam robotę, bo mam dość lat pracy. I powinno być za co żyć, choć nigdy nie tak jak ci tutaj.

- Ale jak ty wytrzymasz siedzenie w domu przez okrągły rok? Bez tej twojej łajby... Nie bardzo to sobie wyobrażam.

- To fakt, że w domu tom nigdy nie siedział. No ale wezmę szalupę. Przynajmniej tyle co do zjedzenia złowię. Bo w życiu bym nie mógł plewić tylko ogródka.

Dla większości marynarzy ląd oznacza nudę i wszystko, co z nią związane. Na morzu po kolorze wody potrafią poznać, gdzie są, lecz w ogrodzie wzbraniają się przed odróżnieniem piwonii od anemonu.

- Ale przedtem mam jeszcze jeden plan - podejmuje, krojąc na talerzu cały stek na kawałki. - Muszę ci opowiedzieć. Istne wariactwo.

- Jakiego rodzaju? Skończysz z łowieniem?

- Coś ty, chora? I tak bym nie mógł przez rentę. Brakłoby mi lat. No i osiąść na lądzie, zanim będę musiał... nie, chyba by mnie pokręciło. Nie, to coś innego, mówił mi o tym mój krewniak z Douarnenez, wiesz, Marcel Le Louarn. Sporo forsy by się zarobiło. A przyda się, bo przecież Joel nigdy nie będzie mógł pracować.

Waha się, czy mówić dalej. Siedzi ze spuszczonego wzrokiem i opowiada nie patrząc na George, nerwowo kruszy chleb na obrus.

- Kłopot w tym, że dla nas, dla ciebie i dla mnie, może to być niełatwe. Byłbym wtedy gdzieś w Południowej Afryce.

- Co chcesz powiedzieć przez «niełatwe»?

- No bo wiesz... niewykluczone, że długo nie będziemy mogli się zobaczyć.

- I zrobiłbyś to tak bez wahania?

- No czego ty chcesz? Przecież to mój fach, nie?

- Poświęciłbyś mnie, żeby złowić jeszcze trochę więcej ryby w kraju jeszcze trochę odleglejszym? To właśnie próbujesz mi powiedzieć?

Duenia, która poszła już spać, jak burza ląduje na stoliku restauracyjnym. Czuje, że będzie rozróżba. - *Słyszałaś, coś powiedziała? Stało się, mówisz teraz jak mamuśka rodem z Paimpol!*

- To mój fach - powtarza Gawain - a człowiek nie ma wyboru, jak już ten fach wybrał. Trza wtedy robić swoje, jak należy. Koniec, kropka.

- Mógłbyś chyba dalej pracować tam gdzie teraz, nie? W tej chwili nieźle zarabiasz.

- Może, ale z tego, co słyszałem, tamten połów o wiele więcej przynosi. Ludzie wolą teraz kurczaki z fermy, już nie jedzą ryb. Nawet tuńczykowce nie mają zbytu, a ceny tuńczyka lecą na łeb. Trza będzie znaleźć co innego.

- A na kiedy przewidujesz ten nieprawdopodobny plan? Chciałabym wiedzieć. Liczysz się troszkę w moim życiu, wyobraź sobie.

- Na Boga, co ty myślisz, że mnie jest łatwo? Ja tam nie mam za sobą bogatych krewniaków. Mam kalekiego chłopaka i cherlającą babę. Nie jestem urzędnikiem. Ja żem jest za nich odpowiedzialny, muszę najsampierw o nich pomyśleć.

Im mocniej jest zirytowany, tym więcej popełnia błędów gramatycznych. Na Boga, co ona tu robi z tym facetem, który tylko myśli, żeby dostać siedemnastą grupę?

- Słuchaj, czy ty myślisz, że dla mnie też to wszystko było zawsze takie łatwe? Może by ci ulżyło, gdybyśmy z tym skończyli? Gdybyśmy więcej się nie zobaczyli?

- Co do ulżenia, to na pewno by mi ulżyło.

Brutalna szczerłość Gawaina zawsze ją zaskakuje.

- A więc sytuacja jest jasna, jak mi się zdaje: niezbyt ci już zależy na tym, żeby się ze mną widywać, za bardzo komplikuje ci to życie i...

- Czegoś takiego nigdy nie mówił - przerywa jej Gawain. - Powiedziałem, że w pewnym sensie przyniosłoby mi to ulgę, a to całkiem co innego. A poza tym to nie tak od razu. Sam nie wiem, czemu ci o tym powiedział.

Kelner przynosi rachunek, który Gawain długo studiuje, nim wyciągnie dolary i odliczy je śliniąc palec. Z ponurą twarzą wkłada potem marynarkę. George nie ściągała szala: w tych klimatyzowanych restauracjach można złapać paskudne przeziębienie.

Przy wyjściu mijają zgrzybiałego stulatka w towarzystwie łysej małżonki. George instynktownie przytula się do Gawaina i bez słowa wracają do motelu. Rozstaną się jutro, a już teraz czują się osamotnieni.

- A co do tego planu, to jeszcze nic powiedziane, to tylko pomysł - szepcze trochę później Gawain do ucha George, nim zapadną w sen spleceni jak dwie ośmiornice.

Nazajutrz budzik dzwoni o piątej. To nie jest pora na rozczulanie się. Nawet nie wyjeżdżają razem. George wraca do Montrealu z przesiadką w Bostonie, gdzie spędzi jeden dzień z Ellen, która leci z kolei na Jamajkę z mięśniami pochwowo-odbytowym w gotowości. Gawain zaś z samego rana wylatuje do Paryża. Ze smutnym uśmiechem włoży te swoje plecione sandały na krepie, wciągnie zakardowy blezer na zamek błyskawiczny, zrobiony na drutach przez Marie-Josée, a na wierzchu torby schowa granatowy kaszkiet, «żeby mieć, jak będzie w Paryżu». Znowu się ubierze jak rybak i już nie będzie należał do niej. Czy ją to zresztą martwi? Opryszczka przemieniła się w ciągu nocy w bułę jak przy dżumie i zupełnie jej deformuje pyszczek. Czuje się oszpecona i przez to nie chce już kochać Gawaina: nagle spieszno jej zobaczyć, że odjeżdża.

Gawain całuje George w kącik dolnej wargi, a ona po raz ostatni tuli się do jego torsu, który ledwie może objąć ramionami. Dlaczego chce jej się płakać zawsze, kiedy rozstaje się z tym mężczyzną? Nie odwracając się już, Gawain wsiada do autokaru Miami International Airport. Jest przeciwny taksówkom i nigdy się nie zgadza, żeby go George odprowadzała; od tamtego pożegnania na dworcu Montparnasse perony cuchną: nigdy więcej.

George wraca do pokoju dokończyć pakowanie i zbiera się, by jeszcze raz pójść popływać, kiedy dzwoni telefon.

- George... to ja.

On, który nie cierpi telefonów, znalazł sposób, żeby uruchomić aparat zaopatrzonej w instrukcję obsługi po angielsku, zdobył centy, przypomniał sobie numer hotelu... Wzruszenie ogarnia George.

- Widziałaś kiedy faceta, jak beczy przy telefonie?

- ...

- No to popatrz teraz w kabel. I zapomnij wszystko, com ci wczoraj powiedział. I jeszcze chciałem ci coś powiedzieć: zawsze jak się rozjeżdżamy, to jakby coś we mnie umierało. Mówię ci to teraz, bo napisać to bym nie umiał. Nawet kiedy nie mogę cię ścierpieć, kocham cię. Ty to rozumiesz?

George czuje, że ma ściśnięte gardło.

- George? Słyszysz mnie? Jesteś tam?

- Tak, ale nie mogę...

- To nic, ja ci chciałem choć raz coś powiedzieć. I jeszcze to, że wczoraj miło mi było, jak się na mnie boczyłaś, kiedy mówiłem o tym wyjeździe do RPA. Śmieszne, ale to trochę tak, jakbyś była moją żoną!

Jak zwykle Gawain staje się inteligentny, gdy jest nieszczęśliwy. Kiedy jest spokojny, kiedy dobrze się bawi, kiedy chce żartować, George widzi w nim głupca. Ach, miłość to coś ślicznego!

- Dobra, to tyle, muszę się zbierać. Nie śmiej się, tym razem to prawda, nie mam już amerykańskich drobniaków!

Gawain śmieje się w sposób, jaki ona szczególnie lubi. Mimo wszystko mają swoje hasła wywoławcze, cały zapas aluzji, żartów, przymówek, wspomnień z młodości, bez których miłość byłaby tylko erotyczną przygodą.

- Napisz.

Powiedzieli to jednocześnie.

Vézelay

Przygotowywałam się do ślubu z Gawainem. Przyjęcie miało się odbyć u moich rodziców w Paryżu w salonie, którego absolutnie nie poznawałam, pośród dzieł sztuki i przedmiotów z kolekcji ojca. Dom przypominał barokowy kościół włoski przeladowany ozdobami! Ktoś pokazywał Gawainowi kolejno najciekawsze dzieła, mówiąc: «Zdaje pan sobie sprawę, ile może kosztować taki wazon albo ta rzeźba czy ten obraz? Blisko dwadzieścia tysięcy dolarów! - Ta skorupa?» z niedowierzaniem pytał Gawain. Nie znał kursu dolara, lecz był oburzony i coraz bardziej przekonany, że sztuka to oszustwo na wielką skalę wykombinowane przez snobów.

Miał na sobie zwyczajny garnitur, a na głowie swój marynarski kaszkiet i nie mogłam go nigdzie dopaść, żeby mu kazać go zdjąć. Goście podśmiewali się pod nosem.

Powtarzałam sobie: «Jeżeli się rozwiedziemy, on dostanie połowę tych „skorup”, których tak nie cierpi! Jak ja mogłam się zdecydować, żeby za niego wyjść?» W dodatku pykał rzeźbioną fajeczkę, nadającą mu śmieszny wygląd wilka morskiego, a ja myślałam: «Coś takiego! nie wiedziałam, że pali fajkę, nic mi nie powiedział PRZEDTEM!»

A potem nagle usiadł za mną (przycupnęłam na pufie w głębi salonu) i ujawszy moją głowę położył ją sobie na piersi tak tkliwie, że pomyślałam: «Teraz sobie przypominam: dlatego właśnie wychodzę za niego. Właśnie dlatego.»

Nadal jednak uważałam za śmieszny pomysł z zamążpójściem. Co za pruderia w naszym wieku, zamiast po prostu żyć razem!

Działo się mnóstwo innych rzeczy w czasie tego ślubu, spotykałam się z przyjaciółmi, a wszyscy niepomnie byli zdumieni moją «zdradą». Mogłabym podać mnóstwo pasjonujących szczegółów, lecz kiedy się nad nimi zatrzymuję, przestają mnie interesować, jak bywa na ogół w snach, cokolwiek myślą o tym śniący. Panika mnie ogarnia, kiedy telefonuje jakaś przyjaciółka i oznajmia, że ostatniej nocy miała niesamowity sen i że

koniecznie musi mi go opowiedzieć, że zdziwię się ogromnie. Coś takiego nieuchronnie zapowiada tasiemcową historię pełną nic nie znaczących epizodów i nudnych opisów, które śniąca uważa za nadzwyczaj ważne i absolutnie nieodzowne, abym wszystko pojęła. «Było to u mnie, a jednocześnie nic nie poznawałam... wiesz, o co mi chodzi?» albo: «Leciałam nad miastem, jakby to była rzecz najzwyczajniejsza w świecie, rozumiesz? I nie wyobrażasz sobie, jakie czułam szczęście...»

Ależ tak, rozumiem; ależ tak, doskonale sobie wyobrażam. Każdy latał w powietrzu, każdy po wyjściu z domu nie poznawał miasta. Wyjąwszy doprawdy rzadkie wypadki, wszystko to jest obrzydliwie banalne, a moje sny należą do najbardziej obrzydliwych, jakie znam: przyziemne, pospolite, pełne szczegółów przeżytych poprzedniego dnia i tak przejrzyste, że mogą zniechęcić najtępszego psychoanalityka. Trudno mi pojąć, że pod moją względnie interesującą i godną szacunku świadomością chlupie tak żałosna podświadomość.

Jednakże nawet najbardziej oklepane sny pozostawiają na osobach, które nawiedziły, jakiś ślad, zapaszek wymagający kilku dni, by się rozwiać. Ktoś wyszedł poza czas i przestrzeń, żeby dać ci znak, Gawain uścisnął mnie w ramionach tamtej nocy i byłam pewna, że on także widział mnie we śnie.

Zasmucona wspomnieniem, napisałam do niego list czulszy niż zazwyczaj - i natychmiast pożałowałam, że wrzuciłam go do skrzynki. Bo wiedziałam, że bardziej niż dla Gawaina list przeznaczony był dla nadchodzącego wieku, dla pasji życia i dla wściekłości, że kiedyś przestanę żyć, dla nie wykorzystanych okazji, dla pragnienia, by się kochać, i jeszcze być może dla samej przyjemności napisania «kocham cię». Nie mówiłam już wtedy Sydowi «kocham cię». Ale wiem, ile to znaczy, wiem również, że Gawain gotów jest wziąć to za dobrą monetę, bo nie dość ma się na baczności przed paniami, które zawodowo zajmują się opisywaniem różnych historii, i przed paniami sfrustrowanymi szaloną miłością, a w dodatku nawiedzanymi przez sny.

Niewiele i nie tak, jak bym chciała, widywałam mojego kormorana przez te lata. Kiedy wraca samolotem z Dakaru, nie mogę nawet powitać go na Orly, bo jest z całą załogą i uważa za niemożliwe pozostanie w Paryżu choćby na dwa dni, ponieważ inni jeszcze tego samego wieczoru jadą dalej do Lorient, a mamuśki rodem z Paimpol czekają na nich na lotnisku Lann-Bihoué. I twierdzi, że nie istnieje kłamstwo trafiające do przekonania Marie-Josée! Czuję do niego o to lekki żal. Mamy dla siebie czasu w sam raz, żeby razem zjeść obiad, niekiedy udaje nam się urwać popołudnie. Jednakże w restauracji spotykam nie Gawaina, lecz Lozerecha w kaszkiecie szypra, wiecznie takiej samej kurtce, kraciastej z przodu, jednobarwnej z tyłu (tylko turyści noszą kabiki, czyli bretońskie kangurki), i czuję

skrepowanie za każdym razem, kiedy nasze ciała nie mogą się dotknąć.

Opowiadam mu o swoich wyjazdach, nie mogąc przywyknąć do tego, że myli Genewę z Genuą, Etnę z Fudzijamą. On wyciąga z portfela swoje zdjęcia z Afryki, z których jest bardzo dumny: «Patrz, to mój samochód, ten w połowie zasłonięty przez ciężarówkę». Albo pokazuje rufy tuńczykowców między portowymi żurawiami przy nabrzeżu. Albo wejście do dansingu gdzieś w Senegalu z trzema niewyraźnymi sylwetkami: «Ten tutaj, to Job, o którym ci mówiłem. Tamtych dwóch nie znasz». I jeszcze Pałac Sprawiedliwości w Dakarze, sfotografowany pewnego deszczowego dnia.

Rozmawiamy trochę o polityce, dopóki nie rzuci jednego ze swoich kategorycznych stwierdzeń: «Same wyszczekane cwaniaki, wszyscy co do jednego!» albo: «Dla mnie to cholerna banda zakutych pa!», jeżeli nie stwierdza wręcz, że to «kupa wrednych gnojków» - wszystko zależy od tego, o co chodzi.

Nasza zażyłość wątłeje, gdy jedyną jej pożywką jest rozmowa. Pozostaje nam salonowy repertuar: Yvonne, która owdowiała i ma sporo kłopotu z dziećmiakami - średni narozrabiał i teraz siedzi. Jego dzieci mają się dobrze, przynajmniej dwaj najstarsi, ale nabierali tyle dyplomów, że już sam nie wie, jak z nimi gadać. Nie bardzo mam odwagę wyznać mu, że Loïc ze wzdargą odmówił podjęcia studiów wyższych i działa w lewicowej komórce ekologów głoszącej nie tylko bierny opór, ale też zniesienie wszelkiej pracy produktywnej, by nie zanieczyszczać środowiska naturalnego i nie przyczyniać się do wzbogacania tego okropnego rabusia, jakim jest społeczeństwo konsumpcyjne. Trudno byłoby zmusić Gawaina, by się zgodził, że cywilizację luksusowych dóbr materialnych, do której on dopiero zaczyna mieć dostęp, należy potępić.

- No a ten nasz dawny sąsiad, Le Floch, ojciec tego Le Flocha, co ma sklep rybacki na nabrzeżu, no wiesz... umarł w tamtym miesiącu... Wszystkich nas kiedyś czeka to samo, *Karedig...*

- Nie mógłbyś choć raz powiedzieć coś innego?...

- To fakt, George. A dla tego biedaka właściwie... nie cierpiał... Tym, co zostają, jest...
Lepiej mu tam, gdzie jest teraz...

Nie przepuści żadnej okazji.

Zastanawiam się czasem, dlaczego nadal się widzimy w tak smutnych okolicznościach. Za każdym swoim powrotem Gawain telefonuje, żeby mnie uprzedzić o dniu przejazdu, a ja odwołuję każde spotkanie, żeby mieć dla niego czas, jak gdybyśmy poza tymi jałowymi schadzками podtrzymywali kontakt na nie wiadomo jaką przyszłość, w imię czegoś tajemnego, co nosimy w głębi serc.

W pewnych okresach życia człowiek myśli, że kochać się jest rzeczą najważniejszą. W innych wierzy się raczej w intelekt, pracę, karierę. Błoga obojętność w stosunkach z Sydneyem po ośmiu czy dziewięciu latach wspólnego życia i zapomnienie o boskim wzburzeniu przy Gawainie - a to z braku ćwiczeń w ostatnim czasie - zachęcały w tym okresie do postawienia na pierwszym miejscu pracy zawodowej, zwłaszcza że pasjonowała mnie nowe zajęcie. Przyjęłam je po części dlatego, że szykowałam się do wejścia w niebezpieczną Cieśninę Magellana, jaką jest czterdziestka, i że sygnał alarmowy «teraz albo nigdy» zaczynał dzwonić w moich uszach. Mając dwadzieścia lat, chciałoby się wszystkiego i racjonalnie na wszystko można mieć nadzieję. Mając trzydzieści lat, wierzy się jeszcze, że wszystko się zdobędzie. Dla czterdziestolatka jest już za późno. Nie znaczy to, że samemu się zestarzało; zestarzała się nadzieja noszona w sobie. A zatem nigdy już nie zostanę lekarzem, co było moim młodzieńczym marzeniem; ani archeologiem w Egipcie, o czym śniłam jako mała dziewczynka; ani biologiem, ani odkrywcą naukowym, ani etnologiem. Wszystkie te marzenia grzały mnie latami i wzbogaciły obraz mojego wnętrza. Starzeć się, znaczy powoli pustynnieć. Przynajmniej praca dziennikarki, którą mi zaproponowano w pewnym piśmie historyczno-etnologicznym, dawała mi okazję do pobuszowania po ulubionych dziedzinach.

Planowałam też napisanie «Historii medycyny i kobiet», co pozwoliłoby mi zadowolić niegdysiejsze potrójne powołanie. Koniec końców «piękny wiek» to ten, kiedy wiadomo, na których marzeniach człowiekowi zależy najbardziej; ten, kiedy coś z nich jeszcze można urzeczywistnić.

Ponieważ często wyjeżdżałam w sprawach mojego pisma, *Hier et Aujourd'hui*, poprosiłam o dwuletni urlop bezpłatny na uniwersytecie.

Gawain również zmienił jeśli nie życie, to przynajmniej upodobania. Armator z Concarneau postanowił ostatecznie zakotwiczyć na Seszelach kilka supertuńczykowców, mających dokonywać połowów na skalę przemysłową, a Gawain został mianowany dowódcą jednego z owych potężnych statków przetwórci, ochrzczonego imieniem *Raguenès*. Pierwszy półroczny sezon był bardzo owocny, a jednak w listach Gawaina, pomimo jego wstydlivosti, czytałam między wierszami, że nie jest szczęśliwy. Dakar był trochę jakby filią Francji, wszędzie spotykało się Bretończyków, mówiono tam jego językiem. W Mahé, gdzie językiem urzędowym jest angielski, czuł się odsunięty na sam skraj świata. Nie skrywał, że spieszo mu wrócić przed «babim latem», kiedy to monsun burzy ocean.

We Francji trwała wiosna aż raniąca swoim pięknem, jedna z tych, kiedy nawet najbardziej podsuszona miłość zaczyna wypuszczać pączki, kiedy chciałoby się być ptakiem i całemu oddać się rozkoszy przeżycia choćby ulotnego szczęścia. W takich chwilach

wystarczy czasem podmuch lekkiego zefirka, by człowiek znowu miał dwadzieścia lat.

Odprowadzałam Gawaina na Orly wieczorem po jednym z owych obiadów, które nigdy nie dawały poczucia sytości. Skulony w ośmioro w mojej coccinelle, wypełniał całą wolną przestrzeń, a jego rozbrajająca siła, szerokie kolana oparte o tablicę rozdzielczą, kędzierzawa głowa dotykająca sufitu i dłonie, które w mieście zawsze wydawały się jeszcze ogromniejsze, wywoływały we mnie coś więcej niż tylko wspomnienia. W małej zamkniętej przestrzeni nasze ukryte myśli obracały się wokół jednego, a powietrze gęstniało od hamowanego pożądania. Chciałam coś powiedzieć, lecz nie znajdowałam słów, i wtedy ręka Gawaina spoczęła na moim udzie. Czułam jej drżenie.

- Tak - wyszeptałam. I owo «tak» wiele wyrażało: tak, dalej cię kocham, ależ tak, jest za późno, a nie będziemy się w to bawili przez całe życie, stałoby się to śmieszne, nie?

Znajomym gestem przyłożył swoją skroń do mojej i już bez słowa dojechaliśmy do podziemnych parkingów. Życie naraz wydało nam się okrutne, a cała ta wiosna czymś niepotrzebnym.

Kiedy parkowałam samochód w głębi trzeciego piętra podziemnego świata, niemal brutalnie chwycił mnie za rękę, uzmysłowiwszy sobie naraz, że nie może się ze mną rozstać jak innymi razy.

- Posłuchaj... nie chcę ci tego mówić, ale chwilami już nie mogę wytrzymać, że cię nigdy nie widzę... to znaczy widzę cię, ale... no wiesz, o co mi chodzi. No więc takem sobie pomyślał... No więc nie bardzo wiem, kiedy jedziemy z powrotem do Mahé, ale chyba uda mi się wyskrobać z pięć, sześć dni przed samym odjazdem, Statek ma być odmalowany, a zawsze się z tym spóźniają. No i moglibyśmy wtedy pobyć razem, jeśli chcesz... jeśli masz czas. I jeśli masz jeszcze ochotę, rzecz jasna.

Czy mam ochotę? Wodziłam po nim wzrokiem, by przypomnieć sobie to wszystko, co kochałam: jego piracką twarz odmłodzoną teraz nadzieją, którą w sobie rozpałił, wywinęte rzęsy o końcach wyblakłych od słońca i usta, na których niegdyś tak często odkrywałam smak wieczności. Ogarniało mnie jednak jakieś znużenie na myśl o nowym ataku gorączki, którą trzeba będzie opanować jak poprzednie i zdusić pod popiołami, by móc wrócić do zwyczajnego życia. Czy nie wyrosliśmy już z takich zabaw?

- Nie mów od razu nie - wtrącił Gawain śledzący moje myśli. - Wiem z góry, co mogłabyś powiedzieć. I w stu procentach zgodziłbym się z każdym, kto by mi poradził, żebym dał sobie z tym spokój. Ale to jest silniejsze ode mnie - i swoją twardą delikatną ręką jął obwodzić kontur mojej twarzy, a jego oczy eskimoskiego psa pociemniały z tkliwości. - Kiedy cię widzę, nie mogę się pogodzić z tym, że cię straciłem. To grzech, ale uważam cię za

swoją żonę, tę, której pragnąłem od początku.

Fala emocji rozlała się z prędkością światła - a raczej wspomnienia - po moim ciele, do tej pory przezornie trzymanym na wodzy. W głąb trzeciego piętra podziemnego parkingu na Orly nagle wtargnęła wiosna. Nigdy nie potrafiłam oprzeć się wiosnie.

- Więc mielibyśmy od nowa zacząć ten idiotyzm? Znow byśmy ryzykowali, że będziemy nieszczęśliwi?

- Nieszczęśliwi!... mam to gdzieś! To, że nigdy nie czuję się szczęśliwy, jest... jest...

- Słuchaj, Lozerech, nie ma teraz czasu na gadanie o miłości. Widziałeś, która godzina? Daj mi lepiej zajrzeć do kalendarza.

Miałam akurat w niedalekiej przyszłości zrobić reportaż na temat galijskiego osiedla, które zamierzano zrekonstruować niedaleko dawnej Alezji. Może by tak zaryzykować kulturalną wyprawę z Gawainem i zabrać go do Vézelay na przykład? Zapłonęłam nagle na myśl o miłości.

- A gdybym cię tym razem zaprosiła do Francji? Ponieważ i tak zapewniają mi tam mieszkanie, to jedno łóżko czy dwa nie robi różnicy, a będziemy sobie mogli zafundować krótką wyprawę w celach kulinarnych, historycznych i w ogóle...

- Zgoda, zwłaszcza na to «w ogóle»! Ale piszę się też na historię, skoro trzeba, tym gorzej dla ciebie!

Uściskał mnie z całym uniesieniem, na jakie mógł sobie pozwolić w ciasnym wnętrzu samochodu, zabrał z tylnego siedzenia worek i odszedł tym swoim rozkołysanym krokiem, który już dawno temu wprawiał moje ciało w melancholię. Wyjeżdżając na powierzchnię, z rozkoszą wciągnęłam powietrze hangarów i wymienników i zastanowiłam się, jak mi się dotąd udawało obejść bez tej energii życiowej.

Tym razem więc w samym sercu Francji spotkałam mojego kormorana kilka tygodni później, ale kormorana dziwnie przybitego i wlokącego po ziemi skrzydła jak ptak obłany olejem. Zadowolenie, że będzie mnie przez parę dni miał dla siebie, nie wystarczało dla ukrycia niepokoju i obawy z powodu bliskiego odjazdu na Seszele.

- Cztery dni to za mało, to właściwie gorsze niż nic - powiedział wsiadając do samochodu, aby wyjaśnić swoje wyjątkowe zdenerwowanie. - Ja tam nie umiem żyć tak szybko!

Po raz pierwszy od dnia, gdy stojąc na wozie wśród snopów dojrzałego zboża pojawił się przede mną nagim torsem i zrujnował mi cały mój system - bo podniecenie trwające dwadzieścia lat bliskie jest spustoszeniu - nie był triumfującym centaurem, nieczułym na trud

i upływ czasu. Jego oczy wydawały się mniejsze i nie tak intensywnie niebieskie, na skroniach zaś zauważyłam kilka srebrnych nitki wijących się wśród ciemnych kędziorów. Twarz zaczynała mu wiotczeć w miejscach najbardziej na to narażonych, a wokół oczu, które często mrużył, osadzonych między dwiema głębokimi fałdami na czole, wyraźniejsze stały się zmarszczki. Po raz pierwszy spod jego ciągle pięknych rysów wyzierała twarz starca, którym kiedyś się stanie.

Wyjechaliśmy z Paryża moją wierną coccinelle pewnego obłudnego poranka, jakie zdarzają się u schyłku lata, kiedy wszystko zapowiada zdradę, choć niepodobna jej gdziekolwiek wykryć. Jesień kryła się jeszcze za hojnie szastaną roślinnością, za astrami, słonecznikami, chryzantemami; fałszywa wiosna glicynii i róż sądząca, że zwiedzie świat. Ziemia jednak leżała zryta lemieszami pługów, obnażona przed spojrzzeniami, skoszono już jej płody, pozbawiono ją strzechy dzikich traw. Tylko burgundzkie winnice szykowały się do przeżycia swoich dni triumfu.

Czy było to na skutek tego, że już przeczuwałam zimę, co mi każdego roku lekko zatruwało koniec lata? A może przyczyna leżała w nieskończenie wielkiej odległości miejsca pobytu Gawaina, który nie oddychał nawet na tej samej półkuli, lecz cztery stopnie poniżej równika? Cumy, które rzucaliśmy sobie, aby się nawzajem przyciągnąć, spadały w próżnię, i coś znacznie trudniejszego do pokonania niż odwyknięcie od siebie wkradło się między nas. Na trasie długości trzystu kilometrów nie udało nam się połączyć. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca w jego życiu. Czy zresztą w ogóle miałam jakiegokolwiek miejsce prócz wysnionego? On także wydawał się nieswój, ale wiedziałam, że nie znosi długiej jazdy samochodem. Rzucił się jak niedźwiedź w klatce, bez przerwy obracał głowę, jakby chciał ją sobie odkręcić, obciążał spodnie uciskające mu pewnie genitalia, zakładał nogę na nogę i zmieniał je, nie mogąc się zdecydować, którą na której zostawić. Brakowało tylko, żeby powiedział: «Mamo, daleko jeszcze?... Mamo, kiedy dojedziemy?», a byłby już całkowicie nieznośny. Lecz jego duża, szeroka dłoń spoczywała na moim udzie niby obietnica. A Gawain zawsze dotrzymuje obietnic. Nie zdołaliśmy jednakże ustanowić zupełnego zawieszenia broni, które w czasie poprzednich spotkań pozwalało nam od pierwszej chwili zapomnieć o swoim życiu codziennym. Czuł się tak znużony, że niemal wyznał, iż czuje potrzebę miłości, a jeden czuły gest wystarczał, by go przywieść prawie do łez. Nie kochał się już tak, jak zajada się jakiś przysmak, dopada czegoś niecierpliwie czy oddycha, ale raczej tak, jak rzuca się w wodę, mści bądź upija. I z jakąś pasją brał mnie na świadka swojej udręki, starając się uwolnić od czegoś, co go dusiło. Słowo «depresja» nigdy nie znalazło się w jego słowniku, a w konsekwencji również w życiu. Co się tyczy pojęcia «chandra», to słusznie wydawało się

komiczne. Nie umiając powiedzieć «lęk egzystencjalny», mówił: «Jestem nie w sosie».

Jego obecna praca była o wiele cięższa niż w Mauretanii albo na Wybrzeżu Kości Słoniowej, zaś krótkie pobyty w porcie nie tak wesołe jak w Afryce, gdzie spotykał tylu kolegów: Bretończyków, Basków albo Wandejczyków. I te wyspy tchnące radością życia, gdzie nikt nie chciał «się wpięprzać», obudziły w nim w końcu wątpliwości co do uczynionego wyboru. W dodatku tam spędzał jednym ciągiem trzydzieści dni na morzu, «trzydzieści dni na bacność», jak on to mówił, w towarzystwie trzydziestu «miastowych» i trzech Murzynów, którzy we trzech nie wykonywali tego, co robił jeden bretoński chłopiec okrętowy.

Po raz pierwszy w życiu zachwiał się w swoich przekonaniach. I to go właśnie męczyło. Nie mógł bez nich żyć i nie był w stanie ich zmienić. Obsesyjnie wracał do swoich problemów - w dzień, podczas gdy degustowaliśmy burgundzkie ślimaki albo grzybowe smakołyki w restauracjach tego regionu usianego gastronomicznymi gwiazdami; nocą, kiedy wykochaliśmy się, a on nie mógł zasnąć.

Odkrywałam teraz jego dumę. Z trudem znosił to, że jego zawód nie jest już szanowany. Można było odeń zażądać, aby zginął ratując tonący «jakt», ale nie można było kwestionować tego, co zdaniem Gawaina stanowiło, iż jego zawód nie był taki jak inne.

- Rozumiesz, Seszelów śmiesz, jak widzą, że tak harujemy. Mówią, że trzeba mieć w głowie poprzestawiane, żeby z tak daleka przyjeżdżać do takiej roboty, i to ze statkami za parę miliardów, a wszystko po to, żeby posłać tuńczyki w puszkach Francuzom, którzy już mają do żarcia, co tylko chcą! A wiesz, ile kosztuje taki tuńczykowiec jak nasze?

Nie, nie wiem, ile kosztuje. I niekoniecznie mam ochotę się dowiadywać o drugiej nad ranem, i to w pierwszą wspólną noc; mam ochotę spać albo się pieprzyć, albo pleść łóżkowe androny, a nie dowiadywać się ceny tuńczykowca zamrażalni dostarczonego ze stoczni wprost do Mahé! Zwłaszcza że sytuacja wymaga, bym odpowiadała zdjęta zgrozą: «No nie? Niemożliwe!», kiedy mi nie bez dumy wymieni liczbę miliardów, która czy to w dzień, czy w nocy jednakowo przerośnie moje pojęcie.

- No i zdajesz se sprawę? Dla szefa to wieczny strach. Nie robota cię wykańcza, tylko strach. Bo na domiar złego odpowiadasz za całe wyposażenie elektroniczne i takie wymyślne urządzenia, że nie masz nawet pojęcia, ile to kosztuje. Jak coś zepsujesz albo masz awarię, to istna katastrofa. Każdy dzień przestoju kosztuje armatora fortunę. A załoga też ma obcięty zarobek, to jasne. A w tym cholernym kraju nie da rady nic naprawić, wszyscy mają to w dupie i nikt nie umi robić. I nikt palcem nie kiwnie, żeby kogoś pogonić. W ogóle mają nas tam za trzepniętych!

- A może w pewnym sensie jesteście trzepnięci?

- Może i tak. Ale ja tam bym inny nie umiał być, to jest najgorsze. Jak by nie było, to nawet jak bym chciał, nie mógłbym zmienić fachu; nie umię nic innego robić.

Mówię mu, że owszem, umie, i że lubię to, co robi, a jeszcze bardziej sposób, w jaki to robi. I pozuję na głupią gąskę niezdolną pojąć, jak ciężkie jest życie mężczyzny, dążącą do jednego: aby ją pieszczono. Na ogół takie zachowanie w jakimś stopniu dodaje mu ducha. A może taki rodzaj kobiety? Gawain ma potrzebę błahości. Solange Dandillot i Galernik z *La Grande Bleue* wreszcie się ze sobą kochają.

W młodości nie bez poniżenia porównywałam się raczej do Andrée Hacquebaut, porzuconej na wycieraczce przed drzwiami ukochanego Mistrza, postaci z czasów, gdy Montherlant bezapelacyjnie klasyfikował dziewczęta, odmawiając ślicznotkom inteligencji, by łatwiej nimi gardzić, a inteligentnym urody, by łatwiej odtrącić je w mroki, z dala od boskiego Penisa.

Przy Gawainie mogłam grać obydwie role. Lecz tego dnia na scenie była Solange, robiąc dużo szumu i paplając, aby zapomniał o morzu. Ale ono, kanalia, zawsze przybojem wraca i znowu żeglujemy ku Oceanowi Indyjskiemu, który z szumem fal zdołał dotrzeć aż do fundamentów burgundzkiego Hôtel de la Poste!

- Najgorsze - podejmuje Gawain, nawiązując do swoich ostatnich słów, jak gdyby miłosne zmagania były tylko króciutkim antraktem - że to wszystko już nic nie ma wspólnego z połowem. To całkiem inny fach. Dobrze, jak teraz uda ci się zobaczyć rybę. Łowisz, zaraz oprawiasz i zamrażasz. I w sumie harujesz jak w fabryce. Jeszcze trochę, a będzie się łowiło tuńczyka od razu w konserwach...

Na tuńczyki Solange Dandillot gwizdże. Te paskudniki wpakowały się z nimi do samochodu, towarzyszyły im przy stole i na wycieczce, a teraz rozpychają się w ich łóżku! Pozostaje zatem tylko wygodnie wtulić się w ramiona Lozerecha i wtrącać tu i ówdzie jakiś komentarz, skoro nie ma mowy o spaniu. Ale jak tu zadawać pytania, skoro każde jest nieodpowiednie? Człowiek upiera się w wierze, iż do takiego życia można zastosować nasze kryteria komfortu, zdrowia, dobrego samopoczucia, podczas gdy najpospolitsze przedmioty, jak łóżko, biblioteczka, na pozór doskonale znane, przestają na statku być łóżkiem czy biblioteczką. Na pokładzie wszystko jest zafalszowane monstualnym parametrem oceanu.

- Mimo wszystko kiedy dawniej opowiadałaś o trałowcu na Morzu Irlandzkim, pamiętam, że mówiłaś: «To katorga!» W tropikach chyba nie jest tak ciężko, co? Nie śpicie już przecież na kojach zbitych z desek... macie prysznic...

- W pewnym sensie to gorsze niż katorga.

Nie podaje szczegółów, zniechęcają go rozmiary tego zadania.

- Nikt tego nie opisze - mamrocze jeszcze, po czym zapada w milczenie pełne obrazów niewyraźnych w naszym języku. Nikczemnie wykorzystuję to, by zwolnić cumy. Ale Gawain jeszcze nie skończył. Ciągnie swój monolog z rękami założonymi pod głowę, wzrokiem utkwionym w suficie, jednym udem położonym w poprzek mojego, abym miała pewność, że jego ciało jest ze mną, choć myśli błądzą gdzie indziej.

- Jak idzie o pogodę, to co do tego nie ma dwóch zdań: jest lepsza. Ale nie to mi dokuczalo. Byłem przynajmniej marynarzem. Teraz człowiek już nie łowi ryby, tylko banknoty. I już nie szyper dowodzi, ale maszyna. Przecież to jakbym się stał robotnikiem!

- Robotnik pracujący na pełnym morzu, przy wietrze i falach...

- Fale? Nawet ich nie słyszysz! - mówi szyperczo Gawain. - Chciałbym, żebyś pobyla na pokładzie, choćby tylko tydzień! Wszystkie silniki chodzą przez okrągłą dobę: w korytarzach zamrażających, gdzie zsypujesz tuńczyki, w lodownikach na sadzie z rybą soloną, a jak na zewnątrz masz czterdzieści stopni, to ciągnąć muszą zdrowo! No i do tego silnik statku, dwa tysiące koni! I jeszcze helikopter, żeby wypatrywać ławice, o nim zapomniałem. Łomot bije wszystkie rekordy. I w końcu sama nie wiesz, gdzie jesteś ani co jest gorsze: maszynownia, gdzie masz plus czterdzieści pięć stopni, czy zamrażalnie z oszronionymi ścianami... A nawet jak już stoisz w porcie, to i tak warczy ci silnik klimatyzacji i silnik żurawia, który wyciąga tuńczyka z ładowni w pakach po dwie tony. Ja przywykłem do przenoszenia skrzyń, do grzebania się w rybach. Nie pasuje mi być na służbie u maszyn. Nie, trza być rąbniętym, żeby robić w takich warunkach. W każdym bądź razie ja jestem za stary. No a jak już w ogóle nie będzie tuńczyków... A tam, olewam to, wtedy to już będę na rencie.

Pogodziwszy się z tym, że nie będę spała, zapaliłam światło. Noc jest ciepła, więc oparliśmy się łokciami o parapet okna pokoiku na mansardzie, wychodzącego na płataninę dachów Vézelay, na spokojne wzgórza, na nieruchomy pejzaż, który w ciszy rozciąga się przed oczami Gawaina, syci go wsią i jej spokojem, takim, o jakim pewnie śni czasem w burzliwe noce.

Wyjął papierosa z kieszeni kurtki, po raz pierwszy, odkąd go znam.

- Pozwolisz? - pyta. - To z nerwów.

- Słowem, jesteś tam nieszczęśliwy?

- Tego bym nie powiedział.

Wiecznie ta troska, by nie przeceniać własnego strapienia. Tego wieczoru jednak nawet miłość nie jest w stanie mu pomóc, Gawain potrzebuje uważnego ucha.

Nazajutrz wygląda, jakby zrzucił z siebie część brzemienia. Jemy na trawie śniadanie złożone z chleba, kielbasy, sera i owoców, a potem prowadzę go do kilku «starych kamienisk», jak on to mówi. Pierwszy raz wspólnie zwiedzamy nasz kraj i kiedy indziej Gawainowi spodobałoby się to pewnie. Wykorzystuję wszelkie sztuczki mojego zawodu, aby go zainteresować. Odnajdujemy nawet Vaubana, jego Vaubana od «zamkniętych miast», pochowanego tutaj w kapliczce, którą kazał sobie wybudować z dala od morza, u stóp zamku Bazoches pochodzącego z XII wieku, podobnie jak najmniejsza nawet budowla w tej okolicy.

Długie wędrówki pośród lądowych krajobrazów, nieustająca i uspokajająca obecność przeszłości koją z wolna duszę mojego morskiego ptaka. Jego twarz odzyskuje cechy dziecięce, jedynie oczy wydają się nie tak niebieskie. Niektóre oczy morskie tak właśnie blakną na wsi. I tylko kiedy odbija się w nich niebieskość morza, nabierają intensywnego odcienia.

Trzeciego wieczoru, będącego już przedostatnim, Gawain jakby wyczuł we mnie pewne zniechęcenie wobec nadchodzących miesięcy bez niego i wobec losu tej miłości, która nie chciała ani żyć w pełni, ani na dobre umrzeć, i doznał natchnienia.

- Mam do ciebie prośbę - powiedział, kiedy kończyliśmy jeden z owych tak wyrafinowanych posiłków, że człowiek ma wrażenie, iż staje się mądrzejszy. - Czy zgodziłabyś się przyjechać jeszcze raz do mnie do Mahé? Kończymy zaraz przed monsunem i przypuszczalnie będę miał wtedy trochę czasu. Wiem, że to bardzo daleko, ale... - Westchnął. - Tyle o tobie tam myślę, o tym, jaka byłaś, cośmy razem na Seszelach robili... Bez ciebie to nie te same wyspy... No a jakbyś przyjechała, to myślę, że lżej by mi było wyjść w morze w następnym tygodniu.

- Pobyt z tobą na Seszelach to moje najpiękniejsze wspomnienie. Ale...

- Głupio mi prosić cię o to - wtrąca szybko Gawain, nie dając mi czasu na wyrażenie obiekcji - bo podróż diablo drogo kosztuje, wiem. Ale od lipca mają tam lotnisko międzynarodowe, tak że jest dużo łatwiej. No i będziemy mogli mieszkać u Conana, pamiętasz go? Teraz, jak wyspy mają niezależność, on tam jest kooperantem. Jak już tam będziesz, nie wydasz ani grosza, zapraszam cię, na ile chcesz. Tylko ta podróż... A gdybyś przyjechała - dodaje - to wiesz, że byłoby to nasze dwudziestolecie? Moglibyśmy je uczcić na *Raguenésie*, nie czulibyśmy się tak obco!

- Po dwudziestu latach przebywać piętnaście tysięcy kilometrów dla organu płciowego pana Lozerecha! Drogo wypada za rok - odzywa się duenia.

Owszem, wypada tak drogo, że naraz to już w ogóle nie ma sensu. Sama nie wiem, co o tym myśleć, lecz Gawain położył swoją dłoń na mojej, jedną z tych swoich dużych,

zawadzających dłoni, z którymi nigdy nie wie, co zrobić, i które wszędzie, wyjąwszy pokład i moje ciało, wyglądają jak banici.

- Prawda, że będzie to skomplikowane, podróż trwa całą dobę, tak? Ale jeśli z książką wszystko pójdzie dobrze, to może sobie jakoś poradzę: poproszę wydawcę o zaliczkę. W lecie Loïc wyjeżdża na wakacje ze swoim ojcem, więc będę całkiem wolna. Posłuchaj: dowiem się, jakie są ceny, może będą czartery, o wszystkim ci napiszę....

Gawain zauważył moje wahanie.

- Postaraj się przyjechać - mówi - proszę.

I te proste słowa wprawiają mnie w ogromne poruszenie. Ofiarował mi wszystko i nigdy o nic nie prosił, a dzisiaj potrzebuje, żebym mu powiedziała «tak», zaraz, natychmiast. Jego niedola, tak rzadko widoczna, przejmuje mnie do głębi. Wydaje mi się, że kochając ciągle Gawaina, poddaję się uczuciu niezwykle czystemu, bo tylko prawdziwą miłością można wytłumaczyć, że przeszkody nigdy nie są w stanie nas zniechęcić. O ileż łatwiej byłoby kochać mężczyznę wykształconego, eleganckiego, w pełni dysponującego swoim czasem, mieszkającego w Paryżu, bogatego i inteligentnego!

Od chwili, gdy pieczołowicie ukrył w głębi siebie moją obietnicę, że do niego przyjadę, zapanowała znowu między nami swoboda. Wracamy do Paryża jak małżeństwo, które życie niebawem rozłączy, mające jednak przed sobą perspektywę przyszłości.

- Wyprawimy kapitalną zabawę z okazji naszej rocznicy - obiecuje Gawain. - Bo tam potrafią się bawić. I zabierzemy Youna, mojego zastępcę, jeśli się zgodzisz. On zna wszystkie dobre knajpy na wyspie. Powiedziałem mu o nas. On też ma przyjaciółkę w Lorient, już dawno się kochają. Ale jego żona jest w szpitalu wariatów, więc nie może się rozwieść.

Przez głowę przemyka mi myśl, którą uświadamiam sobie nie bez zakłopotania: zastanawiam się, co bym zrobiła, gdyby Lozerech owdowiał. Zdradzane żony nie wiedzą, w jak dużym stopniu mogą czasem stanowić warunek istnienia innej miłości, będąc wygodnym alibi dla niektórych mężów, dogodną ochroną dla osób, które prawda przyprawiłaby o rozpacz. I ja również dzięki Marie-Josée, dzięki temu, czym jest i czym nie jest, mogę kochać Gawaina nie lękając się, że po raz drugi go zranię.

W samochodzie, zwłaszcza ciasnym, odradza się poczucie bezpieczeństwa matczynego łona. Jesteśmy skuleni z Gawainem w komórce wydzielonej ze świata i wydaje nam się, że to krajobraz wokół nas się przesuwają. Jak zwykle przed rozstaniem staramy się upewnić co do tej miłości, która nawet w chwilach największej rozkoszy nie pozwala nam zapomnieć o swoich dwóch obliczach.

- À propos, widziałeś, że nasz szafas na wyspie w Raguenès zawałił się? Dzisiaj już

nie moglibyśmy się tam schować. I pomyśleć tylko, że być może nie bylibyśmy teraz razem, gdyby te ściany wcześniej się rozsypały!

- Ja tam wiem na pewno, że to było nam pisane - oświadcza Gawain, który obcując na co dzień z żywiołem, gdzie tak wielkie znaczenie ma przypadek, nie dopuszcza myśli o przypadku w swoim życiu prywatnym.

Zakochani są jak dzieci: nigdy im się nie nudzą powtarzane w kółko te same opowieści. «Opowiedz mi jeszcze o tej dziewczynie i chłopaku, co się schowali na wyspie...» I znowu analizujemy tę nieprawdopodobną noc roku 1948, która dotąd nam nie wyjawiała wszystkich swoich sekretów. Po raz kolejny wyciągam od niego opis miłości-nienawiści do córki sąsiadów-letników. On ponownie wypytuje mnie, co też mogło mi się spodobać w takim jak on kmiotku - mnie, wedle jego mniemania wiodącej świetne życie w Paryżu, walczącej jak na filmach amerykańskich w wieczorowych sukniach z młodymi gwiazdoram i o wypomadowanych włosach, w świetle kryształowych żyrandoli. Nie przyznałam mu się, że kochałam się z młodym przyszczatym matematykiem w okularach na marokańskiej narzucie, nie wartej klepiska w naszym szałasie i zapachu plaży w czasie odpływu.

W radiu nadawano audycję «Trzydzieści lat francuskiej piosenki» i Gawain nucił każdy refren. Marynarze przy pracy dużo słuchają radia - jeszcze jedna rzecz, której Lozerech był pozbawiony na Seszelach - toteż znał wszystkie teksty, zwłaszcza te najgorsze, lecz przeobrażał je jego basowy głos, nie zmieniony od czasu, kiedy na weselu Yvonne wbrew mojej woli wlewał we mnie miłosny napój.

Za osiem miesięcy w Victorii, *Karedig?*

Debout zom' lib'!

Przeżyliśmy z Sydneyem trudną zimę. Jego powieść spotkała największa kłapa, jakiej by mógł sobie życzyć. Mimo wszystko inną rzeczą jest podziwiać autorów przeklętych i szanować tych, co nie szukają powodzenia, inną zaś osobiście przeżywać obojętność czytelników i brak oddźwięku w liczącej się prasie. Potrzebne są do tego siła ducha i wzdarda dla ogółu, których Sydney nie posiadał. Nie mówiąc już o minimalnym zabezpieczeniu finansowym, którego również nie miał, odkąd wyjechał ze Stanów.

Za to moje dwie prace spotkały się z sukcesem niespodziewanym jak na książki historyczne publikowane w specjalistycznych seriach, co sprawiło, że stosunki między nami uległy subtelnej zmianie. Bardziej go interesowałam, odkąd nim interesowało się mniej osób, choć nadal uważał uprawianą przeze mnie literaturę za «pożywkę». W pewnym wieku - a Sydney właśnie przekroczył pięćdziesiątkę - pożywka nabiera niejakich cech nobliwości.

W ciągu tego roku często myślałam o Gawainie. Wystarczył granatowy kaszkiet ujrzany na głowie marynarza w jakimś porcie, bretoński akcent na zakręcie ulicy w Concarneau, odwiedziny u starej Lozerechowej, coraz drobniejszej w swoim opustoszałym gospodarstwie - wszystkie jej dzieci, marynarze bądź nauczyciele, przebywały daleko - a wzbierała we mnie fala czułości do chłopca, który dziurawił mi opony i nazywał mnie George Bezes. Podobna byłam żonie więźnia, żyjącej w zawieszeniu, póki mąż nie wróci.

W nocy, leżąc obok Sydneya, marzyłam o innym. Znudzona płeć lubi sobie w ten sposób wyobrazić niesłychane uciechy. I zdarza się, że je znajduje.

Zajmowałam się zorganizowaniem swojej podróży. Czy był to skutek wieku? Bo odczuwałam potrzebę wyjazdu na Seszele nie tylko po to, aby zobaczyć Gawaina, ale też żeby poczuć na sobie zakochany wzrok. Moja skóra wędła z dala od jego wilgotnego spojrzenia. Patrzyłam również, jak moja matka, mimo bezustannych zmagania, z wolna ulega czasowi, oddaje mu swe ulubione obszary, zajęcia, udając, że już jej nie interesują, by nie

przyznać się do porażki. W pewnym wieku bowiem obszary raz oddane nie zostaną więcej człowiekowi zwrócone. I mama udzielała mi już przestróg, nadal przejawiając ów apetyt na życie, który zawsze mi się w niej podobał.

- Zastanów się dobrze, co byś straciła rezygnując z tego swojego «bretońskiego przyjaciela» - mówiła, przez delikatność tak go nazywając. - Namiętności niczym nie zastąpisz. Intelkt nie daje pokarmu ciału... Tragiczne jest to, że kobietom takim jak my potrzebne jest jedno i drugie - kończyła z miną nieszczerze zasmuconą. To prawda, że nigdy nie przepadała za Sydneyem.

Namówiłam François i Luce, żeby w trzecim tygodniu przyjechali do mnie na Seszele, jeśli zdrowie Luce na to pozwoli. Mieliśmy potem wrócić razem do Francji. Tak przed nimi wychwalałam piękno tych wysp, że tylko czyhali na okazję, aby tam pojechać. Jednakże Luce niedawno była operowana i właśnie poddana została chemioterapii. Jej odwaga i optymizm budziły w nas nadzieję, że obecna poprawa stanu zdrowia okaże się trwała i pokona chorobę.

Kiedy wreszcie znalazłam się w Mahé, Szeszelowie także święcili swoją rocznicę, pierwszą rocznicę niezależności, i skorzystaliśmy z atmosfery radości, by uczcić i naszą. Odnosiliśmy wrażenie, że jesteśmy starym małżeństwem, ponieważ mieliśmy co upamiętniać i wracaliśmy w te same miejsca. «Pamiętasz, jak ukąsiła mnie skolopendra?... A pamiętasz te dwa ponure małżeństwa w restauracji na Praslin i tę ich kokodupę?...» Takimi właśnie «pamiętasz» uspokajają się kochankowie nie do końca ufający sobie wzajem.

Pierwszą noc spędziliśmy na tańczeniu na ulicach pod palmami i we wszystkich restauracjach i kawiarniach w okolicy. Piętno brytyjskości, oficjalnie wymazane, znaczyło jeszcze Szeszelów: o północy, tak samo sztywno jak w czasach, gdy musieli grać *God save the Queen*, muzycy w postawie na bacność zaintonowali po francusku-seszelsku swój nowiutki hymn narodowy:

Debout zom' lib', fiers Seychellois

L'égalité pou nous tou'

*La liberté pou touzou!**

Francja także, wraz ze swoją rewolucją i orszakiem górnolotnych zasad, odcisnęła się

* Bacność wolni dumni Szeszelowie
Równość jest dla wszystkich
Wolność na zawsze!

na ich umysłowości.

Mój własny hymn śpiewałam w tej chwili Gawainowi... «Bacność wolny dumny Bretończyku» pozwoliło nam tego wieczoru wpleść nutkę rubaszności w patriotyczne pienia.

Nasze święto zakończyło się o świcie w ciepłych falach oceanu, lecz tym razem nie odgrywaliśmy nieśmiały. Na luksus wyrzeczeń można sobie pozwalać, kiedy ma się dwadzieścia lat.

Czy mam opisywać te dni, z których robiliśmy noce, kiedy padało? - *Och, oszczędź nas!* - mówi duenia. - *Już znamy numery seszelskie, to wystarczy! A seks, kiedy nie jest już ekscytujący, staje się niesmaczny. Nie ma określić pośrednich.*

Trzeciego dnia Gawainowi pękła żyłka w lewym oku. Nie boli go to, ilekroć jednak nań spojrzę, czynię sobie wyrzuty, że jestem wiedźmą, która doprowadziła do zawału ocznego u swojego mężczyzny, nadużywając go! Mimo to nadal robię swoje. Mój starter wydaje się ciągle włączony. Bywa, że silnik się krztusi, lecz nigdy nie gaśnie. Podobnie jak ktoś, kto «ma rękę» do roślin, stymuluje ich wzrost, tak Gawain «ma rękę» do mnie i stymuluje moje ciało, bez przerwy odkrywając przede mną nowe strefy erogenne. Jedne pojawiają się epizodycznie, tylko raz; inne należą do czasem zanikających; no i są te zawsze wierne, wyrysowane jak na papierze nutowym, które komponują stale tę samą pieśń. Ale nawet kiedy Gawain mnie pyta, nie jestem w stanie opisać tych ruchomych granic, tak bardzo czuję się zmordowana spazmami rozkoszy, przy czym nie wiem, czy wszystkie zasługiwałyby na miano orgazmu w rejestrze sporządzonym przez Ellen Price.

- Nie mówisz mi wszystkiego, co lubisz - upiera się Gawain. - Są jeszcze rzeczy, o które nie masz odwagi mnie poprosić.

- Bądź spokojny, prawie nie ma takich! A to «prawie» daje mi całą przyjemność. W przeciwnym razie... byłbyś mną! Co za potworność!

- Ale przecież ja na ogół nie wiem dokładnie, kiedy jesteś najszczęśliwsza. To mnie martwi. Zastanawiam się, czy...

- Nie zastanawiaj się, tylko pytaj mnie. Koniec końców seks wcale nie jest taki seksualny, jak się mówi. Nikt mi nie daje tak jak ty... rozkoszy oczywiście, ale przede wszystkim poczucia świętości w rozkoszy.

Ledwie śmiem wypowiedzieć te słowa. Leżymy jednak po ciemku i Gawain nie protestuje. On się nie boi rzeczy wielkich. A ja się już niczego nie boję przy tym mężczyźnie. Pozwalam sobie na wszelkie kaprysy, tańczę albo śpiewam przy nim, jak gdybym była sama. Pokazuję się w strojach, które będę musiała starannie ukryć po powrocie do zwyczajnego życia. Noszę koszulę z miękkiego atłasu, istną burdelówkę, jakiej w życiu bym sobie nie

sprawiła «w cywilu». Och, te sztuczki, które potępiam lub nimi gardzę! Jakże miło jest je stosować... i dzięki nim zyskiwać tyle dobrodziejstw!

Zachowałam się nawet kiedyś jak żona i po raz pierwszy znalazłam się z Gawainem na pokładzie jego statku, obejrzałam jego kajutę, zobaczyłam, gdzie śpi, gdzie chowa moje zdjęcia i listy. I byłam na nabrzeżu w dniu, gdy *Raguenès* wypływał w morze, machając najpierw dłonią, potem całą ręką, a potem biegnąc wzdłuż nabrzeża, kiedy droga mi postać malała coraz bardziej, a wolna część załogi, zebrana na pokładzie, patrzyła na oddalający się łód tak samo jak we wszystkich portach świata. I oczy napełniły mi się łzami jak oczy wszystkich kobiet na świecie, które widzą, że ich marynarz odpływa.

Na szczęście François i Luce przyjechali poprzedniego dnia i ostatnią noc spędziliśmy we czwórkę w pobliżu portu. Gawain czuł się przy nich swobodnie, a ja wdzięczna im byłam, że nie uważają go za «dzikiego brata», ale po prostu za człowieka takiego samego jak my, tyle że o odmiennych doświadczeniach życiowych. Ludzie z szacunkiem słuchaliby Eskimosa czy Turka opowiadającego o swoim życiu, lecz kilkoro przyjaciół, którym swego czasu przedstawiłam Lozerecha, ledwie skrywało swoją wyższość słuchając, jak mówi o morzu. Był jednocześnie zbyt komiczny z tym swoim akcentem i zbyt bliski geograficznie, aby zasługiwać na zainteresowanie Paryżan. No i w dodatku to już nie czasy Pierre'a Loti. «Mój brat Yves», to brzmiało nijako.

François umiał wymazać koloryt lokalny i skupić się na zaletach ducha. Tego wieczoru czuliśmy się czworgiem przyjaciół i Gawain nie był już «tym śmiesznym facetem, którego wynalazłaś w jakiejś wiosce...»

Obiecaliśmy sobie, że będziemy pisać do siebie na adres Conana, choć Gawain miał czekać całe tygodnie na okazję odebrania moich listów i wysłania do mnie swoich. Morze pozbawiało go również tej radości, najbardziej banalnej i najlepszej dla obu stron pociechy, jaką jest danie sobie znaku, usłyszenie przez telefon głosu osoby kochanej; tej radości, która jest dana wszystkim ludziom, nawet więźniom.

Już w pierwszym liście wyznał mi to, czego nie chciał powiedzieć w Mahé: nie będzie więcej łowił tuńczyka na Seszelach. Jego słynny tajemniczy plan południowoafrykański miał zostać zrealizowany. Musiał jeszcze «ze trzy, cztery lata pociągnąć», a to w końcu drobiazg!

Zdecydowanie ludzie nie wiedzący ani co to jest czterdziestogodzinny tydzień pracy, ani dni świąteczne, ani cotygodniowy wypoczynek, nie mają takiego samego jak my poczucia czasu. Trzy lata wydawały mi się wiecznością, a ta nasza ukradkowa miłość, zawsze ustępująca przed obowiązkami rodzinnymi i zawodowymi Gawaina, zabijana, ledwie się odrodziła, zaczynała budzić we mnie zniechęcenie. Zwłaszcza że głowę zaprzętał mi ambitny

projekt: «Historia medycyny i kobiet», którą François chciał pisać ze mną, nabierała kształtów. Jako ginekolog-położnik będzie ogromnie pomocny.

Moje codzienne życie w zupełności mi odpowiadało. Mogłam nieskrępowanie wydawać zarabiane pieniądze, odwiedzać znajomych, podróżować, mieć miłe mieszkanie... mierzyłam przepaść dzielącą moje życie od życia Lozerecha. On dopiero na starość będzie mógł skorzystać z ciężko zarobionych pieniędzy, z ładnego domu, gdzie tak mało mieszkał i gdzie na stałe wróci nie wcześniej niż w wieku, kiedy na dobre oduczy się życia na lądzie.

I tak z biegiem miesięcy Gawain, mimo comiesięcznych listów, stawał się rozmazaną sylwetką na horyzoncie. Szczerze starałam się od niego wyzwolić. Ale serce nie służy... Z czasem okazało się, że wyzwoliłam się od Sydneya! Jego dyndadełko w ogóle mnie już nie obchodziło, jakby było przedmiotem ciśniętym w kąt. Kiedyś wcześniej nabrałam zgubnego zwyczaju porównywania moich obu mężczyzn i spostrzegłam wtedy, że Sydney nigdy nie pomyślał o moim ciele jako o czymś jedynym w swoim rodzaju ani o mnie jako o kobiecie niezastąpionej. Słusznie zresztą. Przyznawałam mu całkowicie rację, lecz dostąpiłam przecież przywileju poznania człowieka opętanego na moim punkcie, toteż nie bardzo mogłam teraz przywyknąć do uczuć mieszających się w granicach rozsądku.

Przez pierwsze lata w Stanach czułam się mile połączona, że dzielę erotyczne nawyki intelektualnej awangardy. Wtedy jeszcze sądziłam, że istnieje miłosa awangarda! Razem z Ellen Price i Alem oraz zaprzyjaźnionymi terapeutami i seksopetami, psychoanalitikami i seksoanalitikami błyskotliwie rozprawialiśmy o miłości i rozkoszy, lecz wcale nam to nie pomagało w uprawianiu jednego i przeżywaniu drugiego. Kiedy Ellen wydała swoją książkę, Al stał się impotentem - mógł tylko z prostytutkami. Była to jego replika udzielona połowicy. Sydney przeciwnie, przeszedł na wzrost częstotliwości, lecz *con passione*. Owa swoboda w dyletantyzmie, której tak im przedtem zazdrościłam, teraz wydawała mi się bardziej ułomnością niż szykiem.

Rozważałam, jak bardzo we wspólnym życiu wszystko jest kwestią punktu widzenia; ten sam gest może zirytować lub rozczulić zależnie od tego, czy szuka się powodu do życia z kimś albo do rozstania. W Sydneyu wszystko mnie teraz denerwowało.

Z różnych przyczyn chętnie by mnie teraz poślubił, tymczasem ja straciłam na to całą ochotę. Ciarki mnie przechodziły na samą myśl, że miałabym w moim wieku przyjąć nazwisko amerykańskie! I do tego oddanie się na lata niedalekiej już starości, sprzedanie w komplecie z chwilą ślubu - obrzydzenie mnie brało. A przecież Syd nigdy nie był równie czuły, równie nadskakujący. Rzadko się idzie w parze tym samym krokiem.

Czasem wystarczy jeden okrutny szczegół, by pewnego dnia odkryć, że wszystko

skończone. Dla mnie było to w dniu, kiedy Sydney spojrzął mi w oczy po odbytym właśnie stosunku i przepełniony wdzięcznością powiedział: «Ile czułości czytam w twoich oczach!» A ja przez cały czas myślałam o butach zauważonych poprzedniego dnia w witrynie sklepowej i o tym, że zrobiłam błąd nie kupując ich. I właśnie zdecydowałam, że pójdę po nie natychmiast, jak tylko będę mogła, nie gwałcąc konwenansów, opuścić to łóżko!

Tak się zatem złożyło, że przez jeden rok w mniejszym lub większym stopniu oddaliłam się od obu moich mężczyzn. Zupełnie od Sydneya, ponieważ musiał wrócić do Stanów. Mniej od Gawaina, ponieważ rozłąka nigdy tak naprawdę nie dawała nam rady. Pragnęłam jednak żyć nie marząc o tym, co niemożliwe. Niepodobna czekać przez jedenaście miesięcy w roku na mężczyznę, kiedy minęło się już czterdziestkę.

Czyżbym osiągała wiek smutku, gdy przyjaźń wydaje się znośniejsza i cenniejsza niż miłość?

Ryczące pięćdziesiątki

Coraz dłuższymi krokami zbliżam się do pięćdziesiątki - wieku, kiedy niespodzianki mogą być już tylko złe. Najlepszą rzeczą, jakiej można sobie wtedy życzyć, jest status quo. Zauważane tu i ówdzie szkody wydają się zrazu niewielkie, ponieważ jednak są pierwsze, wywołują oburzenie bądź przygnębienie. Tymczasem siateczki zmarszczek wokół oczu, drobnych niedoskonałości ciała łatwych do ukrycia pożałuje się pewnego dnia, gdy pojawią się znacznie gorsze zmiany. Odtąd co roku człowiek będzie sobie mówił, oglądając zdjęcia z roku poprzedniego: «No, no! W zeszłym roku trzymałam się jeszcze cholernie dobrze!» A za dwa lata stwierdzi, że poprzedniego roku trzymał się jeszcze cholernie dobrze. I ja właśnie jestem w wieku «zeszłego roku», który zawsze będzie mi się wydawał godzien żalu. Jedyne wyjście pozwalające żyć, to zmuszać się od tej pory do polubienia teraźniejszości w świetle przyszłości jeszcze bardziej niepokojącej!

Niewiele widywałam mojego kormorana w ciągu trzech kolejnych lat i zmuszałam się do myślenia o nim również w świetle naszej absurdalnej przyszłości. Ludzka natura, w każdym razie moja, jest miłosierna: kiedy przestaje się pożądać, to znaczy kiedy przedmiot pożądania jest daleko, staje się rzeczą niemal niewyobrażalną, że można było pragnąć kogoś równie gorąco.

Gawaina siłą rzeczy widywałam niewiele, ponieważ wcielił w czyn swój tajemniczy zamiar. Nigdy nie przywykł do Szeszeli, których zbyt sielskie krajobrazy nie odpowiadały jego dzikiej duszy. Teraz przez osiem miesięcy w roku, od października do maja, stoi na płyciźnie oddalonej o pięćset mil od Przylądka Dobrej Nadziei. Nie jest to żaden kraj, nawet nie wyspa, tylko ledwie abstrakcyjny punkt na przecięciu 31°40' szerokości geograficznej południowej i 8°18' długości wschodniej, położony o trzy dni drogi od najbliższego lądu, nękany potężnymi falami ryczących czterdziestek. Świat Gawaina ogranicza się do rafy koralowej szerokiej na sześć mil i do wąskiego płaskowyżu wulkanicznego, który wynurza się raptownie na sto

metrów powyżej poziomu morza z głębin sięgających tutaj pięciu kilometrów, a zamieszkiwany jest przez miliony langust. Ażebym mogła go gdzieś umiejscowić, przed wyjazdem Gawain wyrysował mi na mapie morskiej swój statek, *Empire des Mers*, stary tuńczykowiec długości dwudziestu ośmiu metrów - zakrawający na kpiny ślad życia zagubiony pośród błękitu tej strefy pozbawionej lądu.

To niewiarygodne łowisko odkrył kilka lat wcześniej jego krewniak Youn rodem z Douarnenez, jeden z tych, co to z ojca na syna specjalizują się w langustach, i postanowił je eksploatować, czyli tam żyć. Lecz w wyniku upadku na pokładzie doznał urazu kręgosłupa, którego nie udało się w pełni wyleczyć, to zaś nie pozwoliło mu kontynuować połowów i zmusiło do zaproponowania piratowi swojego pokroju, aby go zastąpił w czerpaniu zysków tej złotej żyły. Mało kto zgodziłby się na to, ale Lozerecha zawsze kusilo to, co trudne. Dojrzał okazję przeżycia znowu jak w młodości silnych wrażeń i pięknego zakończenia kariery zawodowej. Być może dojrzał także okazję położenia między sobą a mną dodatkowej przeszkody. Nie będąc w stanie pomniejszyć swojego uczucia, wolał zwiększyć odległość. Znalazł bowiem nowy powód, by samego siebie ukarać: Marie-Josée przeszła operację na raka. «Wszystko mi wycięli», jak mówiła nie bez pewnej prowokacji, niewątpliwie z goryczą zdając sobie sprawę, że tym sformułowaniem ogranicza swoją rolę do funkcji spełnianych przez macicę. Jednakże to, co z niej pozostało, było nadal żoną Lozerecha, on zaś tym bardziej poczuwał się do winy.

Co do mnie, to wreszcie ukazała się moja książka na temat medycyny i kobiet. Poświęciliśmy jej, François i ja, trzy lata, robiąc równocześnie wiele innych rzeczy, trzy lata wyteżonej pracy, której zakończenie pozostawiło nam osobliwe wrażenie pustki. Początkowo przypisywaliśmy je nadmiarowi wolnego czasu, z którym nie wiadomo było, co począć, potem jednak z wolna objawiła się nam prawda: nie pracy nam brakowało, lecz prawie codziennej obecności towarzysza, towarzyszki życia, jakimi byliśmy dla siebie przez te lata. Uznaliśmy, że jest tylko jedno rozwiązanie: żyć pod tym samym dachem! Rzecz była realna, ponieważ François został sam, odkąd zmarła Luce, jego żona, zostawiając mu piętnastoletnią córkę. Patrzyłam, jak François błądzi pomiędzy odbieranymi porodami, zajęciami w szpitalu ze studentami, wychowaniem nastolatki i żalobą po stracie wyjątkowej kobiety, którą darzył głębokim uczuciem.

Może się okazać uroczym przeżyciem połączenie się z powodu tkliwej inklinacji, kiedy już człowiek doświadczył «małżeństwa do grobowej deski» i namiętności zwanej cielesną. Na tym etapie życia miłość jest oczywiście wszystkim, a zarazem już niczym! To absurdalne stwierdzenie całkiem dobrze wyjaśnia mieszaninę entuzjazmu i bez troski, z jakimi

podjęliśmy decyzję, że się pobierzemy.

Nie odniosłam wrażenia, że oto wkraczam w nowy etap albo że nadmiernie ryzykuję: w pewien sposób François zawsze należał do rodziny, teraz zaś tylko wchodził do niej bardziej oficjalnie. Chyba z dziesięć razy omal nie zakochaliśmy się w sobie na dobre, ale zawsze mijaliśmy się o krok. W roku 1950 pewnie byłabym za niego wyszła, gdyby w samym środku studiów nie musiał pojechać do sanatorium w Saint-Hilaire-du-Touvet, gdzie spędził dwa lata. Gdy wrócił, byłam żoną Jeana-Christophe'a, on zaś zdążył ożenić się z Luce. A kiedy pięć lat później Luce omal od niego nie odeszła, ja żyłam z Sydneyem w Stanach.

Tym razem obydwójce byliśmy sami i wolni, w dodatku w dobrym zdrowiu, należało więc wykorzystać okazję. Gdybym poślubiła François mając dwadzieścia lat, Lozerech z pewnością zniknąłby z mojego życia, może nawet wymazałabym go z pamięci. Bo Jean-Christophe nigdy nie absorbował bez reszty moich miłosnych możliwości i nie tykał tęsknot wieku młodzieńczego. Tym sposobem niektórzy mężczyźni sami ścielą łóżko swoim rywalom.

François w dodatku był rzadkim okazem: jednym z wielkich ludzi, jakich życie lubi czasem zmarnować. Posiadał wszelkie atuty, by zostać wybitnym naukowcem, doskonałym poetą, dobrym malarzem, utalentowanym pianistą, czarującym uwodzicielem, i w zasadzie był tym wszystkim, ale nieznaczne usterki w charakterze czy też ciąg przypadków zawsze trzymały go na marginesie prawdziwej wygranej. Na pozór za jego absolutnym przyzwoleniem.

Obnosił po świecie piękny wygląd, choć tak naprawdę nie był ładny, oraz szarm i wrodzoną elegancję, nieśmiałością i roztargnieniem osłabiane na tyle, że mu wybaczano rozliczne talenta i w młodości przewano Księżycowym Janem. Z młodości zresztą nigdy nie wyszedł, choć przekroczył pięćdziesiątkę i wiele doświadczył, bo wszystko nadal wprawiało go w zachwyty: noworodki, które niestrudzenie przyjmował na świat, jak gdyby każdy z nich był odrębnym światem, przyjaciele, jego córka Marie, podróże, muzyka i na ostatnim miejscu nasze małżeństwo, ponieważ wydawało mu się pozostawać w naturalnym porządku rzeczy i w jego mniemaniu, mimo chorób i śmierci, świat w swej istocie był tym, co warto poznawać. Kochał życie, ale kochał też żyjących, co zdarza się znacznie rzadziej, i kochał nawet moją przygodę z Lozerechem, którego przeważa «Kapitanem Kormoranem» na pamiątkę mojej ulubionej *Bibliothèque Rose* i kapitana Korkorana, bohatera jednej z powieści. On wolał *Bibliothèque Verte*.

Przypięłam sobie w gabinecie mapę morską, otrzymaną przed wyjazdem od Gawaina, i ilekroć na nią popatrzyłam, ścisnął mnie za serce widok stateczku wyrysowanego z precyzją

i pieczołowitością, z jaką wszystko robił, zaopatrzonego w bom ładunkowy, bezanmaszt i brunatny żagielek wielkiego masztu. Mój kormoran był gdzieś tam, zagubiony ze swoją ośmioosobową załogą i siedmiuset koszami, które co dzień należało wyciągnąć, opróżnić, nadziać przynętą i ponownie opuścić do wody na końcu lin długości od czterdziestu do osiemdziesięciu metrów, aż do dna, gdzie kłębiły się ośmiornice i gigantyczne mureny, pośród oceanu wiecznie burzącego się falami, które na tej szerokości globu opływają ziemię i nie natrafiają na przeszkodę mogącą je złamać. Tak to sobie przynajmniej wyobrażałam na podstawie książek napisanych przez żeglarzy tych ponurych wód i jego dziennika pokładowego, przysyłanego mi regularnie.

Podczas długich okresów nieobecności Gawaina kilkakrotnie odwiedziłam Marie-Josée po operacji z mglistym pragnieniem, że odetchnę jakąś jego częstką. Tymczasem przeciwnie, widok żony Lozerecha i jego domu pozwalały mi dokładniej zmierzyć dystans dzielący nas zarówno na morzu, jak i na lądzie. Nie mogłam uwierzyć, że jestem «drugą kobietą» mężczyzny, który zamierzał dożyć swoich lat w tym bezdusznym otoczeniu, spożywać posiłki w kuchni urządzonej w stylu «masywny rustykal», jak z dumą podkreślała Marie-Josée, nie dbająca zupełnie o to, że u rodziców swoich i męża zostawiła prawdziwe meble rustykalne, w jej mniemaniu starocie świadczące o zacofaniu. «Mój» Gawain będzie się kładł pod pikowaną narzutą pokrytą różowym atłasem, obok tej kobiety zawsze zalatującej nieco potem, będzie zasypiał pod własną fotografią ślubną oraz portretami czworga rodziców w owalnych ramach zwieńczonych gałązką bukszpanu, naprzeciwko komody w stylu Ludwika XIV, kupionej z katalogu i na śmierć zapoliturowanej, rozweselanej pięcioma gałązkami paproci ze srebrzonego plastyku i trzema fioletowymi tulipanami w wazonie z rżniętego kryształu.

Dlaczego jednak miałabym szukać punktów wspólnych między Lozerechem i Gawainem? Przecież i ja niewiele mam wspólnego z kobietą, która z duenią depczącą jej po piętach tak wiele razy pędziła na koniec świata w poszukiwaniu owego tajemniczego dreszczu nie bazującego na niczym, co można by wyłożyć w człowieczym języku. Wszyscy mamy swoje fasetki, jak wazon Marie-Josée.

W ciągu pierwszych dwu lat - a zamierzał spędzić tam cztery - Lozerech zarobił chyba więcej niż w całym swoim życiu. Kiedy tylko jego sadze były pełne, płynął do Kapsztadu, gdzie wyladowywał całe tony żywych potworów, wysyłanych następnie do hurtownika w Lorient.

Przestał teraz «żyć» w znaczeniu, jakie się zwykle nadaje temu słowu. Sondował głębiny, pilnował lin, starał się nie zwariować w tym kipiącym morską pianą otoczeniu i

oczekiwał dnia przejścia na emeryturę.

Langusty zmieniły życie jego rodziny. Pozwoliły mu rozbudować dom, wysłać najstarszego syna, doktora chemii, na dwa lata do Stanów. Joel miał własny samochód, 2 CV, przystosowany dla kalek. Jedna córka uczyła w Rennes, druga była stewardesą. Marie-Josée wstawiła sobie na przodzie trzy zęby całe ze złota. W sumie wszyscy mogli dziękować langustom.

Długo wahałam się, czy powiadamiać go o moim małżeństwie z François, ale jeszcze bardziej obawiałam się, że powie mu o tym żona. Wiedziałam, że uzna to za swego rodzaju zdradę, choć on także wybrał oddalenie. Przestał zresztą na jakiś czas pisać do mnie, a ja nie potrafiłam zgadnąć, czy powodem była osobista uraza, czy też poczucie przyzwoitości wobec François, którego bardzo lubił.

Być może ja również z przyzwoitości względem François - chociaż w tej dziedzinie uczuciom takiego rodzaju niezbyt daję posłuch - przyzwyczajałam się do myślenia o Gawainie w czasie przeszłym.

Pewne wydarzenie wszystko na powrót postawiło pod znakiem zapytania: śmierć mojej matki, potrąconej przez furgonetkę. Mama zawsze przechodziła przez jezdnię jak w czasach dylizansu, nie przejmując się czerwonymi światłami i przejściami dla pieszych, władczo podnosząc rękę w geście, który nakazywał stangretom zwolnić. Kierowca zaś nie zdołał zatrzymać swoich koni mechanicznych i jego furgonetka wlokła ją kawałek po jezdni, a kilka dni później mama zmarła z powodu licznych urazów, niesłychanie zgorszona brakiem wychowania dzisiejszych kierowców. Miała sześćdziesiąt osiem lat, końskie zdrowie i zamierzała jeszcze pożyć, tak że zawsze na później odkładałam konieczność przyzwyczajania się do myśli, iż przyjdzie taki dzień, gdy już nie będzie na tej samej co ja planecie. Siedząc przy niej w ostatnich dniach, nieprzytomnej, z przerażeniem uświadamiałam sobie, że już nigdy więcej, aż do końca życia, nie będę mogła wypowiedzieć tych prostych słów: «Halo, mama?» Odchodząc, zabierała ze sobą pierwsze słowo, którego człowiek się uczy, które było podstawą mojego bezpieczeństwa w życiu. Jest to największa, czasem jedyna zdrada ze strony matki, gdy tak odchodzi bez uprzedzenia.

Za każdym razem, gdy François mówił «twoja mama», do oczu napływały mi łzy. Unikałam odtąd tego słowa.

Napisałam do Gawaina, aby go powiadomić o śmierci mojej matki. Z nim mogłam o tym rozmawiać: wystarczająco często targała go niegdyś za uszy, nazywając «małym wisusem», żeby mimo upływu czasu zachował dla niej pewną serdeczność.

Odejście mamy zmusiło mnie do podsumowania moich zasobów: pozostał mi jeszcze

na ziemi jeden człowiek darzący mnie bezwarunkową miłością i oto miałam pozwolić, że jego także stracę nie przeciwdziałając temu w żaden sposób, bo w dniu, kiedy on przejdzie na emeryturę, rozlegnie się podzwonne dla naszych wszelkich wspólnych zamiarów. Nagle nieznosna stała się dla mnie myśl, że teraz i jego zawieszę w mojej galerii wspomnień. Mimo harmonii panującej między François i mną ciągle czułam, iż żywa jest we mnie zwariowana dziewczyna, która pędziła ku wyspie, ku wyspom na końcu świata, by odnaleźć ów «płomień» upodabniający miłość do przeciwieństwa śmierci. I wiedziałam, że matka poparłaby moje pragnienie życia za dwie. Ona również cierpiała na taki wilczy głód życia i nie zgadzała się na straty w żadnej sferze. Niekiedy trzeba umieć być niewiernym wobec innych, aby dochować wierności sobie: była to jedna z jej zasad.

Okoliczności nastęrczały mi okazję wręcz idealną: od dwóch lat jesienią wyjeżdżałam na miesiąc do Quebecu z cyklem wykładów wygłaszanych na uniwersytecie w Montrealu, a w czasie pobytu korzystałam z niewielkiego mieszkanca, gdzie bez problemu mogłam kogoś gościć. Poprzedniego roku byłam tam z Loikiem, który reżyserował dla telewizji i pracował w kanadyjskim radiu. Najtrudniej będzie przekonać Gawaina, natchnąć go odwagą do okłamania żony wiecznie narzekającej i nieufnej - i nie bez kozery. Jest zrozumiałe samo przez się, że marynarz, i tak przecież często nieobecny w domu, urlopy, a tym bardziej emeryturę spędza wyłącznie w domu.

Opisałam mu, jak śmierć matki wpłynęła na bieg moich myśli, i niewątpliwie w trakcie tych wyjaśnień uświadomiłam sobie, że przemożnie pragnę go zobaczyć. Użyłam wszelkich sposobów, aby rozdrapać w nim miłosną ranę. Znałam go teraz wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, gdzie przebić sztyletem jego skorupę i jak obracać ostrze, aż w nim także wszystko zostanie stłumione pragnieniem, by mnie przytulić i raz jeszcze ulec owemu oszołomieniu, które sprawiało, że tracił umiejętność rozróżniania dobra i zła.

To, że może mi być potrzebny w tak ciężkich chwilach, poruszało go do głębi. Nasze listy, początkowo utrzymywane w nostalgicznym tonie, z wolna przeszły na nutę serdeczności i wkrótce, od słowa do słowa, stały się tak namiętne, że wydawało nam się czymś nieludzkim spoglądanie w przyszłość, gdybyśmy sobie nie wygospodarowali w niej jeszcze jednej z owych pozaczasowych chwil, które życiu nas obojga nadały wymiar, jakiego nie udawało nam się określić, choć czuliśmy, że ma znaczenie kapitalne.

Pisanie do siebie z miłości jest samo w sobie rozkoszą zmysłów, wyrafinowaną sztuką. Każdy list, każdy z niewielu telefonów, każde «kocham cię» wydawało mi się zwycięstwem nad potęgą starości i śmierci.

Doprowadzanie Gawaina do pożądanego stopnia erekcji fizycznej i uczuciowej, aby

wydawało mu się, że to on wystąpił z inicjatywą niedalekiego spotkania, było największą przyjemnością. Jemu zaś głębia uczuć, jakimi mnie darzył, zastępowała ostatecznie talent. On, który nie chciał wierzyć w nic ponad obowiązek i godność pracy, pisząc do mnie znajdował słowa poety. Nazywał mnie «swoim oddechem», «swoim życiem», «swoją prawdą».

Pół roku po śmierci mojej matki zdecydowaliśmy, że spotkamy się w Montrealu następnej jesieni, tuż przed jego wyjazdem na kampanię zimową. Nie mógł już jako wybiegu używać konieczności oszczędzania: zarabiał mimo wszystko dosyć, aby bez zbytnich wyrzutów sumienia dobyć z portfela kwotę potrzebną na podróż do Kanady.

Nie przyznając się do tego, zaczynał też obawiać się swojego powrotu do świata ludzi ładu, wiedział bowiem, że w tym świecie marynarz-emeryt nie potrafi nic robić i szybko zamienia się w starca. Ta właśnie obawa obudziła w nim tupet. Okłamał żonę podając jej przyczynę wyjazdu tak nieoczekiwaną, że Marie-Josée wysłuchała z otwartymi ustami: wybierał się «przejechać» po kanadyjskiej Dalekiej Północy na zaproszenie kolegi z Quebecu, którego spotkał w Kapsztadzie! Horrendalną lipę często łatwiej przyjąć niż prawdopodobne, starannie opracowane alibi.

Nasz plan został dopięty na ostatni guzik. Byłam szczęśliwa z François, lecz w moje szczęście wmieszała się odtąd dziecięca radość. Życie znów nabrało romantycznych kolorów i czułam się młodsza o dwadzieścia lat.

Rzecz paradoksalna, ale odkąd Gawain pracował w RPA, bardziej niż przedtem uczestniczyłam w jego codziennych przeżyciach. Nabrał bowiem zwyczaju pisania do mnie kilku słów prawie co wieczór, kiedy już przycumował na noc w jakimś zakątku rafy, gdzie morze się mniej burzyło. Sporządzał swoje sprawozdanie z wydarzeń dnia zawsze, gdy pogoda, normalnie zła, stawała się «znośna», jak ją nazywał, nie mogąc powiedzieć o niej «dobra». I za każdym razem, gdy przybijał do Kapsztadu, posyłał mi pakiecik kratkowanych arkusików.

Z biegiem czasu te notatki z Południowej Afryki stały się osobliwym dokumentem, relacjonującym bez artyzmu, ale też bez sztucznych zabiegów, dni spędzane w piekle tej rafy koralowej, którą Gawain uważał wyłącznie za swoje miejsce pracy, niejako za swoją kopalnię pod gołym niebem. Ta właśnie prostota stanowiła o całej wartości zapisków, kontrast między umiarem w słowach, powściągliwością tonu a gwałtownością żywiołów: samotność, jak się dawało wyczuć, ciężąca brzemieniem, wszechobecne utrudzenie, sztormy przechodzące w chronicznie złą pogodę, rany, a także sceny grozy, kiedy ktoś z załogi musiał w kombinezonie płetwonurka zejść na dno sadzów pośród mrowiących się pancerzy, by wydobyć martwe

langusty mogące skazić resztę ładunku. W wyniku tego powstawał przejmujący tekst, który by się doskonale pomieścił w mojej *Revue de l'Histoire*, a nawet w serii wydawniczej «Terre des Hommes». François, któremu czytałam najlepsze fragmenty, zaproponował mi to, gdy Gawain po raz kolejny wpadł do Francji, on jednak śmiał się tylko, nie chcąc nawet rozważyć równie «cudacznej» myśli.

Kiedy pół roku później zobaczyłam go, jak zwykle na lotnisku, uderzył mnie jego wygląd. Pięćdziesiąt lat tak ciężkiego życia zaczynało odciskać na nim ślad. Lozerech wydał mi się raczej spalony słońcem niż opalony, o twarzy raczej zrytej niż pokrytej zmarszczkami, raczej sztywny niż krzepki. Wciśnięty w skorupę mięśni, upodobił się do langusty. Takie same pozostawały tylko oczy jak żywa woda, bijące odeń wrażenie siły, a także wzruszająca pewność siebie, której dotąd w nim nie znałam - wynik powodzenia materialnego.

To spotkanie przygotowałam z pewną dozą troski, gdyż zupełna beztroska wieku młodzieńczego wydawała mi się już niestosowna. Gawain z czasem stworzył sobie mój wyidealizowany obraz i dorównanie mu uznałam za życiową konieczność. Owszem, chciałam się wyrzec jego miłości, ale nie zamierzałam jej stracić! A kiedy ma się czterdzieści pięć lat, wszystko się na człowieku odbija. Miesiąc wykładów i konferencji wyraźnie nadwreżył mi głowę, zwłaszcza że ten naród drwali umie każdego poddać regularnemu wyrębowi i wycisnąć zeń wszelkie soki. Tutejsi studenci są bardziej żądni wiedzy i dyskusowania niż Francuzi, są też mniej ulegli, bardziej poufali i bardziej wymagający, na modłę amerykańską. Trzeba się naharować, by przypaść im do gustu i wykazać, że warto być ściągany z tak daleka. Stara Europa nie cieszy się już takim prestiżem, aby się sprzedawać bez wysiłku. Ponieważ posiadałam zmysł organizacyjny, z którego François zawsze sobie pokpiwał, postanowiłam wszystko zaplanować niczym lekkoatleta przygotowujący się do olimpiady.

Zasada 1: nie mieć okresu podczas zawodów! Przez sześć tygodni bez przerwy będę zatem brała tabletki antykoncepcyjne.

Zasada 2: zatroszczyć się o pierwszy występ, on warunkuje ciąg dalszy. Zwłaszcza że od strony szlachetnych części ciała sytuacja przedstawiała się nieciekawie. Nieżyt dróg oddechowych złapany w tym surowym kraju, gdzie zima kradnie kawałek jesieni i zabiera część wiosny, uczynił mnie przedwcześnie pięćdziesięciolatką. Uznałam, że trzeba to zrekompensować wesołą fryzurką, mocno zaondulowaną, jak lubi Gawain, pojmujący elegancję inaczej niż redaktorki z *Harper's Bazaar*. Jednakże moje włosy, naelektryzowane w suchym powietrzu i przegrzewanych pomieszczeniach tego kraju, źle zniosły elektrowstrząs zastosowany przez kanadyjskiego mistrza grzebienia. Tutaj salony fryzjerskie, tak samo zresztą jak w Stanach, więcej mają z automatycznych pralni, gdzie w osiemnaście minut

odbywa się ługowanie, wyżymanie i suszenie, niż z błogich miejsc ucieczki, jakimi są francuskie salony piękności. Umywalki mają kształt gilotyny na opak i piją w kark, człowiek dusi się w kryzce z twardego plastyku obejmującej szyję zamiast miękkiego ręcznika, a pomocnica myjąca głowę obchodzi się z tobą jak z koniem czesany zgrzeblem, po czym oddaje cię w ręce artysty natchnionego... ale nie twoją głową, jeśliś przekroczyła czterdziestkę!

Przy myciu moja dręczycielka, którą widziałabym raczej w drużynie wschodniemieckich dyskoboli, wrywając mi kilka dodatkowych garści włosów bez ogródek oświadczyła, że w życiu nie widziała, by komuś tak wypadały.

- To dlatego, że jest jesień - próbowałam się tłumaczyć - zmęczenie...

- Mimo wszystko - przerwała mi - tak się sypią, że to nienormalne.

Słowo «sypią się» postawiło mnie natychmiast wobec widma galopującego łysienia, które byłoby podzwonnym dla mojej kariery kochanki, i noszenia peruki niezbyt pasującej do «igraszek z nóżkami w górę», jak je nazywała duenia. W konsekwencji uległam przystałam na nałożenie mi meksykańskiego balsamu, woniejącego kłozetowym środkiem dezynfekującym, co zbyt późno spostrzegłam, po którym włosy okazały się matowe i miękkie mimo energicznego szczotkowania, jakie zastosował Mario (jeśli nie był to Emilio).

Choć czas mnie gonił - samolot Gawaina miał lądować za dwie godziny - nie odważyłam się odmówić modelowania połączonego z tapirowaniem takim, jakiego we Francji od lat już nie praktykowano, zakończonego usztywnieniem lakierem, który tym razem zalatywał odświeżaczem używanym w taksówkach. Zapewniono mnie, że wszystkie te operacje są niezbędne, aby moja głowa «ciut się powiększyła». Mario (jeśli nie był to Emilio) z politowaniem spoglądał na strefy zagrożone. Jako dwudziestolatka miałam czuprynę Tahitanki sięgającą pasa, próbowałam im wyjaśnić, chcąc się podratować w ich oczach, ale mieli to gdzieś i w ani jedno słowo nie wierzyli. Wiele razy zauważałam, że bliźni nigdy nie wierzą, iż człowiek był kiedyś młody. To znaczy nie naprawdę. Tylko udają, z grzeczności.

Wyrwałam się z przybytku grzebienia mocno spóźniona, za to wyposażona we wspianiałą główkę czterdziestosiedmioletniej laluni. Na szczęście Gawain dostrzeże tylko lalunię, nie jej czterdzieści siedem lat. Jeśli mi szczęście dopisze, to okaże się, że osłabł mu wzrok. Nie mówiąc o tym, że nie uświadczy laluni pośród fal w okolicach 30° szerokości południowej!

W taksówce śmieję się do siebie na myśl, że za niecałą godzinę zobaczę, jak mój kormoran wynurza się na powierzchnię i otwiera skrzydła dla najpiękniejszej kobiety świata. Oczekiwanie na kochankę jest o wiele korzystniejsze dla cery niż witanie męża i czuję, że z

każdym obrotem kół taksówki pięknieją. Niestety, dwugodzinne opóźnienie lotu Paryż-Montreal raz dwa zniweczyło to kruche piękno. W bezlitosnych lustrach dworcowych niebawem widzę już tylko niewiastę ufryzowaną jak owca, o podkrążonych oczach, niezbyt świeżej cerze i bez śladu miłego zadowolenia na twarzy, jeszcze przed chwilą przebiegającego moje żyły i skórę.

Kiedy jednak wreszcie pojawia się Lozerech, wyglądający zawsze na takiego, co waży więcej na ładzie niż inni, i mający jednocześnie w ruchach coś z nieuleczalnego wygnańca, jak wszyscy marynarze, którym morze zbyt długo było ojczyzną, niknie we mnie wszystko, co nie jest ogromną tkliwością. Jego niespokojny wzrok szuka mnie pośród tłumu i rzucam się do niego tak gwałtownie, że od razu kaleczę sobie wargę o ten przekłety wyszczerbiony ząb. Duenia, która uparła się, że będzie mi towarzyszyć do Mirabel, nie zwleka z szyderstwem. - *Masz opryszczkę jak w banku, nim upłyną dwa dni, staruszko!* Nazywa mnie staruszką, odkąd skończyłam czterdzieści pięć lat! Ale teraz nie martwię się już wiekiem ani lustrami; od tej pory będę się przeglądała w oczach Gawaina. Mój wiek? Który? Przecież liczy się tylko ten, kiedy jestem kochana!

Patrzemy na siebie ze wzruszeniem, jak gdybyśmy tym razem rzeczywiście się obawiali, że nigdy nie dojdzie do tego spotkania. To, że omal nie wyrzekliśmy się siebie i raz jeszcze udało nam się odnaleźć - za cenę niebezpiecznych akrobacji z jego strony i skomplikowanych wybiegów z mojej, gdzie najmniejszy fałszywy krok mógł wszystko zepsuć - cieszy nas jak smarkaczy. Życie raz jeszcze wygrało. W oczekiwaniu na bagaż Gawaina trzymamy się z amerykańską za ręce i bez przerwy całujemy się w taksówce, wiozącej nas «do domu». Po raz pierwszy mamy dom z kuchnią, lodówką pełną zapasów, telewizorem, gramofonem, łóżkiem, które trzeba będzie własnoręcznie słać, które jednak natychmiast po przyjeździe rozścielamy, aby się upewnić, że bezmierny pociąg, jaki nasze płcie na siebie wywierały, ciągle nie wygaś.

Ach, pierwsza pieszczota tego mojego chłopca, ileż ja o niej marzyłam! Tak, wszystko jest jak należy, siła i słabość - nierozłączne.

- Pamiętałeś mnie więc wystarczająco dobrze, mój ty kormoranie, żeby przylecieć z tak daleka?

- Chcesz powiedzieć, że za dobrze cię pamiętałem, żeby nie przylecieć.

Trwamy w głębokim dziecięcym przeświadczeniu, że jesteśmy tam, gdzie powinniśmy być. Głaszczę runo porastające jego przedramię, poprząkane już z rzadka siwymi włoskami. On położył dłoń na moim łonie gestem właściciela.

- Mam wrażenie, że teraz już nigdy nie wyleczymy się z tej choroby. Straciłam

nadzieję!

- No i właśnie masz dowód, że to wcale nie choroba. Wprost przeciwnie, to życie, sama mi to tłukłaś do głowy. Nie lubię, kiedy mówisz o tym jako o chorobie.

- Tak to nazywam, bo całkiem przypomina atak gorączki, a między atakami człowiek zawsze myśli, że nawrotu nie będzie.

- Mów do mnie jeszcze. Ja tam wiem, że przepadłem. A do tego wszystkiego nawet mnie to cieszy.

I śmieje się młodzieńczo, jak to on.

Uspokojeni, możemy wejść w sekwencję drugą: «Powrót marynarza». Gawain rozpakowuje walizkę i rozgaszcza się, gdy ja tymczasem rozkoszuję się wykonywaniem gestów nudnych i prostych, ale co do jednego znaczących tego wieczoru: kochaj mnie i dzięki, że mnie kochasz. Nakrywam dla nas do stołu, przynoszę mu whisky (zasmakował jej w Kapsztadzie), podaję obiad, który z rana ugotowałam dla niego. Gram usłużną małżonkę witającą swojego wędrowca przybyłego z dalekich stron, a zarazem szelmę i mimochodem świntuszkę. To podstawa całej sztuki, lecz Gawainowi nie trzeba więcej, by czuł się przekonany, że tego wieczoru je kolację z królową Saby. Smakuję każde jego spojrzenie. Wiem, że nigdy więcej dla nikogo nie będę taką seksbombą, jaką on we mnie widzi.

Przy deserze Gawain wstaje i uroczyście kładzie przed moim talerzem puzderko z czerwonej skóry. Skoro daje mi w prezencie biżuterię, i to prawdziwą, znaczy to, że sytuacja jest poważna.

- No bo co innego jak złoto miałbym ci kupić w Południowej Afryce... prócz chyba jeszcze diamentu? - mówi z uśmiechem uszczęśliwionym i zakłopotanym, kiedy wyjmuję długi złoty łańcuch o grubych, równych ogniwach jak łańcuch kotwiczny. Podoba mi się od pierwszej chwili.

- Wolałbym wybrać dla ciebie coś z kamieniem niż zwykły łańcuch, ale że nigdy nie zrozumiał twoich gustów, to i bałem się, że znów nie wyjdzie. A na samą myśl o minie, jaką robisz za każdym razem, kiedy ci przywożę coś, co masz chęć wywalić do kosza...

- Oooch! Tak to widać?

- Chyba żartujesz! Tu niby się uśmiechasz, o ile można to nazwać uśmiechem, ale oczy masz takie pogardliwe... że pod ziemię by się schować. Człowiek czuje się gorszy niż zero, a najgorsze, to że nie pojmuję czemu! Ostatnio ta skórzana torebka przykładowo: pewnie ci się nie spodobała, bom jej więcej nie widział!

Śmieję się, by nie odpowiadać, nie chcąc się przyznać, że dałam ją mojej konsjerżce - Hiszpance, ponieważ pomarańczowa podszewka ze sztucznego jedwabiu przyprawiała mnie o

gęsią skórkę, a od pozłacanej zapinki z diamentkami dostawałam wysypki.

- Nie rozumiem, jak możesz mnie jeszcze kochać z tymi skomplikowanymi gustami, maniami intelektualistki i całym moim «snobizmem». Całe szczęście, że do tego wszystkiego jestem też maniaczką seksualną, prawda?

- Pokaż, czy jesteś, bo nic nie pamiętam! I założ ten łańcuch, *Karedig*, chcę go zobaczyć na twojej nagiej skórze. W przyszłym roku dostaniesz kotwicę, żebyś więcej nie mogła odejść.

Zapomniałam, czym może być pierwsza noc z piratem, który od miesięcy nie widział kobiety, a przecież życie podarowało nam coś osobliwego: zazналиśmy więcej pierwszych nocy niż dziesiątych! W gruncie rzeczy jeżeli w wieku dwudziestu lat mogłam go zostawić, to dlatego, że myślałam, iż znajdę kochanków tego kalibru. Teraz już wiem, że występują zbyt rzadko, aby można mieć nadzieję na spotkanie dwóch w ciągu jednego życia.

Potrzebowaliśmy całej nocy, żeby się uwolnić od pożądania. Każde wymówione słowo, każdy rozpoczęty gest był już «preorgazmiczny», jak by powiedziała Ellen. Mówiąc słowami pseudopoetyckimi, «wszystko podsycalo nasz żar», nadstawiałam mu nabrzmiałe usta, a on namiętnie ścisnął mnie w ramionach, jak piszą w taki razach pisarze, którzy boją się mówić o tym, co się dzieje poniżej pasa, z rozmysłem ignorując fakt, że seks jest nierozzerwalnie związany z mózgiem!

Ta książka jednak nie kończy się na pasie. Muszę zatem wyznać, że tym, co naprawdę podsycalo nasze palenisko, była... tak, oczywiście, była miłość. Dobrze, ale cóż ciekawego jest w słowach: «Pokochał mnie»? W rzeczywistości tym, co mnie tamtej nocy wprawiało w uniesienie, był dosłownie kciuk Gawaina wsunięty w moją *macierzynę*, podczas gdy jego palec środkowy nekłał *podzogę* Wenery, a druga dłoń głaaskała moje *przedpola*, tymczasem zaś jego *drygant*, jego *kuś*, jego *bindasz* twardniał i szarpał głową za każdym udanym dotknięciem moich rąk lub ust (te poetyczne nazwy pochodzące ze średniowiecza zostały użyte z rozmysłem, by nie zaalarmować dueni, która z wiekiem staje się wręcz ohydna).

Czy powinnam żałować, że nie mam do opisanie nic nowocześniejszego, swobodniejszego, zuchwalszego? Czy powinnam ubolewać, że ograniczyliśmy się do takich bardzo prymitywnych chwytów, co przyznaję? Wiem przecież, iż autor powieści erotycznej zasługujący na to miano musi przynajmniej ukazać swojego bohatera, jak przygląda się wypróżnianiu partnera czy partnerki, a zaspokaja się - jak to oni z wdziękiem nazywają - jedynie pod warunkiem, że ona została w czarnym pasku do pończoch albo że on nasikał na jej twarz. Takie infantylne i nieprzyzwoite praktyki podobno gwarantują królewską rozkosz. No cóż, myśmy zaznali rozkoszy ledwie włóczęgowskich, lecz wystarczyły, żeby nam się

dusze rozśpiewały. Poza tym pogodziły mnie z moją płcią i uwolniły od zjadliwej grupy pisarzy, których przez tak długi czas miałam obowiązek, jak mi się zdawało, cenić za przykładem Sydneya i jego przyjaciół. I właśnie Gawain, który nic ich autorstwa nie czytał, uczynił mnie obojętną na ich nienawistne i wzgardliwe dyskursy. Gawain, uwolniłeś mnie nawet od Freuda, choć ledwie znasz jego nazwisko!

W tych nie kończących się turniejach nie ma wygrywającego ani pokonanego. Nie wiem, kto kogo prowadzi i często bronię się przed zarzutem, że jestem stroną wciąż się dopominającą; wystarczy jednak musnąć kontakt, a pomykam tak szybko, że stale się sprzecząmy o to, kto właściwie zaczął.

- Udawałeś, że śpisz, ale jeżyłeś się za moimi plecami! Wyraźnie to czułam, ty paskudniku!

- Kłamczucha! To ty zaczęłaś wiercić pośladkami akurat wtedy, jak miałem zasypiać!

Wreszcie nad ranem jesteśmy na dobre rozłożeni, a ja zanoszę milcząco podziękowania, trzymając w zaciśniętej dłoni jego ptaszka jeszcze nabrzmiałego. Gawain zasnął jak zwykle w pół słowa i słodki ptaszek omdlał. Po przebudzeniu w stulonej dłoni mam jakąś miękką frytkę zapomnianą na dnie miski.

Nazajutrz w jaskrawym świetle kanadyjskiego przedzimia wszystko, co czarowne także przypomina nieświeże frytki. Gawaina boli głowa, co jest wynikiem zmiany czasu. Mnie też boli, winna jest pewnie wódka. - *Bzdura, rzeczy duenia, to uroki pięćdziesiątki. Popatrz tylko na swoją apteczkę, ona nie oszukuje. Miłość ze środkami przeciwbólowymi pomiędzy opaskami na kolano, środkami estrogennymi i przeczyszczającymi, że nie wspomnę o skurczu łydki w szczytowej chwili, oto starość, sama zobaczysz. - Zamknij się, stara wrono. - A zauważyłaś, że on stęka za każdym razem, gdy się podnosi z głębokiego fotela? I zwracam ci uwagę, że ten twój często ziewa, na pewno ma zgagę. Zażywa zresztą gelusil. Nie powinnaś go namawiać do picia. A zwróciłaś uwagę na jego szyję? Marszczy się. - A co powiesz o swojej siostrze? - No właśnie, przyjrzyj się tylko swoim rękoma, zdradzają twój wiek. - Nie mój wiek, tylko swój. - À propos wieku, twoje libido staje się ostatnio paskudne, moja droga, i zastanawiam się, czy te wszystkie hormony, które wam dzisiaj przepisują... - Mój hormon nazywa się kocham cię. Trzeba mi mówić, że jestem przemilą osobą. I to z takim przekonaniem, że w końcu w to wierzę, i już! - Ha ha ha! Cóż, skoro on jest na tyle głupi, żeby cię uważać za przemilą, to korzystaj, bo więcej takiego faceta nie znajdziesz. - Wcale nie szukam. - Zawsze się szuka, moje dziecko. Pozwól, że wspomnę o jeszcze jednym drobiazgu, ciągnie bezlitośnie duenia. On stracił ząb i tym razem nie w walce jak poprzedni. Brak jednego zęba może nasuwać skojarzenia z korsarzem, ale brak dwóch kojarzy się już z*

dziadkiem! Ty nie chcesz niczego widzieć, lecz ja mam dobre oko.

To prawda, że długa rozłąka sprawia, iż człowiek daje się ponieść marzeniom. Zaczyna w końcu kochać niezupełnie rzeczywistą osobę, której wizerunek kreśli pożądanie. Słowo pisane jest podstępne. Miłość korespondencyjna lubi wprowadzać w błąd. W listach oszczędzamy sobie nieznaczących usterek cielesnych mogących zniszczyć najwyższe uczucia. Listownie nigdy się nie czka. W listach nie słychać, jak chrzęszczą stawy. A mężczyzna, zwłaszcza gdy żyje w męskim otoczeniu, nie myśli o ukrywaniu drobnych mankamentów związanych z wiekiem.

Rzecz zadziwiająca jednak: te oznaki budzą we mnie tylko współczucie. Czuję nawrót tkliwości, gdy jego twarz o rozmiękczonych rysach, wykrzywiona pożądaniem, pochyła się nade mną z wywieszonym językiem połyskującym w półmroku w otwartych ustach.

- Całkiem jak język zdychającego zółwia, zauważa duenia. - Namiętność zniekształca rysy, to rzecz powszechnie wiadoma, mówię. - Młodym mężczyznom nie zniekształca. I za pięć, sześć lat... jeśli będziesz jeszcze zdolna do miłości fizycznej... będziesz musiała pomyśleć o tym, żebyś kochając się nie była na wierzchu. Bo w tej pozycji ciało obwisa. No, chyba że po ciemku... W podeszłym wieku coraz rzadziej można sobie pozwalać na miłość w pełnym świetle albo na paradowanie nago po pokoju. Popatrz zresztą na niego, jak chodzi: wstaje niczego nie podejrzewając, biedaczysko! Nie wie, że jego pośladki straciły jędrność... Jest jeszcze piękny, zgoda, ale teraz to już «podstarzały amant»!

Być może, lecz nadal ma umięśnione, nie tknięte zębem czasu uda, które wyrastają z jego korpusu niczym dwa konary drzewa. I kocham jego szerokie ramiona nie przygarbione wiekiem, i plecy pokryte jak u dziecka piegami, nieugięte jak i jego charakter. I lubię przymrużyć powieki, aż widzę tylko roześmiane, czułe szparki jego oczu, dwóch kropli morza, albo też zamknąć się w sobie, kiedy i on się we mnie znajduje, i wsłuchiwać się w swoje doznania, których nie dopadła ani jedna zmarszczka.

I gwizdzę na to, że nie ma już pośladków jak toreador, duenio, ty zwiastunie nieszczęścia, toreadorzy niekoniecznie mają taką jak on dzidę, dzidę precudną, czy jest twarda niby kość, czy też miękka niby miąższ chleba, dzidę potrafiącą nabrzmieć i niestrudzoną, i w kolorze skóry, i zuchwałą, i zawsze gotową do dzieła, i krągłą niczym wygładzone od częstego używania stylisko łopaty, i nigdy nie pomarszczoną, nawet kiedy omdlewa. I toreadorzy niekoniecznie mają takie jak on jąderka, zawsze chłodne i mocno przyczepione w pachwinie.

Jako dwudziestolatka zupełnie poważnie myślałam, że nie jestem stworzona dla takich gabarytów. Ani do takiego tempa. Ze spotkań z Gawainem wynurzałam się z obolałymi

«tymi» okolicami ciała i na nogach wygiętych jak u kawalerzysty. Wystarczał mi delikatny korzonek Jeana-Christophe'a albo giętka żyła Sydneya i ich umiarkowane dziobanie. Tak, tak, moja pani, mam za swoje, gdy mija pierwszy szok. Mocniejszy zawsze górą. I dopóki nie poznało się wystarczającej liczby ludzi, mężczyzn czy kobiet, dopóty nie wiadomo, gdzie jest kres w miłości. Drzemią w nas istoty nieznanne i wiele z nich nigdy się nie przebudzi.

Korzystną stroną miłości do kormorana jest to, że nie trzeba się przejmować tym, co wypada. Lozerech nie wyczuwa śmieszności, a przynajmniej nie tam, gdzie ja ją czuję. Za to ma poczucie godności własnej, a to całkiem co innego. Koleżanka, która mi pożycza mieszkanie, zostawiła tu kolekcję starych płyt z nagraniami jazzowymi i dawnych melodii, tak że kiedy jemy we dwójkę kolację w domu, nie mogę się oprzeć chęci przetańczenia z moim kapitanem w pozycji «cheek to cheek» wszystkich «sentimental journeys» z mojej młodości. Staję się jego «Paper Doll», jego «Georgia on his mind», on jest «under my skin» i razem pieścimy nasze tęsknoty - *jak dwoje starych durniów, mówi duenia* - albo jak dwoje młodych durniów, czy powiedzmy po prostu: dwoje durniów, którzy mają tę właściwość, że razem niewiarygodnie durnieją. W regularnych odstępach czasu Gawain przybliży wargi do moich ust i długo się przy nich namiętnie zatrzymuje, jakby ich w życiu nie widział.

- To nienormalne, żeby tak lubić całowanie, Lozerech. Założę się, że matka pozwalała ci ssać pierś przynajmniej do siedmiu lat!

- Nie tyle to lubię, ile to najlepszy sposób, żeby cię doprowadzić do tego, co chcę!

Śmiejemy się głupio... Obejmuję go mocniej. Wolę nie myśleć o tym, jak razem wyglądamy. Gdyby tak Loïc, gdyby Frédérique obserwowali nas przez szybę? Tylko mój drogi François nie wydałby osądu. Ale czemuż ja myślę o swoim wyglądzie? Mam urlop od wyglądu i nie cofam się przed niczym: palące się z trzaskiem polana, na stole świece, których coraz częściej używam do celów, jakie Gawainowi nawet na myśl nie przyjdą, a potem przed żarzącymi się główniami miłość na skórze renifera. I owszem, pozwalam sobie na wszystko, czego ludzie nie śmiały robić w naszym wieku, na wszystko, czego nigdy nie ośmieliłam się zrobić w moim zblazowanym środowisku.

Mam wygłosić jeszcze jeden wykład na uniwersyteckim wydziale Women Studies na temat: «Właściwe miejsce kobiety w historii i sztuce». Daremnie użyłam paru podstępów, by zniechęcić Gawaina do wysłuchania go, ponieważ jego obecność sparaliżuje mnie. Na próżno jednak zabroniłam mu siadać w pierwszych rzędach, zaraz go zauważam z łokciami wspartymi na kolanach, żeby lepiej wszystko zrozumieć, z miną najlepszego ucznia ze szkoły w Morbihan. Nie ma w sobie nic z beztroski wykładowców czy afektowanej nonszalancji studentek, stanowiących osiemdziesiąt procent mojego audytorium.

Mimo woli zwracam uwagę na słownictwo: chcę go zadziwić, ale nie zanadto! Niechaj jakieś wyobrażenie o niesprawiedliwości uczynionej kobietom dotrze do leżącej odłogiem strefy mózgu, gdzie drzemią jego pojęcia ogólne, lecz bez uczulania go na walkę płci. Argumenty, jakich by mógł użyć, z góry we mnie budzą niesmak. Pod tym względem Gawain całkiem uczciwie jest na etapie rozumowania znanego w kulturze Cro-Magnon: «Nigdy nie było kobiet wśród wielkich malarzy, muzyków albo uczonych. To chyba coś mówi, nie?» I ludzie z Cro-Magnon patrzą wtedy tak na człowieka, jakby mu właśnie przyłożyli tęgą maczugą! Nie mając odwagi, by porwać się na taką bezdenną głupotę, wolę trzymać Gawaina z dala od tych problemów. Jedyne, na co liczę, to że zasieję mu w głowie odrobinę niepokoju - och! naprawdę przelotnego!

Spotykam go potem przy wyjściu wruszonego nie ideami, które raz dwa przeleciały, niesione przez tajemnicze nazwiska i nie znane mu słowa, lecz oklaskami wielokrotnie wybuchającymi podczas wykładu, widoczną aprobatą słuchaczy, a także śmiechem. Słowem, wruszonego moim sukcesem. Naprawdę kocha tylko człowiek, wobec którego można pokazać swoją wyższość nie raniąc jego miłości własnej i nie budząc urazy.

Szybciotko odbębniamy skromny poczęstunek, obowiązkowy na uniwersytetach, i odrzuciwszy wszystkie zaproszenia, uciekamy na kolację we dwoje, postanowiłam bowiem tego wieczoru zaprosić Gawaina do jednej z najlepszych restauracji w Montrealu.

Kiedy ludzie się kochają, wszystko wydaje się perskim okiem przeznaczenia albo zbiegiem okoliczności: na powitanie w restauracji słyszymy piosenkę Feliksa Leclerca, bardzo starą piosenkę, którą niegdyś śpiewał Gawain. Taki sam głęboki, dźwięczny głos obydwu czyni wruszającymi każde słowa.

- Znowu ulegnę twojemu urokowi, jak na weselu Yvonne, pamiętasz?

Gawain uśmiecha się z zadowoleniem. Lubi się popisywać swoim głosem i chętnie go wykorzystuje. Wokół nas powietrze jest aż gęste od smakowitych zapachów, harmonijnie łączących się aromatów pieczonych homarów, estragonu, goździków, czosnku, pary płonącego koniaku, które razem tworzą specyficzną woń dobrych restauracji. Marzy się o nich w samotne zimowe wieczory, gdy człowiek siedzi w kuchni przy wystygłych kluskach, marzy się, by serwowane tam ortolany zjeść z najdroższą osobą i potem - co jest nader prawdopodobne - kochać się z nią, czując na ustach smak malin...

Kiedy przeglądamy kartę, jedząc już oczami, przychodzi mi naraz myśl o Marie-Josée, o niesprawiedliwości, która sprawiła, że nigdy nie skosztowała grzanki z kawiozem pod nieopisanym spojrzeniem zakochanego mężczyzny. O Marie-Josée, która nigdy dla nikogo nie była seksbombą. O tym mężczyźnie, będącym jej mężem, lecz rozpalającym się tylko dla

mnie, choć go do swojego życia nie wpuściłam. Czy od dnia ślubu miała przynajmniej czas, by sobie przypomnieć, że on jest piękny? A może potulnie dołączyła do uległego stadka małżeńskich służebnic, co masują stopy męża, aby go poniosły do innej; co nacierają mu włosy szamponem leczniczym, aby potrząsał czupryną nad poduszką innej; co smażą mu półkilowe steki, aby miał siłę kochać się pięć razy pod rząd z kochanką...

Czy z nią kochał się pięć razy w ciągu jednej nocy? Cóż ja o tym w końcu mogę wiedzieć? Alkowsy skrywają więcej sekretów, niż dopuszcza nasza zazdrość.

Nie zadaję tego rodzaju pytań Lozerechowi. Wspominamy Marie-Josée tylko kiedy to niezbędne, jego zdaniem zaś rzeczą bardzo niesmaczną byłoby wyjawienie mi, co ona jeszcze dla niego znaczy. Gdy jesteśmy razem, każde woli zapomnieć o swoim życiu i stać się kimś, kto niewiele ma wspólnego z osobą, jaką znają nasi bliscy.

- Byłabym na przykład zakłopotana, gdyby François poznał moich kolegów z Quebecu, którzy znają mnie tylko jako dziewczynę zakochaną w Gawainie, trzymającą go za rękę na ulicy, wybuchającą bez ustanku śmiechem, choć on wcale nie jest dowcipny, ciesząc się po prostu tym, że żyje i że może udawać kogoś innego. Nawet mój sen przy nim jest inny.

Z wiekiem w człowieku rośnie tendencja do zduszania w sobie dawnej osobowości pod tą, którą uważa za prawdziwą. Lecz w rzeczywistości obie istnieją równocześnie, czekając tylko na jeden zachęcający gest, na stosowną okazję, by w pełnym świetle ukazać się w całej swojej zuchwałej świeżości.

W Montrealu żyjemy niemal jak małżeństwo, bo udało mi się wreszcie poznać Gawaina z moimi przyjaciółmi. W sposób całkiem naturalny znajduje miejsce w społeczności Quebecu, gdzie ludzie są mu podobni, bliscy jeszcze roli, i mówią językiem, który on rozumie instynktownie, nawet jeśli zamiast «jasny gwint» używają słowa «krucyfiks». Czuje się swobodnie słysząc, jak wypowiedzi wszystkich znaczy akcent jeszcze silniejszy niż jego. Nie jesteśmy już teraz tylko ukrywającymi się kochankami, ale stadłem jak inne, chodzącym do teatru, na koncert, zapraszającym przyjaciół na kolację. Gawain tak dobrze wszedł w skórę męża, że w kinie, gdzie idziemy po raz pierwszy w życiu razem, odstawił mi numer pana i władcy!

Historia banalna: ledwie pogasły światła, mój sąsiad z prawej, towarzyszący szpakowatej małżonce, zaczął się dłonią coraz to precyzyjniejszą dobierać najpierw do mojego biodra, a potem do uda. Mija trochę czasu, nim się orientuję, że chodzi o obmacywanie, ale natarczywy ucisk ręki rozwiewa niebawem resztki wątpliwości. Zdecydowanym ruchem zakładam prawą nogę na lewą.

Po pięciu minutach, których mu potrzeba, by się do mnie przysunąć bez zwracania

uwagi żony, facet znowu zabiera się do dzieła. Kulę kończyny na resztkę wolnego miejsca, jak zawsze w takich razach marząc, że popamięta na wieki, gdy zwyzywam go od najgorszych słowami... jakich nigdy nie udało mi się znaleźć. Wmawiam sobie, iż moje milczenie ma na celu jedynie oszczędzenie ślepej małżonki siedzącej u jego boku i dopiero kiedy czuję się spłaszczona jak deska, znajduję odwagę, by zareagować. Łapię postawioną na podłodze torebkę i gwałtownym ruchem wciskam ją między nasze fotele, przygniatając mu rękę, którą spiesznie cofa. Potem już ani drgnie, Gawain również niczego nie zauważył; siedzi wpatrzony w ekran, skupiony w kinie tak samo jak wszędzie indziej.

Gdy w zapalających się światłach rozmywa się twarz Woody'ego Allena, facet szybko się podnosi i popycha żonę do wyjścia. Przyglądam mu się ukradkiem: kompletne zero! Nijaki, bezbarwny i w nieokreślonym wieku, nawet nie wygląda na świntucha. Szepczę do Gawaina: «Popatrz na tego gościa przed nami, coś ci o nim potem opowiem».

Instynktownie obawiałam się jego reakcji, ale i tak go nie doceniałam. Kiedy opowiadam mu to banalne zdarzenie, purpurowieje ze złości. Całe szczęście, że «ten wredny typ» zniknął, inaczej «już ja bym go urządził»... «Więcej by czegoś takiego nie zrobił, gwarantuję... Stary wieprz... Parszywy branzel... *Kol bouët...*» sypią się wyzwiska po bretońsku i francusku.

Nie mieści mu się w głowie, że nie zwróciłam się do niego natychmiast o pomoc, tak samo jak mnie się nie mieści w głowie, że on uważa się za pana mojego honoru. Nie udaje mi się wytłumaczyć mu, że to nie on jest znieważony, kiedy ktoś mnie obmacuje, i że gdybym mu się poskarżyła, znaczyłoby to, iż godzę się na status przedmiotu między dwoma rywalami. Słucha, co mówię, lecz gniew zaćmiewa mu wzrok i nie pozwala iść za tokiem mojego myślenia. Czuję się w położeniu westernowej klaczy, którą koniokrad usiłował złapać na lasso! A mój biedny kowboj jest przekonany, że dał mi dowód swojej miłości i teraz patrzmy na siebie z dwóch brzegów przepaści.

W końcu przerzucam między nami kładkę udając, że rozczuła mnie jego zazdrość. Lecz brak zrozumienia w sprawie tak zasadniczej w obojgu nas budzi uczucie przykrości. Wracamy do domu, on upokorzony, ja przybita.

Potrzeba stosownego czasu i odpowiednich mężczyzn, nim człowiek się dowie, co odpowiada najmroczniejszej części jego jestestwa. I wtedy się odczuwa, iż to, co nam odpowiada, nie jest tym, z czym da się żyć.

W Montrealu bowiem mam okazję poznać Lozerecha *au naturel*, takiego, jaki jest na co dzień. To mężczyzna, który krojąc wiejski chleb, opiera go na piersi; który co rano, kiedy przynoszą gazetę, powtarza: «Całkiem nie rozumiem, czemu się tak rzucasz na gazety» i

jeszcze sądząc, że jest dowcipny, dodaje: «Za dwa dni zestarzeją się te twoje „nowiny”!» Co drugi dzień wygłasza jako wskazówkę dla mnie, że «ziemia nie przestanie się kręcić beze mnie». Mężczyzna, który jest za karą śmierci a przeciwko «komfortowym więzieniom» («lepiej by się zajęli starcami!»). Który uważa, że muzyka to ludowe przyspiewki w stylu «Les moines de Saint-Bernard» albo «Gentille Alouette», zawozone chórem w kanadyjskim lokalu w piwnicy ozdobionej przymocowaną do muru stażenną drabiną z sianem. Mężczyzna, którego dziwi, że nie znam «Sombros et mantilles» albo «Prosper, Yop la Boum», wygrzebanych z pudła ze starymi singlami mojej przyjaciółki. Mój ty biedaku! Przecież dlatego, że znam Arystotelesa, nie wiem, kim jest Rina Ketty. To wreszcie mężczyzna, który zapytany o Republikę Południowej Afryki, kopalnie diamentów czy apartheid, nie umie mi odpowiedzieć, bo nic specjalnego nie zauważył, marynarze bowiem z samozaparciem podróżują przez całe życie, nigdy nie poznając krajów, gdzie przybijają. Oglądają jedynie porty od zaplecza, takie same od Singapuru po Bilbao.

Nie zawsze potrafię ukryć to, że nie zgadzam się z jego teoriami politycznymi albo irytację wobec jego luk w wykształceniu. Ucina wtedy wszelką dyskusję, obraża się i oczy mu ciemnieją, aż dziwię się czasem, że nadal mnie kocha. Jedyne jakiś czar lub przekleństwo musi go przy mnie trzymać. Co prawda są takie godziny, kiedy nikczemnie czynię wszelkie starania, aby to trwało.

- W sumie twoim ideałem byłoby: «pieprz i milcz», podsumowuje duenia, która postanowiła i tym razem zatruć mi przyjemność. - Bądź łaskawa się zamknąć, dobrze? - Prawda w oczy kole, moja mała. Ale ty, jak tylko dasz się dosiąść...

Ja tę starą stłukę na kwaśne jabłko, skopię ją, zdepczę... Bo rzecz osobliwa, ale nie znoszę, żeby «mnie dosiadano». Można mnie szturchać, kopcić, obracać, zażywać, ale nie dosiadać. Bywają takie wyrażenia, ani najgorsze, ani najbardziej obelżywe, które doprowadzają człowieka do białej gorączki.

- Ty wstrętny babsztylu! Wyobraź sobie, że mam chęć zadźgać cię na amen! Śmieje się niedowierzająco. Wie, że nigdy nie uda mi się jej pozbyć. Ale tego wieczoru, widząc coraz bardziej nieprzytomny wzrok Gawaina w miarę, jak zbliża się godzina rozstania, czuję wstyd, że toleruję obecność tej złośliwej istoty i że tak długo znosiłam jej kazania. Najwyższy czas, aby się jej pozbyć. Za chwilę, w ogniu miłości, zgładzę duenię na twoją cześć, mój kormoranie.

Tymczasem, przytuleni do siebie na kanapie przed porozumiewawczo mrugającym do nas ogniem, ranimy sobie serca samotniczym głosem Leonarda Cohena, pasującym do naszego nastroju. *Karedig...* a gdybyśmy się byli pobrali?... I gdybyś wracał co wieczór do

domu, mój kormoranie?... I gdybyśmy się razem co rano budzili?... Wiem, że z rozczulenia mówię nie to, co myślę - albo nie całkiem tak myślę, albo tylko myślę przez króciutką chwilę. Dobrze nam to jednak robi, a cóż innego począć, jeśli nie marzyć, by uniknąć wszystkiego, co mogłoby przypominać obietnicę na przyszłość? Przyszłość, na szczęście, nigdy nie jest natychmiast. Nauczyliśmy się żyć bez niej. Zadowala nas świadomość, że następnej jesieni Gawain znów przyjedzie do Montrealu.

Nie mamy ochoty tego wieczoru tańczyć ani kochać się, po prostu chcemy być razem nic nie robiąc, jak gdybyśmy mieli życie przed sobą. Nie wiem już, który wiersz Cohena rozdzierał nam tej nocy dusze, «Let's be married one more time» czy «I cannot follow you, my love», kiedy to się zaczęło. Pamiętam tylko, że stałam przy oknie oparta o Gawaina i że patrzyliśmy na pierwsze jesienne płatki śniegu wirujące za szybą. Nasze twarze dotykały się, lecz nie w pocałunku. I naraz znaleźliśmy się gdzie indziej. Oderwaliśmy się od ziemi. Skóra przestała nas ograniczać, nie było już płci żeńskiej i męskiej, czuliśmy, że jesteśmy poza ciałem, raczej nieco ponad nim, leciuteńko się kołysząc, dusza w duszę, w nieokreślonym czasie.

Usłyszałam, jak Gawain głosem nie do poznania zmienionym szepcze: «Tylko nic nie mów...» Nie byłam jednak w stanie cokolwiek powiedzieć, bo i cóż by można mówić? Każda mijająca sekunda była wiecznością.

Pierwsza wróciła muzyka, stopniowo, bardzo powoli dotarła do naszych uszu. Później wokół nas pojawił się pokój, znów poczułam obejmujące mnie ramiona mężczyzny, jego ciepło, zapach, i wolniutko zeszliśmy z powrotem w swoje ciała, które ponownie jęły oddychać. Ale jeszcze trwało w nas wrażenie kruchości, baliśmy się każdego ruchu, każdego słowa. Położyliśmy się więc na reniferowej skórze i zasnęliśmy głęboko, mocno do siebie przytuleni. Wiedzieliśmy, że trzeba co najmniej jednej nocy i pół obrotu Ziemi, aby każde z nas stało się na powrót w pełni sobą.

Dni ostatnie tyle razy przeżywaliśmy, że ja również ich już nie znoszę. Wydaje mi się, że nasze dzieje składają się tylko z dni pierwszych i ostatnich, a środka brak! To mina człowieka śmiertelnie ranionego, którą przybiera Gawain, to, że nie może mieć w ostatnią noc wzrodu, co go wprawia w szal, i zdenerwowanie, jakie go ogarnia, kiedy nadchodzi pora odjazdu... Już dwanaście godzin przedtem nie ma go przy mnie. Nie czyta pisma trzymanego w dłoniach, nie słucha płyty własnoręcznie założonej na gramofon ani tego, co doń mówię. Kilkakrotnie oznajmia, że musi jeszcze zamknąć walizkę i będzie gotowy, potem informuje mnie, że zamyka walizkę, bo już czas; i wreszcie oświadcza, że walizka jest zamknięta i on

gotów do odjazdu. Wtedy pozostaje mu tylko usiąść blisko drzwi i czekać na nieuchronną chwilę, kiedy się podniesie, by sprawdzić, czy walizka na pewno jest dobrze zamknięta, nie zapominając o rzemieniu dodatkowo ją opasującym, maksymalnie ściągniętym, jak gdyby miały się do niej dobierać dzikie bestie.

Przypatrując mu się z natężeniem, by wbić sobie w pamięć widok tej kochanej kędzierzawej głowy, krzaczastych brwi, rzęs jak u lalki i ust amerykańskiego aktora, odkrywam naraz, że jest zmęczony. Od dwóch tygodni przebywałam zbyt blisko niego, by uważnie nań popatrzeć. Jego oczy były coraz mocniej podkrążone w miarę, jak moje coraz jaśniej błyszczały i jak czułam w żyłach strumień hormonu rozkoszy, endorfiny, jak by powiedziała duenia, gdyby mogła jeszcze mówić. Albowiem w przeciwieństwie do tego, co się zwykle twierdzi, stroną oddającą się w miłości jest mężczyzna. To on daje swoje soki i energię, kobieta zaś rozkwita. W dodatku ja wrócę zaspokojona do miłego życia, czekającego na mnie mężczyzny i zawodu, który nie zabiera mi zdrowia, podczas gdy dla niego jedyną perspektywą jest samotność, ta jego galera i langusty.

Dopiero kiedy wszczynamy miłosną procedurę, zapominam, w jakim stopniu należymy do dwóch odrębnych gatunków. Przez długi czas w młodości myślałam, że kochać się, znaczy złąć się w jedno. I to nie tylko podczas krótkiego, banalnego połączenia cielesnego ani nawet w czasie mistycznego orgazmu. Teraz tak nie uważam. Wydaje mi się dzisiaj, że kochać, znaczy pozostawać każde sobą, aż do bólu. Lozerech nie jest, nigdy nie będzie podobny do mnie. Ale być może to właśnie stanowi podstawę naszej namiętności.

Zobaczyć Montreal i umrzeć

Człowiek nie starzeje się codziennie po trochu, lecz skokowo. Bywa, że przez długi czas parkuje na tym samym podeście, już myśli, że o nim zapomniano, aż tu znienacka przybywa mu dziesięć lat.

W starości jest jednak swego rodzaju młodość, starość potrzebuje trochę czasu, aby się na dobre rozgościć. Porzuca nas i znowu wraca z paskudną bezceremonialnością. Zdarza się, że w ciągu tego samego dnia czujemy się jeszcze bardzo dobrze i już bardzo źle!

Tak samo jest w młodości, różne rzeczy zaczynają się nam przytrafiać po raz pierwszy: pierwsze strzykanie w kolanie, gdy idziemy po schodach... Pierwszy raz w życiu cofa się dziąsło przy zębie dotąd idealnie zdrowym... Trudno by powiedzieć dokładnie, kiedy się to stało, i oto naraz mamy żółtawą obwódkę na nasadzie zęba, pewnego ranka stawy są jak zardzewiałe... Przemęczyłam się widać wczoraj przy sprzątaniu strychu, myślimy. Ale nie, wcale nie zmęczyłyśmy się bardziej niż zwykle. Po prostu my nie jesteśmy jak zwykle. Poszerzył się obszar zmęczenia i teraz już będzie z każdym dniem wciąż rósł. Wchodzimy w wiek starości.

Początkowo stawiamy jej czoło. Wygrywamy kilka potyczek, udaje się nam opóźnić inwazję za pomocą sztuczek coraz bardziej skomplikowanych i kosztownych. Jeszcze nie nadeszła pora, gdy tyle samo czasu będziemy poświęcać na łatanie wyłomów i życie.

Dostałam przywileju, jakim jest możliwość spoglądania bez lęku na pierwsze objawy szkód na własnym ciele, ponieważ ktoś mnie kochał. Poklepywałam się po brzuchu nieco wydętym i nie tak umięśnionym, ponieważ ktoś mnie kochał. Zrezygnowana spoglądałam na stopniowe flaczenie moich ramion, ponieważ ktoś mnie kochał. Wiotczenie twarzy, pogłębiające się kurze łapki... No tak, bardzo to dotkliwe, ale ktoś mnie kocha. Nie przejmę się żadnym uszczerbkiem fizycznym tak długo, jak długo Gawain będzie mnie pragnął.

Naturalnie François kocha mnie, lecz nie mam pewności co do jego opinii o moim

wyglądzie zewnętrznym, albowiem on nie zauważa żadnych zmian. Należy do mężczyzn, którzy proponują kobiecie, że zrobią jej zdjęcie akurat w dniu, gdy wstała lewą nogą i skwaszona, z włosami uparcie nie słuchającymi grzebienia, wyjątkowo blada, paraduje w szlafroku zgruchmanionym, co w przypadku tej części garderoby bywa częste, kiedy nie ma się już trzydziestu lat, szlafrok zaś liczy sobie powyżej trzech miesięcy. A stwierdzenie «ależ jak zwykle świetnie wyglądasz» zasiewa nieufność wobec wszystkich komplementów przeszłych i przyszłych.

Gawain nie jest «miły», on jest porażony moimi wdziękami... Mając pięćdziesiąt pięć lat, obdarza mnie namiętnością jak nigdy, co mam okazję osobiście stwierdzić dwa razy w roku. Québec bowiem w ciągu kilku lat stał się jakby naszym drugim krajem. Nadal spędzałam tam co roku cudowny październik, którym Kanadyjczycy tak się szczycą z powodu purpurowych klonów i feerii płomiennych barw, zanim nastanie zimowa biel. Gawain każdej jesieni przyjeżdżał do mnie, na jak długo tylko mógł, wiosną zaś przeznaczaliśmy dla siebie po kilka dni we Francji. W sumie spędzaliśmy razem zrównania dnia z nocą, trochę jak owe syreny z baśni Północy, co roku wracające na kilka tygodni na ziemię, by kochać wtedy jakiegoś śmiertelnika. I czekaliśmy na gilotynę emerytury, która miała u boku chorej żony w Larmor definitywnie osiedlić tę siłę natury i posłać ją na zieloną łączkę.

François znał tylko połowę prawdy. Wiedział, że czasem Lozerech przyjeżdża do mnie do Montrealu, lecz wolał nie pytać, ile czasu spędzamy razem. Zgodnie z cichą umową Gawain cieszył się jakby przywilejem pierwszeństwa, który miał trwać tak długo jak on. Jeśli zaś idzie o spotkania marcowe, to zawsze jakoś to zgrywałam z reportażem, a François udawał, że mi wierzy. Z tego powodu nasz związek chwilami owiewany był smutkiem, ale nigdy zatruty. Wyrozumiałość i wspaniałomyślność mojego towarzysza życia w dziedzinie, gdzie tak niewielu współmałżonków potrafi powściągnąć uczucia, napełniały mnie wdzięcznością i szacunkiem.

Nasz ostatni pobyt w Kanadzie przedłużyliśmy o tydzień w mieście Québec, by zobaczyć Zatokę Jamesa oraz odlot łabędzi i gęsi, kiedy ptaki, niczym szczury, opuszczają okręt tuż przed tym, zanim na pół roku zatonie pod śnieżną pokrywą.

Gawain również zaczynał wkraczać w okres zimowy. Miał już pięćdziesiąt siedem lat. Włosy siwiały mu na skroniach, a na dłoniach żyły zwężały się niczym postronki. Nie śmiał się już tak donośnie, lecz jego potężna, prosta sylwetka, trzymana mięśniami, którym zawód rybaka niewiele dawał wytchnienia, nadal wyglądała jak wykuta z granitu, prawem kontrastu zaś jego oczy w dobre dni zdawały się jeszcze bardziej niebieskie i naiwne.

- Nie mówmy o przyszłości - poprosił tym razem tuż po przyjeździe - chcę

wykorzystać wszystkie nasze wspólne chwile.

I wykorzystaliśmy! Tego roku podarował mi - po obiecanej kotwicy, zamówionej w Kapsztadzie - złoty wisiołek z wygrawerowanymi w środku naszymi inicjałami i datą: 1948. Po niej następowała pauza i miejsce było wolne.

- Każesz wygrawerować datę końca, jak przyjdzie czas.

Miałam ochotę odpowiedzieć: «Już przyszedł czas, skoro nie śmiesz nic powiedzieć Marie-Josée. Teraz, kiedy praca przestanie ci dostarczać alibi, staniemy się emerytami miłości.» Co wieczór zasypiałam w jego ramionach myśląc o tym, że już wkrótce przez cały rok będzie w Bretanii, tak blisko, lecz nieosiągalny dla mnie, śpiąc w łóżku Marie-Josée, o którą po raz pierwszy zaczynałam być zazdrosna. Syciłam się nim maksymalnie na zapas, nie bez cichej nadziei, że nie będzie mógł znieść, iż równocześnie został pozbawiony zawodu i swojej miłości. Przynależałam sobie jednak, że tej sprawy nie będę poruszać wcześniej niż ostatniego dnia.

Za szybko ten ostatni dzień nadszedł. I walizka, i rzemień, które może więcej nie będą potrzebne, i nerwowe sprawdzanie biletu, godziny odlotu, przybycia na lotnisko Roissy, odjazdów autobusów na Orly, by zdążyć na połączenie do Lorient... miałam gdzieś godzinę jego spotkania na zawsze z Marie-Josée! Chyba nie zamierzał uciec z mojego życia mówiąc o rozkładach jazdy?

- Czy masz choćby mgliste pojęcie o tym, jak sobie wyobrażasz nasze przynajmniej króciutkie spotkania teraz, gdy będziesz już «państwem Lozerech»?

- No właśnie, *Karedig*, mam ci coś do powiedzenia.

Stał się naraz podobny do bardzo starego kormorana schwytanego w sidła, a mnie przestało bić serce...

- Dwa tygodnie temu byłem u lekarza. I nieciekawie sprawy się mają.

- Chodzi o Marie-Josée?

Poczułam niegodziwą ulgę.

- Nie, z nią w porządku. To znaczy bez zmian. Chodzi o mnie.

W ustach mi nagle zasycha. Gawain usiadł daleko ode mnie i mówi wolno, jakby z przymusem.

- To były coroczne badania i jak zawsze zrobili mi EKG. Ale zdaje się, że tym razem nie było dobre, bo posłali mnie do specjalisty. Wiesz, do doktora Morvana w Concarneau. Porobił mi kupę badań no i... wygląda na to, że mam arterię z jednej strony zatkana, a druga niewiele więcej warta. No i znasz mnie, zaraz powiedziałem temu doktorowi: «Doktorze, chcę wiedzieć. Co to znaczy dla mnie na przyszłość?» A on powiedział tak: «To poważne i

trzeba będzie szybko się za to zabrać. Zaraz dam panu skierowanie do szpitala, żeby porobić dokładniejsze badania, kono... koronografię czy coś takiego, i zobaczymy, co dalej».

- Kiedy to było? Nic ci wcześniej nie mówili?

- To było... hmm... mniej więcej na tydzień przed tym, jak tu przyjechałem. Więc rozumiesz, nie było mowy, żebym dał się położyć do szpitala! Z doktorem Morvanem gadałem szczerze: «Panie doktorze, powiedziałem, to niemożliwe, dzisiaj nie mogę iść do szpitala. - W taki razie jutro? on na to. - Jutro też nie. - Jak to: jutro też nie? Powtarzam, że grozi panu poważne niebezpieczeństwo. - Może, powiadam, ale ja mam ważne spotkanie. - Skoro tak, powiedział z taką dziwną miną, to uprzedzam: nie biorę odpowiedzialności za pana, jeśli pan stąd wyjdzie.» No i wtedy to już się wściekłem i zaraz żem nagadał temu konowałowi, że on tam se może być lekarzem, ale odpowiedzialność to ja biorę, póki się coś nie zmieni. Tak przywykłem. «Póki żeście mi nie dali numeru w tym pana cholernym szpitalu, moje życie należy do mnie», powiedziałem. A doktor tylko kręcił głową. Nie podobało mu się, że swoje myślę! «Ja pana uprzedziłem, powiedział, bierze pan na siebie ryzyko. - No i co z tego? Zawszem brał w życiu ryzyko na siebie, to żadna nowina. Poza tym mam wysokie ubezpieczenie i nie zostawię rodziny bez środków.»

Gawain poważnie chory? W pierwszej chwili wydaje mi się, że to pomyłka. Takiej ewentualności w życiu nie brałam pod uwagę. Przychodziło mi do głowy, że może utonąć, ale żeby chorował... Zmagam się z tą myślą nie do przyjęcia. Taki silny mężczyzna, powtarzam sobie bezsensownie.

- Przecież to niewiarygodne! Nie miałeś wcześniej żadnych objawów? Nie czułeś jakichś dolegliwości?

- Wiesz, nie za bardzom się w siebie wsłuchiwał. U nas to nie w modzie. Ale teraz, jak o tym myślę, to zdarzało się. Kiedym się schylał, dostawałem jakby zawrotów, waliło mi w głowie, tyle że myślałem, że to ze zmęczenia. W moim wieku i w tym fachu wydawało mi się to normalne. W końcu moi kumple od lat są już na rencie.

- Ale dlaczego nic mi nie powiedziałeś zaraz po przyjeździe? Bylibyśmy uważali, bylibyśmy...

- No właśnie! Nie przyjechałem tu, żeby uważać. Na to będę miał jeszcze czasu a czasu... Nie chciałem zepsuć nam spotkania tymi bzdurami. Myślałem, że pasowałyby pożyć do samego końca tak, jak się chce, no i jak widzisz, nie umarłem od tego. Żałuję zresztą. Czasem tak se mówię, że umrzeć tak przy tobie... nie byłby to najgorszy sposób na odejście z tego świata!

- Jak pomyślę, że przez cały czas miałeś w głowie to zagrożenie i nic nie mówiłeś!...

- Gdzie tam, wcale nie to miałem w głowie, tylko ciebie jak zwykle. No i wiesz przecie, że śmierci tom nieraz zaglądał w ślepie.

W miarę jak ta wiadomość do mnie dociera, z oczu mimowolnie zaczynają mi płynąć łzy.

- Och, George, proszę, nie płacz. Bardzo możliwe, że nie ma o co. Wiesz, lekarze często się mylą. A ja dalej czuję się tak samo. Nie dojrzałaś żadnej różnicy, he?

W oczach błyska mu ta zuchwała iskierka, którą tak lubię, i przypadam do jego budzącej zaufanie szerokiej piersi. Dotykać go, trzymać w ramionach... ależ tego właśnie nie będę mogła już robić. Chorując, będzie w jeszcze mniejszym stopniu mój, niż gdyby był na morzu. Zaczynam łkać przytulona do niego.

- *Karedig*, przestań, bo będę żałował, że ci to powiedziałem. Z początku w ogóle nie chciałem nic mówić. Ani słówka. Napisałbym do ciebie po tych badaniach, jakby się zdecydowali robić operację. Nazywają to pomost aortalno-wieńcowy. Kroją cię, wymieniają jedną żyłę i jesteś jak nowa!

- I mógłbyś mi tego nie powiedzieć? Czy ty zdajesz sobie sprawę, że byłbyś w szpitalu, a ja bym nic nie wiedziała? Nigdy bym ci tego nie wybaczyła...

- No i właśnie dlatego pomyślałem, że będzie uczciwiej, jak się dowiesz. W końcu jesteś trochę jak moja żona. Ale nie przejmuj się za bardzo... Przecież nigdy na żadnej kontroli nasz lekarz, rybacki, nic nie mówił. Nie pierwszy raz te konowały by się pomyliły. A ja też ostatniego słowa tom jeszcze nie powiedział. Dobry ze mnie model...

Jest to jeden z naszych rytualnych żartów, *był* to jeden z naszych żartów, kiedy pierwszego dnia Gawain z trudem torował sobie we mnie drogę.

- Wyobraź sobie, że nawet nie chcieli mi pozwolić, żebym leciał samolotem! «Niechże pan przynajmniej jedzie pociągiem», powtarzał ten doktor Morvan. «Ja tam nie miałbym nic przeciwko, powiedziałem mu, tyle że byłoby to trudne, bo jadę do Ameryki!»

- A gdybyś mu jeszcze powiedział, co zamierzasz robić w tej Ameryce, uznałby cię za wariata... a mnie za zbrodniarkę.

- Dla mnie nie liczy się moje życie, tylko ty w moim życiu. Dobrze wiesz. Jakbym nie miał ciebie, to olewam to, co mi się może przytrafić.

Przytula mnie mocno do siebie, jakby broniąc przed prawdą.

- «Baczność dumny wolny Bretończyku»... Pamiętasz?

Kiwam głową, że tak. Nie mogę mówić, zawsze szlocham jak dziecko, zanosząc się płaczem.

- Aż coś mi się robi, jak widzę, że płaczesz o mnie - mówi, kołysząc mnie. - Ty,

George Bezes! Moja mała dziewczynka!

Po raz pierwszy tak mnie nazywa. Szlocham ze zdwojoną siłą.

- No i... dalej nie wierzysz... że cię kocham?

- Jasne, że wierzę... ale równocześnie to mi... to mi się, tego, nigdy nie wydawało normalne. Zawsze się bałem, że pewnego dnia spostrzeżesz, że nie jestem facetem dla ciebie.

- Naprawdę jesteś stuknięty! Myślisz, że można przez trzydzieści lat kochać «faceta nie dla siebie»?

Śmiejemy się, a raczej udajemy, że się śmiejemy. Nowina powoli ściele sobie gniazdko, nieszczęście szybko się rozgaszca i już myślę o tym, czym wstrząśnie w moim życiu. Skąd będę wiedziała, że Gawain ma się dobrze? Jak da mi znać, że mnie potrzebuje? Objawia mi się cała niepewność naszego związku. «Nie», które mu kiedyś stanowczo powiedziałam, dzisiaj na dobre nas rozdziela. Przez długi czas można sobie mówić, że uratowało się to, co najważniejsze, że zachowało się najlepszą część. Przychodzi jednak okrutny dzień, gdy w chwili największej potrzeby osoba kochana nie chce nas już przyzwać. Znacząco mniej niż jego koleżanki i ta bezsilność przybija mnie kompletnie. Tak wygląda ostatnia zemsta prawowitych małżonek.

- Ustawię się tak, żeby ci dawać znać na bieżąco, przyrzekam - oświadcza Gawain. - No i zaufaj mi. Możesz mi wierzyć, że nie mam zamiaru jechać do Abrahama na piwo. Absolutnie.

Rozstajne drogi serca

Trzeciego listopada Lozerech znalazł się w szpitalu w Rennes. Miano mu robić operację na otwartym sercu.

Piątego listopada chirurg oświadczył, że operacja się udała i stan pacjenta jest w pełni zadowalający.

Siódmego listopada Gawain zmarł na sali reanimacyjnej nie odzyskawszy przytomności.

- Mój syn zszedł - oznajmiła mi jego matka i potrzebowałam kilka sekund, aby zrozumieć, że «zejść», znaczy «umrzeć».

Ponury słownik śmierci, używany tylko kilka dni przedtem i kilka dni potem, wychynął na światło dzienne. Zgon, wyprowadzenie ciała, nabożeństwo żałobne, pogrzeb, nieboszczyk... słowa nierzeczywiste, słowa przynależne do Uroczystości Pogrzebowych na użytek Pograżonych w Żalu Rodzin i zawiadomień. Dla mnie Gawain nie był nieboszczykiem, dla mnie po prostu umarł. Mój kormoran nie rozwinie więcej skrzydeł.

Pogrzeb odbył się w Larmor. W kościółku ledwie mieszczącym rodzinę i przyjaciół Marie-Josée zegnała ojca swoich dzieci, Lozerechowa najmłodszego syna, a George Bezes oplakiwała człowieka, którego wszyscy uważali za jej kolegę z dzieciństwa.

Po nabożeństwie przyłączyłam się do długiego konduktu zdążającego na cmentarz, gdzie groby przykryte jeszcze były chryzantemami przyniesionymi na Wszystkich Świętych, i patrzyłam, jak Gawain schodzi do rodzinnego grobowca przy poskrzypywaniu sznurów, ostatnim dźwięku, zanim otoczy go cisza ziemi. A przecież w wodzie powinien był «zrobić sobie dołek», jak chętnie mawiał.

- Niedługo by korzystał z renty, biedak - powtarzała Yvonne, przybita tym wszystkim. Brat, tak samo jak jej mąż, przez całe życie płacił składki emerytalne i umarł, nim zdążył odzyskać wkład. Na swoje szczęście, mówiłam sobie. Kormorany potrafią żyć tylko na

pełnym morzu. Nigdy na długo nie przysiadają na lądzie.

Patrzyłam na jego najstarszego syna i na ciemną z rudawym połyskiem czuprynę jak u ojca, aż ogarnęło mnie bolesne pragnienie, by raz jeszcze wpleść palce w sztywne kędziory podobne do włosów niektórych posągów greckich, i patrzyłam na oczy jak u ojca intensywnie niebieskie, ocienione wywiniętymi rzęsami. Ale cała reszta należała do człowieka obcego, szczupłego i wysokiego, o wąskich ramionach, nie mającego w sobie nic z masywnego wyglądu Gawaina. Jakby dla podkreślenia różnicy beztrósco nosił amerykańską wiatrówkę.

Cała załoga Lozerecha, jego żyjący jeszcze bracia i koledzy stali nad grobem, nienaturalni jak zwykle ludzie na cmentarzu, z kaszkietami w rękę. To jedyna pamiątka, jakiej bym po nim pragnęła: jego marynarski kaszkiet, ten, którego błyszczący daszek wykrzywiony był przez palce, bez ustanku, w machinalnym geście tak mi znajomym, poprawiające czapkę na niesfornych włosach. Właśnie dzięki takim jak ten szczegółom zmarli pozostają wśród nas: zapada w pamięć sposób chodzenia wprawiający w kołysanie całe ciało, donośny śmiech, spojrzenie zasnuwające się wzruszeniem, gdy mówić im o miłości.

Będzie mi się «ciężko żyło» bez niego i popłaczę sobie «często gęsto», jak on to ładnie mawiał. Nikt już nie powie do mnie «Karedig». Pozostanie mi jednak pewność, że otrzymałam odeń wszystko, czym może promieniować miłość. I podczas gdy na jego trumnę spadały łopaty ziemi ściskając serce, przyszło mi naraz do głowy, czy przypadkiem ze wszystkich mężczyzn, których kochałam, właśnie Lozerech nie powinien być zostać moim prawowitym mężem.

- To był mój najlepszy syn - powtarzała Lozerechowa z oczami suchymi, lecz ciałem wstrząsanym szlochem.

- Tak, to był porządny człowiek, przyznała duenia, przybyła z zaświatów, ponieważ znajdowaliśmy się w królestwie zmarłych. Czy ty, to nie wiem... ale z niego był porządny człowiek.

Padło i wiał południowo-zachodni wiatr, tak często słyszany przez Gawaina. Na pewno nie wybrałby sobie innej muzyki. Pod nieprzemakalną peleryną dotykałam łańcucha, kotwicy i wisiora, na którym nic nie każę wygrawerować. Bo nic się nie skończyło. Drżałam jednak, chociaż było ciepło, jak gdyby cała moja skóra była w żałobie po nim. W żałobie po człowieku, z którym nigdy nie spędziłam Bożego Narodzenia.

A przecież za miesiąc spędzę pierwsze Boże Narodzenie bez niego.

Spis treści

Słowo wstępne	4
1 Gawain	8
2 Wesele Yvonne.....	18
3 Paryż	28
4 Dziesięć następnych lat.....	35
5 Zil elwagnéés Sesel	48
6 Uwaga: niebezpieczeństwo!.....	68
7 Disneyland	78
8 Vézelay	107
9 Debout zom' lib'!	120
10 Ryczące pięćdziesiątki.....	126
11 Zobaczyć Montreal i umrzeć.....	147
12 Rozstajne drogi serca.....	153